skizo

WRZESIEŃ 09/129

OUTKAST
SPODNIE W KWIATKI I KUPA TALENTU

TAŃCZ, MAŁA!
DZIEWCZYNY Z TELEDYSKÓW

HARDKOROWE BRZMIENIE
DOROSNĄĆ DO RAPU

TOWNTOUR
SKEJCI W TRASIE

WRZESIEŃ 09/129
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
CENA 6,90 PLN
(w tym 7 % VAT)
ISSN 1425-1760

Foto: FABJAN

ELDO/ BITNIX

CZŁOWIEK KTÓRY CIĘCIAŁ
UKRAŚĆ ALFABET

+48 42 6523992

FALL 2006 WWW.MASSDNM.COM

W numerze 09/129

BAZAR 06
DZIEWCZYNY Z TELEDYSKÓW 10
DMX 14
JURASSIC 5 16
METHOD MAN 18
HARDKOROWE BRZMIENIE 20
MR. SCRUFF 22
SWAY 24
OUTKAST 22
BITNIX VS. GREENHOUSE 26
PHARRELL WILLIAMS 27
MŁODZIK 28
RHYMEFEST & PSALM ONE 29
MONIKA DĄBROWSKA 30
AFI 32
RELACJE Z IMPREZ 33
TOTAL HAŁAS (m.in. KAMEL, BRAINTAX, KEITH MURRAY, , WŁODI, AMP FIDDLER) 34
JAPOŃSKIE STRASZENIE 40
TOWN TOUR 2006 42
BMX - RED BULL ELEVATION 46
SK8 FROM RUSSIA 48
DESKOROLKOWI FILMOWCY 50
KITEBOARD - FORD CUP 52
KITEBOARD - VICTOR BORSUK 53
CZĘSTOCHOWSKI SKATEPARK 54
AKCJA SPRITE 57
RECENZJE SKATE VIDEO 58
JEŻ JERZY 60
RECENZJE:
- KULTURALNE 64
- MUZYCZNE 66
GRAFFITI 72
DESER: CHRISTINA AGUILERA & PARIS HILTON 78
DRUGA STRONA: AFRO JAX 82

projekt okładki Tomek Szkiela (kapitankot.com)

W(Y)STĘPNIAK

Temat przewodni tego numeru „Ślizgu" przyszedł nam do głowy, kiedy planowaliśmy sobie kolejną okładkę i doszliśmy do wniosku, że dawno nie była ona zdobiona przez ładną dziewczynę. Stąd mamy i okładkę, i duży materiał o paniach, które prezentują swoje wdzęki na hip-hopowych klipach. I chyba dobrze, nie? Skorzystaliśmy zresztą pewnie z jednej z ostatnich okazji na tego typu „cover", bo tylko patrzeć, jak nasi pruderyjni rządzący zabronią takich praktyk pismom „młodzieżowym". Ale już się nie żalimy i robimy swoje.

Miłej lektury.

GRB

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa, ul. Brzozowa 35
konto: Bank Zachodni WBK S.A. 35 o/W-wa 14-1090-2851-0000-0001-0357-7914

p.o. redaktor naczelny:
KrzysztofGrabowski (grabiszczy@o2.pl)
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl), Cessya (cess@slizg.com.pl), Flintstone (ef@slizg.com.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl)

Korekta: Krzysztof Grabowski
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (adam.sklad@gazeta.pl)
Okładka: Tomek Szkiela (www.kapitankot.com)
Zespół: Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Marek Oleksicki, CNE, Sebastian Rerak, Estragon, Paweł Gadaczek, Mateusz Orłowski, Tymek Kubik, Keb, Hadero, Med, Dill-o
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)
Sekretariat i promocja: Monika Jurczak (monika@slizg.com.pl)
Druk i przygotowanie: ELANDERS

Adres redakcji:

„Ślizg"
ul. Szara 10A, lok. 216
00-420 Warszawa

tel. 022 635 84 10 wew. 131
fax 022 635 62 85
e-mail: slizg@slizg.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i kopiowanie materiałów wyłącznie za zgodą redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść listów i ogłoszeń. Redakcja zastrzega sobie prawo do nieodsyłania niezamówionych materiałów oraz do ich skracania. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne wypadki w czasie wykonywania trików prezentowanych na łamach Ślizgu.

Ostrzegamy: niszczenie mienia jest karalne!

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

2006 Reebok. All Rights Reserved. REEBOK, RBK and ... are registered trademarks of Reebok

FLINTESENCJA
Teoria Bizona

Ech, melanże ze starą paczką... Śmiać się z głupot, lenić i mordować te szare komórki szeroką paletą specyfików, i mordować... Przyjaciele wypracowali nawet specjalną teorię, ochrzczoną „teorią bizona". Tak jak z biegających stad bizonów odstrzeliwano osobniki wlokące się z tyłu, najsłabsze, przez co stado robiło się silniejsze, tak samo przez melanże dusić i topić miały się komórki niewydarzone i nieporadne, na czym cały organizm korzystał (ta, jasne). Po cichu liczyliśmy, że po śmierci mody na hip-hop wymrą wszystkie marketingowe wynalazki, a rap wróci do źródeł. Nic takiego się nie stało. Tradycyjnie po dupie dostali artyści chcący zrobić coś innego, odważniejszego.

Człowiek styrany pracą, uczelnią, a nade wszystko polską rzeczywistością, nie chce wieczorem obcować z rzeczami trudnymi. Po ciężkim dniu sam wybieram filmy z wybuchami i pościgami, po czym do snu łapię za płyty, które znam na pamięć. Kiedyś chwyciłem za album cLOUDDEAD, by po paru minutach z niepokojem oglądać swój sprzęt grający, potem zaś szukać rys na krążku, bo to przecież nie może tak brzmieć. A jednak może... I właśnie to brzmienie wynoszone jest na piedestał przez najczęściej zgodny chórek zachwyconych recenzentów. Z ciekawości popatrzyłem na rzetelne jak mało co, rozmontowujące płyty na kawałki „Urban Smarts", żeby zobaczyć, co ma najwyższe oceny. Uzyskuje je nisza: MF Grimm, Viktor Vaughn, Illogic, Busdriver i (a jakże) Aesop Rock. To, co przekracza i przesuwa granice, stanowi eksperyment. Pcha gatunek do przodu i nie daje mu zjeść ogona. Często prowokuje, irytuje, ale przynajmniej zdziera znudzony uśmieszek z pucołowatych twarzy. I niestety nie da sobie rady samo. Trudne wymaga promocji, mecenatu, protekcji. Takie czasy.

TVP rezygnuje powoli z misji, gra po chamsku, jak komercyjna telewizja, czego najlepszym dowodem jest mnożenie festiwali w Sopocie, na których lansuje się wapno palone w solariach i nikomu nieznane zespoły. Zresztą, jeśli misja ma wyglądać tak jak w TVP Kultura, gdzie udziwnione, niezrozumiałe wynalazki i jałowe, ciągnące się w nieskończoność dyskusje rozkochanych w sobie snobów stanowią sedno, to wiemy, że na państwową telewizję nie można liczyć. W radiach komputerowe playlisty oparte na powerplayach wypierają ludzi z jakimkolwiek subiektywnym gustem. Szkoda o tyle, że naprawdę miałem wrażenie, że w swoim czasie Lexus i parę osób z magazynu „Loop" wykreowało mini-modę na Anticon. Teraz zaś zaczynamy żyć w czasach, gdzie „inne" zaczyna znaczyć „chujowe", w czasach, w których człowiek chodzący do galerii wychodzi na łansera, a taki, który czyta wiersze – za pedała. Gdyby jeszcze ten nasz hip-hop miał odpowiednik Romana Gutka z branży filmowej – człowieka z pieniędzmi, możliwościami i chęcią promowania ambitniejszych rozwiązań... Niestety, większość wydawców nie czuje z hip-hopem związku, nie żywi tego trudnego uczucia, którego sam nie rozumiem i chce z niego wyciągać hajs póki się da, a później się przebranżowi. Są chlubne wyjątki, ale zbyt mali to gracze, żeby wciąż dostawać w dupę i dokładać do interesu. Są dziennikarze... No, poza paroma szacownymi kolegami, to ich nie ma. Jest to małe podniecalskie kółko zafascynowane, że mogą być z gwiazdami po imieniu, bywać na imprezkach i mieć z nimi zdjęcia, poklepywać się po ramieniu. Nie można winić ich gustu, bo go nie mają, próbując podpatrzeć u innych, o czym się pisze i mówi, co jest na czasie, co wypada chwalić.

Jestem przeciętnym sukinsynem, ale wystarczająco bystrym, żeby widzieć, że jeśli hip-hop odkrył miejsca, w które nigdy nie planował zawędrować, to należy to odkrycie wykorzystywać.

Jestem przeciętnym sukinsynem, ale wystarczająco bystrym, żeby widzieć, że jeśli hip-hop odkrył miejsca, w które nigdy nie planował zawędrować, to należy to odkrycie wykorzystywać. Doskonale zdaję sobie sprawę, że tak jak wielu filmów od Gutka nie da się oglądać, tak wielu z płyt eksperymentalnych, kreatywnych nie da się słuchać. Sam z obrzydzeniem odskakiwałem niegdyś od takiej Poemy Faktu... Z tym że jedna trafiona płyta w tym klimacie jest więcej warta od 10 bezbarwnych, takich samych mainstreamowych średniaków. Nikt nie każe słuchać dziwactw, ale powinno się rozumieć to, że mają rację bytu, jak ginące, wrażliwe na zmiany w środowisku gatunki w ekosystemach. To potrzebne dla równowagi branży, do jej umysłowej higieny. Nie jesteśmy w końcu bizonami.

Marcin Flint

@listy

Witam!

Na wstępie chciałbym pozdrowić całą redakcję „Ślizgu". Chciałbym wyrazić szacunek dla waszej pracy, bo robicie kawał dobrej roboty. Jesteście jedynym magazynem na polskim rynku, któremu warto poświęcić trochę uwagi. Znajduję się w bardzo nieciekawej sytuacji, ponieważ odbywam karę pozbawienia wolności. W miejscu, w którym się znajduję, ciężko o takie materiały jak wasze pismo, naprawdę dużo trzeba się nakręcić, żeby je zdobyć. (...)

Moim zdaniem, w waszym magazynie umieszczacie za mało wywiadów z amerykańską sceną hip-hopową, a jednocześnie jak na lekarstwo jest sprawozdań z polskich imprez hip-hopowych.

Z drugiej strony chciałbym złożyć pokłony dla twórców Jeża Jerzego, Rafała Skarżyckiego i Tomasza Leśniaka. W ich historie można się wkręcić, a teksty dobrze się czyta, ogółem mówiąc dobry i zabawny komiks, których też jest za mało na naszym rynku. Z mojego punktu widzenia przygody Jerzego, które umieszczone są w paru miesięcznikach, a tworzą jedną historię, są nieosiągalne i nieraz ich nie rozumiem z racji przebywania w zakładzie (...)

Żeby wam za dużo nie cukrować, wkurza mnie to, że jest mało sprawozdań dotyczących dżemów w Polsce i imprez tym podobnych. Dobrze opisujecie to, co się dzieje za granicą, ogółem jest nieźle, ale dla mnie takich materiałów nigdy nie jest za dużo (...)

PS. Z waszym magazynem nawet tu nie jest tak źle, a czas szybciej przemija.

Decyk

Witamy!

Samo zestawienia słowa „ślizg" z zakładem zamkniętym zatkało jednego z naszych redaktorów (który pragnie zachować anonimowość) i zmusiło go do zaciśnięcia pośladków...

Co do pochwał, to zaczynamy w nich się topić i niedługo „Ślizg" będzie półrocznikiem kosztującym niewiadomo ile w jakimś specjalnym abonamencie. Dziękujemy za nie w imieniu „Jeżów", którym oczywiście wszystko przekażemy. Dziwi nas jednocześnie brak pochwał dla Flinta (to też a propos dżemów...).

W tym numerze masz wywiad z Talibem Kweli i Mr. Scruffem. W miarę możliwości staramy się to ogarniać. Relacje z imprez też się pojawiają od pewnego czasu i będą pojawiać, więc tu nie ma co narzekać.

Niezmiernie nas cieszy fakt, że przyczyniamy się do tego, iż czas płynie ci szybciej. Redaktor M.F. wykręcił z radości podwójnego toeloopa, za który dostał od nas kolejno noty: 9, 10, 9 i pół oraz 3 (to od naczelnego).

Pozdrawiamy.

Reebok DGK

Na rynku pojawiła się pierwsza w historii Reeboka skate'owa kolekcja ubrań DGK (Dirty Ghetto Kids). Powstała w wyniku współpracy ze znakomitym skateboardzistą Steviem Williamsem. Jest ona rozszerzeniem firmowanych przez niego decków, a także uzupełnieniem linii butów Reeboka Workout LO DGK. Kolekcję charakteryzuje tag DGK, luźny styl i pierwszorzędna jakość. Do dyspozycji macie szerokie t-shirty, wygodne bluzy oraz praktyczne spodnie.

ZA PISKI

„Wciśnij F1 aby uzyskać pomoc...”

„Słuchaj, nie chciałbyś pisać dla nas felietonów?” „Hmmmm... Jasne, a o czym? Jakiś konkretny temat?” „Nie, skąd. Co ci tylko przyjdzie do głowy. Oczywiście im bliżej ogólnej tematyki „Ślizgu” tym lepiej, ale jak się uprzesz, to możesz pisać nawet o sporcie...” „Aha, spoko. To ja pomyślę (jeśli tylko znajdę czas).”

Wyjazd znajomych do Tuwy (dla nieświadomych – daleeeeeka Syberia) ma to do siebie, że zwykle następuje przed nim tradycyjna, prastowiańska impreza pożegnalna. W końcu nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie będzie przypadkiem pasował jakiemuś niedźwiedziowi do menu... W okolicach siódmej połówki piątego z dwunastu spotkań składających się na w/w pożegnanie (witamy w kraju algebry alternatywnej), zupełnym przypadkiem ktoś włączył telewizor i oczom żegnających oraz żegnanych ukazało się dwóch siłaczy toczących na wyścigi gigantyczne opony (demyt, w opisanej sytuacji brzmi to jak jakaś delirka...). Jeden z turlających wyraźnie zdawał się być „siłaczem inaczej” (choć nie chciałbym powiedzieć mu tego w twarz), gdyż okrutnie zostawał w tyle, opona za nic w świecie nie chciała się go słuchać i wyglądał jak (nomen omen) dętka. Niestety, po chwili okazało się, że był to „dumny reprezentant” Polski przegrywającej dość wyraźnie prestiżowy ponoć bój z Ukrainą. Za moment na starcie ukazała się kolejna para i – o zgrozo – historia się powtórzyła.

Kiedy czekałem już na tradycyjny „pomeczowy” wywiad, w którym dowiedzielibyśmy się, że bieżniki na oponach były zupełnie nierówne, a przemęczenie sezonem dało znać o sobie, na starcie pojawił się on (sorry, nie „on” a „On”; ba, może nawet „ON”). Rozesłał po widowni promienny uśmiech, wymownie spojrzał na przeciwnika i w ciągu kilkudziesięciu sekund rozprawił się z nim, nie zostawiając cienia wątpliwości w temacie „Kto Tu Rządzi”. Publika oszalała, a wyraźnie zabarwione wschodnim akcentem okrzyki „Pudzian! Pudzian!” jeszcze długo po zakończeniu wyścigu unosiły się w hali, w której rozgrywały się zawody. Była to piąta z dwunastu konkurencji. Wierzcie lub nie, ale w każdej z kolejnych zarówno scenariusz jak i końcowa klasyfikacja wyglądały dokładnie tak samo: Pudzian, długo, długo nic, Ukraińcy, długo, długo nic, pozostali Polacy. Miałem deja vu. Co prawda rozmiar bohatera nieco się nie zgadzał (a Pudzian nie miał na nogach nart), ale reszta była jak dwie krople wody. Pełna dominacja pojedynczego reprezentanta Polski, który na tle przeciwników (a tym bardziej kolegów z drużyny) zdawał się być spełnieniem najskrytszych marzeń Nietzschego o (tutaj sportowym) ubermenschu.

Miałem sen. Sen, w którym wreszcie powstała gra zespołowa, w której Polacy są zdecydowanie najlepsi, a przeciwnicy mogą co najwyżej zgrzytać zębami i walczyć o drugie miejsce. Sen o tym, że Polska stała się w końcu sportową potęgą w drużynie, a jej reprezentanci zostali wzorem do naśladowania dla młodzieży całego świata. Miałem sen, w którym wyraźnie zobaczyłem tabele rekordów wypełnione swojsko brzmiącymi nazwiskami. Miałem sen... Sen o tym, że istnieje dyscyplina, w której Mariusz Pudzianowski rzuca na odległość do basenu Adamem Małyszem, którego potem na wyścigi wyławiają z wody Otylia Jędrzejczak i Bartosz Kizierowski... (chciałbym tylko wiedzieć, co ów sen wywołało, bo sądzę, że rynkowa cena dobiłaby spokojnie do setki za porcję).

Miałem sen. Sen, w którym wreszcie powstała gra zespołowa, w której Polacy są zdecydowanie najlepsi, a przeciwnicy mogą co najwyżej zgrzytać zębami i walczyć o drugie miejsce.

Miałem sen, który skończył się tym, że sędziowie zdyskwalifikowali naszych bohaterów za zbyt ciasne czepki, wąsy skrócone niezgodnie z unijnymi dyrektywami oraz za brak wymaganych pieczątek w książeczkach szczepień.

Dlaczego nawet kiedy wszystko z pozoru wygląda pięknie, finalnie ZAWSZE coś musi być nie tak?

Duże Pe

VIENIO
Martwy Eter cz. 2

W poprzednim felietonie mowa była o martwym eterze, a ostatnie wydarzenia w warszawskim Radiu Bis dały powód, by kontynuować ten wątek. Rok temu dyrektorem programowym „Biski" został Paweł Sito, człowiek od 20 lat związany z mediami, twórca kultowego formatu Rozgłośni Harcerskiej, radiowiec pełną mordą z krwi i kości. Warto wspomnieć, że za jego kadencji na antenie słychać było mnóstwo wspaniałości muzycznych z różnych dotąd mało znanych szerokiej publiczności gatunków, takich jak hip-hop, drum&bass, house, jungle, dub. Już ucieszyłem się, że stara skorupa okrywająca oldskulowe radio pęknie wraz z nadejściem nowych sił z zewnątrz. Nic bardziej mylnego. Sito został zwolniony niedługo po tym, jak zaprosił DJ'a Feel-X'a do prowadzenia audycji hip-hopowej, pomimo ogromnej ilości SMS-ów z ogólną aprobatą tej inicjatywy. Następnie polecieli Lexus z Noviką przetransferowani z Radia Jazz. Kolejne zwolnienie to Pan Duże Pe i DJ Spox. „Oho, zaczęło się!", pomyślałem. Nici z obietnic radykalnej zmiany profilu „Biski".

Ostatnie wydarzenie jednak po prostu wytrąciło mnie z równowagi. Max Cegielski prowadzący audycję w Radiu Bis podał informację na temat zbrodni popełnionych w Polsce na tle rasowym w ostatnim czasie. Do tych przestępstw przyznają się ugrupowania, których byli członkowie piastują teraz funkcje w Młodzieży Wszechpolskiej i Lidze Polskich Rodzin. Cegielski podkreślił tylko, że odpowiedzialność za zbrodnie spoczywa pośrednio właśnie na tych osobach, co nie spodobało się dyrekcji radia. Kolejne zwolnienie i przy okazji poruszenie w środowisku dziennikarzy. Lipa!!! Żeby dziennikarz nie mógł na antenie przytaczać oczywistych faktów! Przecież czasy cenzury skończyły się, chyba że jednak może jesteśmy nieświadomi manipulacji. Starzy dygnitarze śmieją się nam prosto w oczy popijając drinki w daczach na Mazurach. Nasze pokolenie w dalszym ciągu doświadcza jeszcze złośliwości poprzedniego ustroju. Mam nadzieję, że już niedługo odejdą albo wymrą kościotrupy z Komitetu Centralnego.

Już ucieszyłem się, że stara skorupa okrywająca oldskulowe radio pęknie wraz z nadejściem nowych sił z zewnątrz. Nic bardziej mylnego.

Vienio

rzeź niewiniątek

Mimo że nie jesteśmy pismem politycznym, to tematyka społeczna (patrz ostatnia okładka) nie jest nam obca. W kampanii samorządowej Prawa i Sprawiedliwości dopatrzyliśmy się sporej hipokryzji. Rządzący Warszawą, w której co chwila likwidowane są kolejne miejscówki dla skejtów, w reklamie przed wyborami samorządowymi umieszczają... skejta. Po pierwsze, brawa za udział dla tej osoby. Po drugie, PiS zaciska sobie pętlę na szyi, na której już dawno ktoś powinien zrobić 360 flipa.

17. lipca w programie Rap Pakamera zaprzyjaźnionej redakcji MTV zdarzyła się wpadka. Chodzi o osobę tłumacza lub kogoś, kto przygotowywał napisy pod wywiadem. Odpytywana była wówczas Erykah Badu, a rozmawiał z nią CNE. Na pytanie o inspiracje artystka wymieniła wielu twórców, a błąd wkradł się przy grupie Whodini (założonej w 1980 roku przez Jalila, Ecstasy i Gradmastera Dee – przyp. red.). Wyglądało to tak: „Bardzo lubiłam Kool Herca, Whodiniego...". No, cóż. Wielki mag Harry Houdini na pewno po raz kolejny związałby się łańcuchami i pozwolił wrzucić do wody na samą wiadomość o wyróżnieniu z ust Eryki...

Wielkie wydarzenie, którym był niewątpliwie koncert „Pamiętamy '44", zostało (słusznie) opisane w „Gazecie Wyborczej" z 30 lipca przez Krzysztofa Jóźwika. Wśród wykonawców znaleźli się: Marysia Sadowska, O.S.T.R., Bauagan Mistrzów oraz... Pisz i Emade. No pięknie. Czyżby ex-piłkarz Legii Warszawa i reprezentacji Polski Leszek Pisz miał jakiś tajny projekt z młodszym z braci Waglewskich?

konkursy

Zawsze miło jest prowadzić tę rubrykę, bo cieszy się ona dużym powodzeniem wśród Was, Czytelników „Ślizgu". Jako że sezon ogórkowy trwa i wiele się nie ukazuje na rynku wydawniczym, to i konkursów odpowiednio mniej. Tym razem dwie pozycje, ale jakie!

Pierwsza z nich to długo oczekiwany solowy album Pharrella Williamsa noszący tytuł „In My Mind". Na płycie jest masa gości, żeby wymienić tylko Nelly'ego, Jaya-Z, Kanye Westa, Slim Thuga czy Gwen Stefani. W tym numerze zresztą możecie przeczytać zajawkę wywiadu z nim, który przeprowadził CNE, a w całości został wyemitowany w „Rap Pakamerze". Pytanie konkursowe natomiast będzie wyjątkowo trudne. Brzmi ono: „Czym różnią się dwa projekty Pharrella – Neptunes i N.E.R.D.?". Pamiętajcie jednak, że nie oczekujemy rozprawek na ten temat.

Drugi konkurs dotyczy filmu anime na DVD czyli „Vampire Hunter D: Żądza krwi". Rzecz kapitalnie zrobiona i w dodatku z fabułą bardziej niż dobrą. Więcej o horrorach japońskich możecie przeczytać w tym numerze „Ślizgu", a do tego jeszcze macie recenzję. Aby zdobyć takie DVD należy odpowiedź na takie o to pytanie: „Kołkiem z jakiego drzewa uszlachcisz wampira?".

Odpowiedzi przesyłajcie na kartkach pocztowych na adres: „Ślizg", ul. Szara 10A lok. 216, 00-420 Warszawa. Nie zapominajcie o naklejeniu na kartkę kuponu z rogu strony i o podaniu swojego adresu korespondencyjnego.

UWAGA! Możecie odpowiadać na obydwa pytania. Powodzenia!

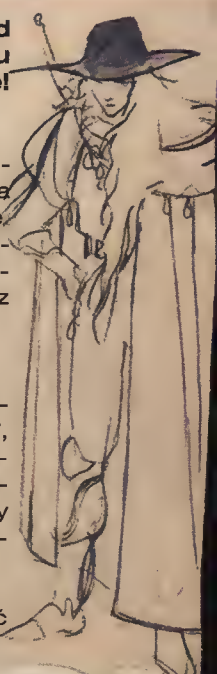

kupon konkursowy

imprezowe info

Wielka trasa „Napad Na Bauns" dobiega końca, tak jak dla wielu wakacje. Pozostały dwie imprezy z tego cyklu. Najpierw w Toruniu 31.08 w klubie „Find Us...", potem w Gdańsku 7.09 w „Pięknych i Bogatych". Zagrają dj'e: Kostek, 600 V, Twister, Cent, Macu, Noz oraz kilka mniej znanych twarzy z Pomorza: Fresh, Rimm i Miszyn.

2 września klub Młyn w Gnieźnie będzie gościł kultową grupę z naszego zaprzyjaźnionego labelu Jimmy Jazz, czyli **Komety**. Jako support wystąpi węgierski zespół Yellow Spots. Warto się wybrać. Chyba że komuś bardziej pasuje stolica Węgier, Budapeszt, 6 października (klub Redhole), support ten sam. Tak czy owak, polecamy.

8-9 września we Wrocławiu odbędzie się **Last Minute Summer Festival**. Pierwszego dnia zagrają m.in. Abradab, Lao Che i Hurt. Afterparty odbędzie się w klubie Łykend (zagra Tiszkelet Sound System). Drugi dzień to koncerty Fisza i Emade, Pustek i Habakuka. After w tym samym klubie (zagra Ricodeh). Bilety 15-20 złotych.

9 września, Kraków, stadion Wisły i ostatnie nasze przypomnienie o koncercie **Jaya-Z** wraz z nieco mniej już interesującymi wykonawcami pokroju Shaggy'ego i Sugababes. Do tego oczywiście supporty z Polski. Bilety – 70 zeta do 1 września, a po tej dacie już 100 złotych.

9-10 września to data festiwalu **Summer of Music**. Do wykonawców, o których już pisaliśmy, czyli Peaches, Stereo MC's, Bugz In The Attic, Iana Browna czy całej plejady innych, w ostatnim czasie dołączyli Daft Punk i genialny Amp Fiddler. Coraz ciekawiej się robi, a lista wykonawców jeszcze ponoć jest nie do końca zamknięta. Bilety na dwa dni 249 złotych, a na jeden dzień 139 (do 1 września), zaś potem 159.

22 września w hali OSiR we Włocławku odbędą się wielkie **zawody breaka**. Wystąpią w nich 24 3-osobowe ekipy z Polski i 8 z zagranicy. Do finału wchodzą 4 „nasze" i 2 „obce" grupy. Zgłoszenia można jeszcze wysyłać do 31 sierpnia na adres zgloszenie@breaksession.pl

21-24 września to data mini-trasy koncertowej po Polsce **Afu-Ry**. Obejmuje ona kolejno: Toruń (21.09 / klub Hipnoza), Sopot (22.09 / klub Sfinks), Łódź (23.09 / klub Phanaberia) i Poznań (24.09 / klub SQ). Polskie koncerty są częścią europejskiej trasy rapera, która trwa już od czerwca.

30 września klub Palladium w Warszawie będzie należeć do **Skye Edwards**, byłej wokalistki grupy Morcheeba. O artystce pisać specjalnie nie trzeba, bo każdy chyba słyszał chociażby jakieś próbki jej twórczości. Bilety na jej koncert będą kosztować 85 złotych.

Już teraz zapraszamy was na wielkie święto muzyki reggae. **One Love Sound Fest** odbędzie się 18 listopada i będzie to trzecia edycja tego wydarzenia. Odbędzie się ono w Hali Ludowej we Wrocławiu. Na scenie wystąpią: Culcha Candela (Niemcy), Rasites (Jamajka/Wielka Brytania), Big Famill & Band (Martynika/Francja), Adrian Sherwood & MC Brother Culture (Wielka Brytania/Jamajka), Martin Jondo & The Ruffcats (Korea/Niemcy/Francja), Plonlear & Ill Inspecta (Niemcy), Roots Hitek & MC Oneness (Ghana/Wielka Brytania) i cała plejada innych wykonawców, także z Polski.

TOP 10 Ranking pijackich szlagierów

01 „LIBACJA" WZGÓRZE YA-PA-3 Ochlapusy powinny wstawać przy tym na baczność jak przy hymnie. Kanapki przybite widelcem do ściany, morda w sałatce, a potem sałata w gardle i wygląd Mickey Mouse. Ech, klasyka. To jak, czego jest za dużo? Wódki czy powietrza?

02 „SIE ŻYJE" MOLESTA Nie dla tych, dla których jedyną kolędą w życiu jest „Lulajże Jezuniu". Złote karty stylowego ursynowskiego melanżownictwa bez granic. A teraz wszyscy zasypiający w nocnych odpowiedzą na pytanie: „Co wolisz, goudę, browar colę?"

03 „ALKOHOLIZM" HST GOŚCINNIE FOKUS Gdzie jest wóda, brat? To retoryczne pytanie. Proste, że w brytfannach „Pieroński hanysy jadą z piskiem", a stare targają swoich chłopów do domu. Hastu płynie jak marzenie. Fokus kombinuje mniej niż zwykle i nazywa rzeczy po imieniu. Czyste piękno z krainy kwaśnych deszczy i wiecznie suchych gardeł. Do tego na skurwysyńskim beacie.

04 „DRIN ZA DRINEM" TEDE GOŚCINNIE VETO Na trzeźwo to buracki numer, ale przy moczeniu ryja nic nie sprawdza się lepiej. Plastycznie panowie jadą. „Skatowane Katowice", całe, walące haszem piętro, tańce na stołach i ów niezapomniany „alkoholowy napój o smaku banana" daje dobry obraz złotej ery RRX. Nie mieszajcie browaru, wódy i ginu...

05 „ROZMOWY Z CUTEM" ŁONA Dla wszystkich, którzy po truwaniu dzień wcześniej wracają rano z kefirem i Paracetamolem. Metaforyczny numer o najebce, a przy okazji pole do popisu dla techniki i poczucia humoru Twistera? Właśnie tak. Zdrowie Łony!

06 „40%" PIH To ten narwany raper z zyletkami na języku, dla którego „happy hour" trwa zawsze i który oddaje kolejny hołd dla żyta w butelce. „Złap mnie na melanżu po północy / spojrzysz może diablu w oczy". Kto ma ochotę?

07 „A MIELIŚMY BYĆ POWAŻNI" PEZET/NOON Jak to jest gdy Pezet nie poznaje swojej panny, a Noon do chodzenia używa „dwóch nóg i jednej ręki"? Kawałek buja i jest na tyle zabawny, że można mu wybaczyć to, iż za cholerę nie pasuje do albumu, na którym się znalazł.

08 „NIE PAMIĘTAM" PWRD „Nie pamiętam" to teraz standardowa odpowiedź na pytanie, kim są PWRD, ale też tytuł jednego z lepszych kawałków na ostatnim Volcie. Białostoczanie z dowcipem o alko-amnezji oraz jej skutkach dla portfeli klubowych parkietów oraz sypialni.

09 „MY LUBIMY SIĘ NAJEBAĆ" BEZ CENZURY Siwers nawija: „Czysta wódka, browar albo inny specjał / Żubrówka, żołądkowa czy tequila, dzisiaj alko-preferencja", a Ero dodaje: „To nie drinki z parasolką, w kubkach wóda z kotką / Miejski folklor i rachunki za Kolską." I wszystko jasne. Jak Królewskie.

10 „CHLAMY" RUDY MRW GOŚCINNIE PIH, PROCEENTE Więcej tu wad wymowy niż technicznych sztuczek, ale jest też naprawdę niezły flow, znawstwo tematu i wyraźna pasja w poruszaniu go. Od pijaków dla pijaków.

* WYRÓŻNIENIE „NAJEBKA SOBOTNIEJ NOCY" SZYBKI SZMAL Miejskie safari w morderczym tempie. Nie dość, że powie ci, jak dobrze się zresetować w mieście przestępstw, to jeszcze przerzuci cię po różnych jego dzielnicach.

foto Wojciech Antonow

Drodzy amatorzy gorących, roztańczonych kobiet i rap klipów! Na początek mamy dla was tekst Anny Jujki, osoby odpowiedzialnej za choreografię oraz wykonanie „Mojej Panienki" Nowatora i Lerka, sędziowanie „Shake Ya Booty Challenge" i wiele innych przedsięwzięć. A to tylko przedsmak przed wywiadem z tancerkami i raportem o tym, jak robi się to za wielką wodą

tekst Anna Jujka

W ciągu dwudziestoletniej przygody z tańcem miałam styczność z wieloma technikami tanecznymi – funky jazz, street dance, hip-hop, broadway jazz i wiele innych. Ponieważ świat tańca znam z różnych stron – jestem tancerką, choreografem i instruktorką tańca, to postaram się przybliżyć wam tę konkretną zajawkę. Po pierwsze, jeżeli próbujecie cos osiągnąć w tym temacie, to musicie być pewni, że taniec jest waszą pasją i chcecie poświęcić mu wiele czasu. Najlepiej zapiszcie się do szkoły tańca. Warto również korzystać z warsztatów tanecznych, które są organizowane w całej Polsce z udziałem renomowanych instruktorów polskich i zagranicznych. Kolejnym pomocnym źródłem zdobycia umiejętności tanecznych są programy muzyczne w TV i Internecie, gdzie możecie znaleźć filmy instruktażowe, teledyski i opisy kroków z danego stylu tańca.

Jak już poczujecie się na siłach, dobrze by było załapać się do jakiejś grupy tanecznej, w której będziecie mieli możliwość udziału w pokazach, zawodach czy konkursach. Inną drogą są castingi do teledysków czy programów TV. Ale uwaga! Musicie pamiętać, że tam jest ostra rywalizacja i nie zawsze umiejętności taneczne są najważniejsze. Liczy się wygląd, osobowość i podejście do pracy. Jeżeli zdarzy się tak, że nie zostaniecie wybrani czy przegracie w konkursie, nie wolno się poddawać, bo zawsze macie przecież następną szansę.

A teraz kilka faktów, – kto, gdzie i jak to wygląda. Jeżeli jesteście nastawieni na występy w teledyskach, programach TV i dużych pokazach, mogę polecić wam grupy Quest, Basimo, Volt czy Spin. Na szczęście w Polsce nie ma monopolu na występy w teledyskach, więc ludzie pojawiający się na planie czesto się zmieniają. Nagranie trwa zazwyczaj cały dzień lub noc, wiec trzeba się nastawić na długie oczekiwanie – make up, przymiarka strojów, próby ujęć. Tak właśnie wyglądał dzień zdjęciowy do teledysku, w którym ostatnio brałam udział. Przyszłyśmy z moja ekipą tancerek o godzinie jedenastej rano. Po pięciu godzinach snucia się po jednym z warszawskich klubów (bo tam działa się akcja), nadal nic się nie wydarzyło. Swoje ujęcia zaczęłyśmy dopiero o pierwszej w nocy. Oczywiście, na szczęście to nie jest reguła.

Artyści są różni i z każdym z nich pracuje się inaczej. Często zdarzają się zabawne sytuacje, jak np. widok znanego mężczyzny załatwiającego swoją potrzebę do plastikowej butelki. Pytacie dlaczego? Bo toaleta została ustawiona za daleko od sceny, a pech chciał, że za minutę artysta miał wyjść na scenę i po prostu nie zdążyłby. No cóż, trzeba sobie radzić.

Co do finansowej strony zawodu tancerki lub tancerza, to muszę powiedzieć, że jest różnie. Duża ilość występów gwarantuje nawet możliwość utrzymywania się tylko z pokazów. Ja jednak polecam wam dodatkowo kurs instruktorski, po którym macie możliwość nauczania innych, a co za tym idzie – stałą pensję. Wtedy występy są miłym bonusem. Jeżeli jesteście kreatywni, koniecznie idźcie w stronę tworzenia choreografii, co zarazem jest bardziej opłacalne. Taniec to nie tylko ruch – to kultura, to możliwość poznawania ciekawych ludzi, ucieczka od smutków i niepowodzeń. Wiek nie ma tu znaczenia, bo taniec wypływa z waszego serca. Do zobaczenia na parkiecie.

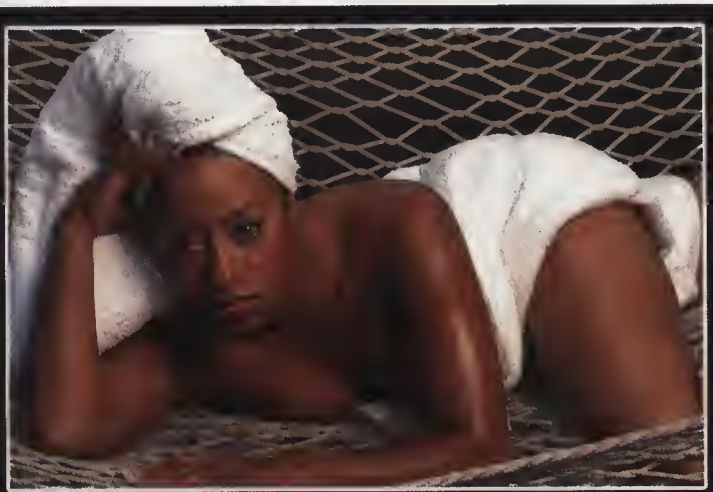

USA CUKIERKI WIELOSMAKOWE

Jeśli podczas oglądania zachodnich teledysków nachodzi was smutna refleksja, że za oceanem tancerki są ładniejsze, jesteście w błędzie. Większość „hip-hop honeyz" to po prostu modelki. Najpierw się takie ładne urodziły, a potem miały szczęście trafić na odpowiednich ludzi i jakoś poszło. Oczywiście dokonałam tu uogólnienia, bo przecież każda z dziewczyn wijących się na łodzi do rytmów „Big Pimpin'", skrywa inną historię...

tekst Cess

Punkty wspólne

Dla wielu „cukiereczków" droga do kariery zaczyna się w domu prowadzonym silną ręką przez samotną matkę, która radosnej gromadce swoich pociech pokazuje, że aby przeżyć trzeba wykorzystywać to, co się ma. A jak się jest z Luizjany czy z Georgii i ma się za sobą edukację w podrzędnej państwowej szkole, to trudno mówić o atrybutach intelektualnych. Jedne dziewczyny zostają przedszkolankami, inne weterynarzami, są takie, którym udaje się zdobyć medal farmerów w pływaniu rzeką pod prąd. Bywają też takie, które chcą czegoś więcej. Najpierw pojawiają się na zdjęciach w lokalnych magazynach, czasem zostają „miss lipca" czy „królową października" w kalendarzach tematycznych, a potem albo je ktoś zauważy, albo same się wepchną kuchennymi drzwiami.

Jakie są polskie klipy, każdy widzi, nie każdy jednak ma świadomość, jak to wygląda „od zaplecza" – z perspektywy dziewczyn, które biorą udział w nagraniach czy też uczą następne pokolenia tancerek. O tym dowiecie się z poniższego wywiadu

wypytywała Dominika Cess

„Ślizgowi" udało się zamienić kilka słów z Agnieszką Żygadło (tancerka z 18-letnim doświadczeniem, obecnie trenerka i choreograf prowadząca formację taneczną), Dominiką Bieżyńską (11 lat stażu, na koncie przynależność do zespołu tanecznego Volt i bycie cheerleaderką w zespole K-12; mogliście ją zobaczyć m.in. w klipie Skazanych na Sukcezz „Od zawsze", Pezeta z Mesem, Ero i Małolatem „W klub idziemy", a nawet w „Szansie" Virgin) oraz z Agnieszką Baską (zaczynała jako małolata w zespole baletowym, a skończyła wśród raperów przed kamerami; widzieliście ją w „Grubasie" GTW, „2czter7" zespołu o tej samej nazwie i „Brudnych myślach" Peji.

Na wstępie Agnieszko powiedz mi, które szkoły przygotowują dziewczyny do tańca w teledyskach?

Agnieszka Ż.: Nie ma w tej chwili takich szkół. Jest wiele miejsc, w których można nauczyć się tańczyć, ale nie ma czegoś takiego jak szkoła, która uczy dziewczyny, jak tańczyć w klipach. Układy raczej pojawiają się na pokazach, koncertach czy w reklamach, a w klipach zazwyczaj widzimy efekt improwizacji. Pojawiają się tam najczęściej dziewczyny znajome znajomych, czasem z łapanki albo panny lansujące się w klubach na zasadzie „wypięłam biust przed raperem i zaprosił mnie do teledysku". Jak dziewczyna pojawiła się już w jednym teledysku, to potem często załapuje się do następnych. Jest niewiele klipów, w których występują profesjonalne tancerki, na które przyjemnie się patrzy. Bo co z tego, że dziewczyny „trzęsą się i wiją", kiedy w tańcu nie zawsze o to chodzi?

Myślisz, że przynależność do grupy tanecznej pomaga w karierze?

Agnieszka Ż.: Pomaga o tyle, że uczysz się profesjonalnie tańczyć. W polskich klipach hip-hopowych może wystąpić w tej chwili każdy. Chodzi o to, że często producenci i artyści nie szukają profesjonalnych tancerek, tylko zbierają przypadkowe dziewczyny. Rzucają hasło „wpadajcie, minimalny strój mile widziany", one wpadają i jest klip. Ponieważ teledyski zazwyczaj są utrzymane w klimacie imprezowym, nikt nie potrzebuje tam profesjonalnie tańczących dziewczyn. Owszem, jest kilka klipów, gdzie są układy – i tam wystąpiły grupy taneczne. Niemniej nadal nie ma takiego teledysku, w którym od początku do końca choreografia jest dopracowana, a tancerze rewelacyjni, jak jest na przykład w klipach Missy Elliott.

Czy zauważacie różnice w tańcu wideoklipowym i normalnym, który wykonują grupy taneczne?

Agnieszka Ż.: Myślę, że wszystko jest tak tworzone, aby było dla kamery. Ponieważ nie każda choreografia, która dobrze wygląda na scenie, jest genialna w teledysku i odwrotnie.

Dominika: Podczas kręcenia teledysku musimy dać z siebie wszystko. Ujęcia taneczne powtarzane są przeważnie po kilka razy, co staje się naprawdę bardzo męczące. Taniec klubowy jest przeważnie luźny, w przeciwieństwie do tańca klipowego.

Ile czasu zajmuje Wam przygotowanie się do teledysku? Czy jest ktoś, kto wymyśla choreografię i ile czasu dostajecie, żeby opanować taki układ?

Dominika: W Polskich teledyskach hip-hopowych rzadko dziewczyny tańczą choreografię, mnie się akurat nie zdarzyło. Na planie dowiadujemy się, jaka jest nasza rola i co będziemy robić. Głównie lecimy na żywioł.

Agnieszka B.: Szczerze mówiąc, o teledyskach, w których brałam udział, dowiadywałam się z maksymalnie dwudniowym wyprzedzeniem, więc na wielkie przygotowania nie było czasu, a układów choreograficz-

Jedna z najpopularniejszych modelek występujących w hip-hopowych klipach to Melyssa Ford (mogliście ją widzieć w „Shake It Fast" Mystikala, „Big Pimpin'" Jaya-Z czy „Yeah" Ushera) została zauważona przez Little X (producenta teledysków) podczas „występu" w jednym z nocnych klubów w Toronto. Genetycznie stanowi prawdziwą mieszankę wybuchową: w części Indianka, w części Rosjanka z domieszką krwi norweskiej, ale taki mix podoba się ludziom, zwłaszcza że natura nie poskąpiła jej tego i owego.

Niekwestionowaną królową wszystkich tyteczków jest Buffie The Body. Jej wymiary 86-68-114 jednych szokują (na początku wszyscy myśleli, że jej olbrzymie pośladki są za przeproszeniem „dopasione" komputerowo, ale każdy, kto miał okazję ją bliżej poznać, potwierdza, że to po prostu hojny dar natury), u innych budzą zazdrość. Jedno jest pewne: Afroamerykanie to uwielbiają. I tak za pomocą niesławnych czterech liter Buffie (zdeklarowana miłośniczka jazdy na motocyklach, pieczenia, podróży i wyszywania) trafiła do najgorętszych klipów rapowych, a obecnie należy do setki najgorętszych kobiet świata wedtug magazynu „Smooth".

Nie tylko ona ma specyficzne zainteresowania. La'Shontae doskonale eksponująca swoje zalety w „Golddiggerze" Kanye Westa jest córką wojskowego Afroamerykanina i Koreanki. Ponieważ wychowywała się w koszarach, była raczej chłopczycą. Uwielbiała grać w futbol, siatkówkę i nawet śladem tatusia zaciągnęła się do armii. Wtedy nikt nie podejrzewał, że może zostać jedną z seksowniejszych wideo-modelek. Gdy przeszła do rezerwy, postanowiła zrealizować swe marzenia... Kiedy jej gorące fotki pojawiły się na łamach magazynu „Juice" i na popularnych w Teksasie (gdzie Tae się osiedliła) stronach Dallas Peeps, zaczęła jeździć na okoliczne pokazy mody. Idylliczną drogę do szczytu przerwał 11 września 2001, kiedy została powołana do swojej jednostki, by „bronić bezpieczeństwa kraju". Po kilku miesiącach mobilizacji, zamiast wrócić do domu trafiła na plan teledysku Brandy, a potem było już z górki. Busta Rhymes z Mariah Carey, „Candy Shop" 50 Centa, „Oh" Ciary czy „Get It Poppin'" Fat Joe to tylko kilka klipów, w których mogliście zauważyć tę zjawiskową dziewczynę.

Ciało to nie wszystko...

Kręcenie tyłkiem w teledyskach dla wielu ambitniejszych modelek nie jest szczytem marzeń. Chcą one zostać aktorkami, pisarkami, pomagać dzieciom i szerzyć pokój na świecie... Są te prawdziwie szlachetne jak Ki Toy Johnson modelka tańcząca wyłącznie w klipach Dungeon Family (na prośbę chłopaków z OutKast wystąpiła w „The Way You Move" i „B.O.B."). Na co dzień pracuje w banku i prowadzi fundację pomocy dzieciom z au-

nych nie było. Zawsze miała to być spontaniczna zabawa, miałyśmy się czuć jak na fajnej imprezie w klubie, więc żadne układy synchroniczne nie wchodzą w grę.

Opowiedzcie proszę, jak trafiłyście na plan pierwszego teledysku?

Dominika: Dostałam propozycję wystąpienia w klipie drogą e-mailową i powiem szczerze, że nie mam pojęcia, skąd mieli do mnie namiary.

Agnieszka B.: Koleżanka powiedziała mi o ogłoszeniu, które wyczytała w gazecie – o treści „poszukujemy dziewczyn do teledysków" – i zadzwoniłam pod wskazany numer. Poszłam na spotkanie z reżyserem tego wideoklipu razem z koleżanką i po dwóch dniach tańczyłyśmy na planie.

Czy występy w klipach to – podobnie jak dla wielu amerykańskich „vixens" – tylko etap w Waszej karierze?

Agnieszka B.: (śmiech) W żadnym wypadku... Jest to po prostu miłe uczucie, kiedy oglądasz siebie po drugiej stronie szklanego ekranu, ale to wszystko. Od października będę na trzecim roku studiów, mam dobrą pracę i tym właśnie zajmuję się na co dzień. Jeżeli jeszcze kiedyś dostanę propozycję występu w teledysku i będę dysponować czasem, to z pewnością się zgodzę, ale raczej traktuję to jako odskocznię od codzienności.

Dominika: Ja na razie pozuję do różnych magazynów mody i to mi wystarczy. W chwili obecnej poświęcam się mojej drugiej pasji, fotografii, z którą chcę się związać do końca życia. Może w przyszłości powstanie jakiś projekt, który będę chciała zrealizować, ale na dzień dzisiejszy niczego nie planuję.

Jakie jest Wasze podejście do hip-hopu – decydujecie się występować w teledyskach, bo lubicie tę muzykę?

Dominika: Lubię pracować na planie klipów, ponieważ uwielbiam występować przed kamerą. Poza tym, nawiązuję nowe znajomości, poznaję ciekawych ludzi. Lubię także ten typ muzyki i z miłą chęcią poznaję wykonawcę utworu.

Agnieszka B.: Bardzo lubię hip-hop i dlatego zdecydowałam się brać udział w teledyskach. Myślę, że ta muzyka w Polsce nabiera rozpędu .

Na co zgodziłybyście się podczas występu w klipie? Czy przesadą jest taniec w bikini, topless? Czy opcje z amerykańskich teledysków wchodzą w grę?

Dominika: Uważam, że taniec w stroju bikini nie jest przesadą, topless też. Jeśli dziewczyna ma co pokazać, jest ładna i nie przeszkadza jej świadomość, że zobaczy ją kilka tysięcy ludzi, to w porządku. Ja nie zdecydowałabym się jednak wystąpić topless w teledysku.

Agnieszka B.: Przyznam, że brałam już udział w bardziej odważnych produkcjach muzycznych, gdzie widać było troszkę więcej ciała... ale na tym koniec. Wiem, jaki charakter teledysków masz na myśli – więcej porno niż muzyki, ale w moim przypadku to nie wchodzi w grę.

foto Robert Zubrzycki

tyzmem, schizofrenią i opóźnieniami rozwojowymi. Są też takie, które raczej mącą w głowach dzieciakom, na przykład Karrine „Superhead" Steffans, która porzuciła karierę hip-hopowej landrynki na rzecz Hollywood, a na pożegnanie wydała książkę-spowiedź („Confessions Of Video Vixen"), w której opowiada o swoich przygodach seksualnych z ludźmi z „branży" (są tutaj pikantne historyjki o możliwościach i niemożnościach raperów czy o nietypowych preferencjach seksualnych producentów...). Jedna z najbardziej doświadczonych modelek potwierdziła głośno to, co koleżanki po fachu zdają się tylko sugerować. Co jest niedopowiedziane w teledyskach, zostaje dopisane w sypialniach...

Są też karmelki, które wolą trafić do innej paczki, jak Gloria Velez i Whyte Chocolate. Pierwsza z nich zaczynała w pornograficznych filmikach wujka Luke'a z 2 Live Crew, skąd trafiła do teledysków i na scenę. Jako ozdoba jeździła na koncerty z N'Sync i Sisqo, i niestety ich twórczość zdegenerowała młodą tancerkę na tyle, że została raperką. Dziś lubi mówić, że nie wystąpi w klipie, w którym sama nie rapuje. Z powodu kontraktowych nieporozumień zrezygnowała z pomocy Tyrone'a Fyffe'a oraz Cash Money i wydała debiutancki album „Glory" własnym sumptem. O jakości utworów stworzonych przez modelkę inspirowaną boysbandami mówić tu nie warto, więc może przyjrzymy się teraz Whyte Chocolate, która sprzed kamer umknęła do studia No Limit (gdzie nagrywała u boku takich staw jak Lil' Jon) tylko po to, by ostatecznie znów zabłysnąć na szklanym ekranie. Bogata w doświadczenia „aktorskie" zdobyte w klipach takich jak „Quick To Back Down" czy „Tip Drill" (ponoć teledysk tak kipiał seksem, że był kilkukrotnie cenzurowany, zanim trafił do MTV), śmiało podjęła wyzwanie zagrania w „On The Come Up" spod szyldu So So Def.

Co z tańcem?

Kiedy u nas szkolone przez lata w kółkach tanecznych dziewczyny i ćwiczące przed łazienkowym lustrem koleżanki z gimnazjum wyginają się nierytmicznie tworząc tło dla białych murzynów, w Stanach „kocie ruchy" damulek z okładek męskich pism ustawiają ludzie tacy jak Wade Robson czy Hi Hat czyli uznani choreografowie. Wyjątkiem potwierdzającym regułę może być Missy Elliott, która woli otaczać się małymi dziewczynkami. Często są to utalentowane tancerki, które karierę zaczynały jeszcze w przedszkolu. Jedna z nich to mała biała Alyson (absolwentka szkoły baletowej i studia tańca jazzowego), która zdominowała „Work It" czy „Gossip Folks" i wystąpiła z Eminemem w klipie „Just Lose It". Pytanie tylko, czy to jest sprawiedliwe?

wyszczekana kariera DMX

To on był typowany do objęcia tronu króla Nowego Jorku po Notoriousie B.I.G. Jako jeden z niewielu nigdy nie stracił swojego rozpoznawalnego stylu i charyzmy. Jego kariera to pasmo... Czego? O tym już przeczytacie sami...

tekst Andrzej Cała / „Machina"

Typ spod ciemnej gwiazdy dojrzewa

Nie miała nasza gwiazda łatwego dzieciństwa. Earl Simmons, urodzony 18 grudnia 1970 r. w Baltimore, bardzo szybko musiał opuścić rodzinny dom. W wyniku konfliktu pomiędzy rodzicami, wraz z ojcem przeniósł się do Yonkers, na przedmieścia Nowego Jorku. Tatuś Earla nie wykazywał się szczególną opiekuńczością, wręcz przeciwnie. Bił młodego chłopaka, zamykał w pokoju na długie dni, często nie dając mu nawet nic do jedzenia poza chlebem i wodą. To oczywiście nie mogło wpłynąć pozytywnie na psychikę Earla. Jedynym jego prawdziwym przyjacielem był pies – pitbull Boomer, którego pamięć chłopak uczcił pokaźnym tatuażem. DMX w wywiadach często podkreśla, że nie lubi wracać myślami do tamtego okresu, ale paradoksalnie – w swoich tekstach czyni to bardzo często. Ba, jedna z interpretacji jego ksywy, Dark Man X, wzięła swój początek właśnie z dziecięcych problemów i traumy, jaką był okres dorastania. Simmons jako nastolatek popadł w dwie bardzo poważne choroby – depresję maniakalną i schizofrenię, z którymi boryka się do dziś. Gwoli uzupełnienia: tak naprawdę ksywa DMX odnosi się do nazwy cyfrowej maszyny perkusyjnej, popularnej szczególnie w końcówce lat 80.

Dom opuścił mając niespełna piętnaście lat. Zaczął długi okres życia na krawędzi prawa, mieszkania na ulicy i wszystkiego, co z tym związane. Nie obce były mu narkotyki i przestępstwa. Rap? Owszem. Na początku próbował swoich sił w bitboksie. Nie miał za wielu okazji do konfrontowania swojego talentu z innymi, bo też w więzieniach – gdzie przebywał bardzo często i spędzał mnóstwo czasu – mało było osób zajmujących się tą sztuką.

Na przełomie lat 80. i 90. Simmons postanowił coś zmienić w swoim życiu. Jak tysiące innych artystów doznał nawiedzenia i zrozumiał, że albo postawi na muzykę i odda się jej w całości, albo zawsze będzie już tylko zmarnowanym dzieckiem ulicy. Talent miał, co do tego nie było wątpliwości. Zauważyli to w 1991 r. dziennikarze „The Source" opisując sylwetkę młodego DMX'a w rubryce „Unsigned Hype". Wtedy jeszcze nie szczekał, kapitalnie za to freestyle'ował podbijając serca fanów hip-hopu na licznych konkursach. Nie mogło to też umknąć uwadze muzycznych wytwórni i tak Earl Simmons w 1992 r. podpisał kontrakt z Ruffhouse, sublabelem giganta Columbia Records.

Zamiast wielkiej kariery - wielka depresja

W 1993 r. DMX wypuścił singiel „Born Loser", który niestety przeszedł bez echa. Wytwórnia nie wywiązała się ze swoich zobowiązań. Raper nie dostał pieniędzy na nagranie debiutanckiego albumu, nie zapewniono mu żadnej pomocy przy wyborze i opłaceniu producentów i didżejów, ba – nawet pieniądze na studio okazały się dla Ruffhouse dużym problemem. Pewnym usprawiedliwieniem dla labela był fakt, że miał pod swoimi skrzydłami wielu innych twórców o zdecydowanie bardziej ugruntowanej na scenie muzycznej pozycji. Ostatecznie w 1994 roku. DMX odchodzi z wytwórni, zamykając ten okres „kariery" singlem „Make A Move", który jako bootleg – o dziwo – narobił dużego zamieszania na nowojorskich ulicach i to w okresie debiutu Nasa czy Method Mana.

Miało być cudownie, tymczasem raper popadł w wielką depresję i na pewien czas zaprzestał rapowania. By jakoś związać koniec z końcem, dealował narkotykami, ale nie trwało to za długo z prozaicznego powodu – DMX'a po raz enty złapano i zapuszkowano. Tym razem czasu w więzieniu nie zmarnował. Przez cały czas czytał, pisał teksty i pracował nad swoim stylem.

Zaowocowało to w 1997 r. Do Earla pomocną dłoń wyciągnął DJ Clue zapraszając na jeden ze swoich mikstejpów. Spośród całej masy ludzi, którzy na nim wystąpili, to DMX swoim nowym stylem, w którym mieszał niezwykle agresywną, szorstką nawijkę ze szczekaniem, zdecydowanie najbardziej przykuł uwagę odbiorców. Def Jam nie ryzykował za bardzo podpisując z DMX'em umowę, bo też rozgłos, jaki towarzyszył wówczas raperowi, był ogromny.

A po wielkiej depresji wielkie boom

Simmons szybko zaczął nadrabiać stracony czas. Z młodym utalentowanym producentem Swizz Beatzem stanął na czele obozu Ruff Ryders, który w niedługim czasie zamiótł w nowojorskim mainstreamie. Pojawiał się na licznych featuringach, które doskonale przygotowały grunt pod debiutancki krążek DMX'a „It's Dark And Hell Is Hot". Jeszcze tylko singiel „Get At Me Dog", małe skandaliki (problemy Earla z prawem to w zasadzie temat na siedemnaście oddzielnych artykułów, więc z pełną premedytacją ominę te pomniejsze) i w końcu płyta ląduje w dniu premiery na szczycie listy „Billboardu", by w niedługim czasie okryć się poczwórną platyną.

DMX miał dużo szczęścia i wkroczył na scenę w idealnym momencie. Po tym jak Jay-Z czy Nas zdecydowanie skupiali się na przyjemnościach, które niosą ze sobą sława i pieniądze, po tym jak Mobb Deep w nieskończoność przekładali wydanie albumu „Murda Muzik", po tym jak Wu-Tangowcy nigdy nie wrócili już do formy z pierwszej połowy lat 90., a Biggy w wiadomych okolicznościach pożegnał się z życiem, fani nowojorskiego rapu potrzebowali nowego idola. Kogoś szczerego, hardkorowego (czasem aż do przesady), eksponującego tak dobrze sprzedający się temat wiary i miłości do Boga, a zarazem świeżego. On taki był. Utalentowany, nie do końca normalny, zarazem bardzo bliski zwyczajnym ludziom i ich problemom.

DMX nie czekał długo z wydaniem drugiego albumu. Postanowił szybko zdyskontować sukces pierwszego wydawnictwa. Późną jesienią 1998 r. dostaliśmy w nasze łapy „Flesh Of My Flash, Blood Of My Blood" szokujące okładką, na której DMX pokazał się cały zalany krwią. Płyta nie różniła się znacznie od tego, co słyszeliśmy na debiucie. Teksty wciąż były bardzo mroczne, podkłady udziwnione, ale mające w sobie pierwiastek klasycznego rapu. Niezbędna dawka mainstreamowego hardkoru plus gościnny udział m.in. samego Marylina Mansona, przyniosły kolejny wielki sukces. W ciągu jednego roku DMX dwa razy wprowadził swój krążek na czoło „Billboardu", za każdym razem już w pierwszym tygodniu. Może były w tamtym okresie lepsze albumy, może były lepsze i ciekawsze single, ale to właśnie kontrowersyjny raper okazał się największym wygranym 1998 roku. Nie przeszkodziło mu nawet bardzo poważne oskarżenie o gwałt, które złożyła pewna striptizerka. DMX od samego początku nie przyznawał się do winy. W końcu oczyszczono go z zarzutów, po tym jak teksty DNA wykazały, że nie był on sprawcą przestępstwa. Niesmak pozostał, ale Earl Simmons po raz kolejny przekonał się, że może liczyć na wsparcie swojej wybranki, która ani przez moment nie przestała go wspierać w trudnych chwilach.

Wspólnie z Ja Rule'em i Jayem-Z DMX zaplanował założenie supergrupy „Murder Inc.". Skończyło się jedynie na zapowiedziach. Może i dobrze, bo jeden z tych panów zdecydowanie do takiego teamu nie pasował... 1999 rok to trzy kolejne wielkie wydarzenia w karierze DMX'a. Primo – pierwszy istotny beef w jego karierze. Na albumie „The Streetz Iz a Mutha" zdissował go Kurupt, podejrzewając, że Earl Simmons ma romans z Foxy Brown, ówczesną narzeczoną Young Gottiego. DMX nie bardzo wiedział jak zareagować, ponieważ cała sytuacja wydawała mu się paradoksalnym nieporozumieniem. Do ataku Kurupta wrócił jedynie w kilku momentach na swoim następnym albumie, chociaż... W pewnym momencie poszła plotka, że krewki reprezentant Dogg Pound wraz ze swym partnerem Dazem Dillingerem chcieli całą sprawę załatwić siłowo i gdyby nie ochroniarze DMX'a i... Ja Rule, który miał powalić go na ziemię i tym samym uratować przed dosięgnięciem kuli, dziś pisalibyśmy o Earlu Simmonsie w czasie przeszłym. Ile w tym prawdy? Tego nie wiem.

Drugim w tym okresie wydarzeniem bardzo istotnym dla rapera był udział w trasie „Hard Knock Life" z innymi gwiazdami Def Jamu. Cały tour przyniósł ponad siedemnaście milionów dolarów zysku i był ogromnym sukcesem. Po trzecie – kolejny album DMX'a „...And Then There Was X" z końca 1999 r. Muszę dodawać, na którym miejscu „Billboardu" krążek zadebiutował?

Pastor milioner

W 2001 r. DMX stał się pierwszym w historii artystą, którego pierwsze cztery albumy dotarły na szczyt wielokrotnie już wspominanej listy. Stało się tak wraz z wydaniem najlepszego jak dotąd w jego karierze materiału „The Great Depression". Promowane doskonałymi singlami „Who We Be" i „We Right Here" (czołowe hity 2001-2002) wydawnictwo było najrówniejszym, najbardziej dojrzałym dziełem Simmonsa. Wspominał na nim powoli o tym, że chce odejść od rapu, poświęcić się ważniejszym rzeczom. I rzeczywiście, w kolejnych latach więcej uwagi skupiał na działalności charytatywnej, pomocy trudnej młodzieży, a także przebywaniu z rodziną, niż koncertach czy nagrywkach. W końcówce 2002 r. ukazała się autobiograficzna książka, w której oznajmił, że następnym albumem kończy karierę. „Grand Champ" z sierpnia 2003 r. trochę zawiodło. DMX nie był już na tym krążku taki drapieżny, aż za bardzo filozofował i odpływał w stronę uduchowionych treści. Tylko dwa umiarkowane hity („Get It On The Floor" i „Where The Hood At"), dużo wypełniaczy i nudna całość utwierdziły wielu fachowców i fanów w przekonaniu, że decyzja rapera o wczesnej emeryturze jest słuszna.

DMX wcale jednak nie próżnował przez ostatnie lata. Próbował bawić się a to w pastora i kaznodzieję, a to w aktora, a to w psychologa do spraw trudnych dzieciaków. Oczywiście parę razy pokazał też swoją ciemną stronę, dając się przyłapać na jeździe bądź to za szybkiej, bądź pod wpływem, czasem bez prawa jazdy, a czasem z fantami (pistolet, jointy) w aucie. Nie raz i nie dwa kogoś pobił albo ktoś jego pobił. Zyskał w pewnym momencie pseudonim rapowego Johnny'ego Casha i rzeczywiście coś w tym jest. Wiecznie zbuntowany, niepoddający się, a zarazem przybity depresją. Z jednej strony pełen miłości, pasji i zrozumienia dla innych ludzi, a z drugiej nieumiejący dostosować się do pewnych norm społecznych.

Ostatecznie nie wytrzymał bez rapu. Nie umiał dłużej stać z boku sceny. Ponoć usłyszał wołanie Boga, który wskazał mu, że czas powrócić i znowu przekazać ludziom coś ważnego swoją muzyką. Tak oto jesteśmy świadkiem powrotu legendy. Ruff Ryder Warrior Number 1 właśnie powrócił. Czy na długo?

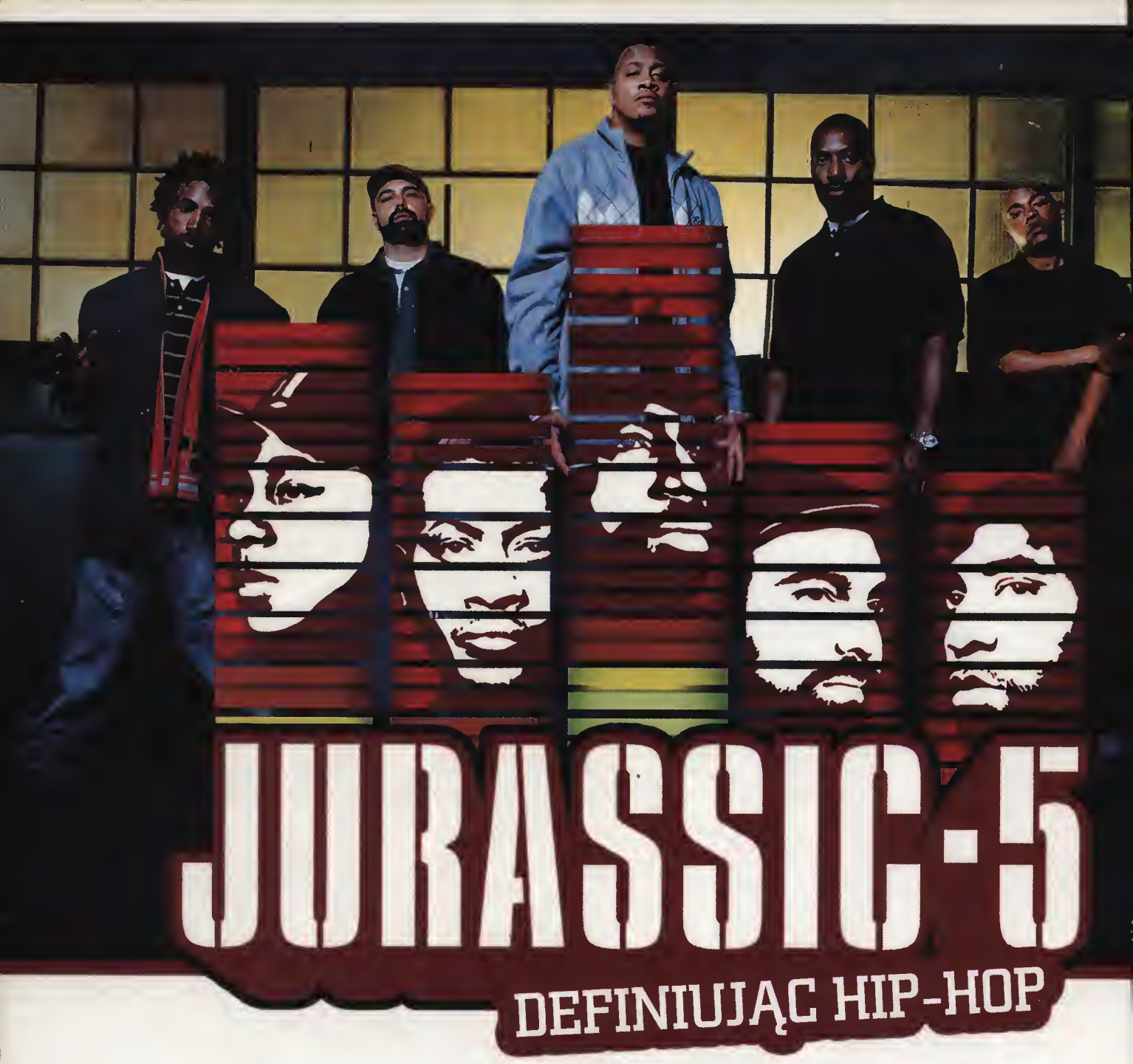

JURASSIC 5

DEFINIUJĄC HIP-HOP

Chali 2na, Akil, Marc 7even, Zaakir i DJ Nu-Mark właśnie powrócili z nową płytą, niestety bez Cut Chemista na pokładzie. Razem z grupą, która wyraźnie przyczyniła się do kalifornijskiego renesansu w hip-hopie pod koniec lat 90., jeszcze raz zdefiniujemy sobie kilka ważnych, nie zawsze rozumianych słów

tekst Marcin Flint

TRUESCHOOL

O co chodzi tak naprawdę z „prawdziwą szkołą"? O przywrócenie hip-hopowi pewnej radości tworzenia z czasów, gdy był jeszcze przygodą, zajawką, pozytywną wibracją, a nie wyścigiem. Pamiętacie zapewne reżyserowany przez Spike'a Lee film „Crooklyn". Owszem, gdzieś między rzędami nieustannie obsiadywanych schodów, studzienek ściekowych pośrodku jezdni, hydrantów i małych sklepów z rzadka prowadzonych przez rdzennych Amerykanów zdarzała się przemoc, kradzieże, zdarzali się wąchający klej goście krojący dzieciaki z kasy. Ale kiedy „Jurajska Piątka" chciała wziąć hip-hop z powrotem na ulicę, bynajmniej nie chodziło jej o patologię, tylko o entuzjazm, o kreatywność pyskatych malolatów z nienajlepszych dzielnic, którzy postanowili zawalczyć z monotonią i znaleźć własny sposób wyrazu.

Prehistoria zawarta w nazwie z jednej strony świadczy o szacunku dla dinozaurów rapu, którzy umieli razem wynieść hip-hop bardzo wysoko. I to bez oglądania się na to, że białasy z Beastie Boys pochodzą z zarobionych żydowskich rodzin, a goście z EPMD raczej nigdy nie klepali biedy. Z drugiej strony, to nostalgia, tęsknota za miejscami w rodzaju ospałych zakładów fryzjerskich stanowiących centrum kulturalne okolicy (dokładnie takich jak ten z początku klipu „The Influence"), za miejscami, w których sprzedawano nastolatkom lody z nieznośnie kolorowych vanów przypominanych w „Quality Control". Oczywiście rap poszedł do przodu i nikt nie chciałby rezygnować z powalającego, dynamicznego brzmienia osiąganego za pomocą coraz lepszego sprzętu, z różnorodności flow, z gęstych rymów w finezyjnie pozbijanych wersach.

Wierne odtwarzanie oldschoolu mija się z celem, przecież większość staroszkolnych produkcji trudno dziś wysłuchać bez zniecierpliwienia. A gdyby tak jednak czerpać tylko to, co dobre, i wyplenić parę wkurzających manier z gatunku tych, które jak paso-

żyt narosły na rap lat 90.? Gdyby zamienić solistów z monstrualnym ego na zgrany, wieloosobowy zespół, a niekończące się zwrotki na krótkie, przeplatające się nawzajem wejścia? Gdyby wymienić usilne jechanie poza beatem na trzymające się go, rytmiczne style? Moment, moment... A propos beatu. Co wolicie – ciężkie do przyswojenia mozaiki składane z drobinek poszatkowanych sampli, czy proste, płynące, bujające głową podkłady, dające przy słuchaniu wiele radości? A jak jest z refrenami? Czy aby nie fajniej trafić na takie wykonywane przez cały zespół, dodające kawałkom siły, w miejsce stękających, mdłych panienek? Lepiej mieć błyskotliwe, lekkie wersy czy teatralną przemoc, wystudiowane okrucieństwo, które przestało już szokować, a budzi jedynie politowanie? Dość retorycznych pytań. Jurassic 5 swoją epką (niewiele później wzbogaconą do LP) wjechali na scenę po królewsku. To stara, stylowa fura po pozbawionym obciachu tuningu.

TURNTABLIZM

Dzisiaj słuchacze rzucają się na drobiny skreczu w mainstreamowych nagraniach jak psy na ochłap mięsa. Jurassic 5 z miejsca było w stanie przygotować ucztę, mając w składzie dwóch DJ'ów w pełnym znaczeniu tego słowa (Cut Chemist i DJ Nu-Mark). A więc typów, którzy zagrają imprezę dla ludzi i taką, gdzie będą pojedynkować się z podobnym im maniakami. Gości doskreczowujących album w stopniu nakazującym nazywanie ich partnerami mc, a nie dodatkiem do nich. I w tym przypadku będących także twórcami podkładów. Bo skoro już jesteś w stanie jeździć w najdziwniejsze miejsca świata, by wzbogacać swoje zbiory o najrzadsze winyle grup znanych garstce ludzi, to czemu ich nie zsamplować i nie wrzucić na dobrą perkusję? Zwłaszcza że słuchem i wyczuciem rytmu w tym fachu i tak musisz dysponować. Muzyka to muzyka.

To dobre myślenie, które w swoim czasie przyniosło nam talenty takie jak Preemo czy Pete Rock, a w wypadku J5 rozwiązało problem kupowania beatów. W kwestii gramofonowych ewolucji Cut Chemist poszedł nawet krok dalej, przygotowując tzw. lekcje – najpierw dorzucając swoje trzy grosze do działań DJ'a Shadowa, potem tworząc autorską „Lesson 6" (obecną w różnych wersjach na różnych wersjach epki, choćby z racji na problem z wykorzystaniem fragmentu kompozycji z „Gwiezdnych wojen"). Lekcje to gęsty kolaż sampli z nagrań i filmów, których wyczyszczenie (czyli wykupienie praw do ich wykorzystania) stanowiłoby koszmar dla każdego wydawnictwa. Brudny Harry może spotkać na nich królika Bugsa, Groucho Marx Humphreya Bogarta, gatunki tasują się niczym karty w łapach szulera. Trzy pierwsze lekcje – przygotowane przez Double Dee i Steinskiego – uważane są za coś, co zapoczątkowało turntablizm, czyli kierunek, który nakazał traktować gramofon jak pełnoprawny instrument.

O ile w pewnym sensie turntablizm wyprowadził DJ'ing poza hip-hop, tak miłość do adapterów wyprowadziła Cut Chemista poza skład Jurassic 5. Nie miał czasu na przygotowywanie swojej zapowiadanej na jesień płyty „The Audience's Listening", gdzie dźwięki ze Wschodniej Europy mają krzyżować się z tymi z Brazylii, gdzie ma być miejsce na rock i... zwrotkę Mr. Lifa. Pozostał Nu-Mark, DJ najwyraźniej kierujący się nieco innymi priorytetami. O ile Cut Chemist na swoim solowym „Litmus Test" chciał pokazać, jaką technikę posiadł, tak na płycie „Hands On" Nu-Marka najważniejszy pozostał groove, chęć tego, by była to dla słuchacza spójna, pozytywnie wibrująca całość.

FEATURING

Współpraca wpisana jest w hip-hop od jego początku, a dzielenie tracku z innymi raperami czy branie podkładów od różnych producentów to rzeczy świadczące o unikalności gatunku. Na losy J5 zawsze wpływało sporo osób. Nie byłoby tego brzmienia, gdyby nie godziny spędzone w Good Life Cafe wraz z legendami zachodniego wybrzeża: Pharcyde i Freestyle Fellowship (znanymi minimalnie i to głównie za sprawą Aceyalone'a). Nie byłoby tej obywatelskiej świadomości (najnowszy klip „Work It Out" to perfidna satyra na Busha), gdyby nie nasilone kontakty z Ozomatli (czymś pomiędzy liczną grupą muzyczną a latynoskim ruchem społecznym).

Zespołowi zawsze było po drodze z kolektywem Quannum czy Dilated Peoples, a dobra chemia i wzajemna osobista sympatia znacznie pomogła w kreowaniu oblicza zachodniej sceny niezależnej. Ponadto liczne zaproszenia na gościnne występy potwierdziły wielki, wyróżniający się na tle kolegów z zespołu talent Chaliego 2ny – olbrzyma z głosem niższym od średniej wieku kochanek R. Kelly'ego. Odnajdywał się w różnych klimatach, u różnych artystów. Rozkręcił „Join The Dots" zakręconego Brytyjczyka Roots Manuvy, nie zapomniał o sąsiadach z Kanady dając chłopakom ze Swollen Members pewny strzał w postaci „Full Contact", nadał nowe, lepsze oblicze „Frgt/10" Linkin Park, do rangi mistrzowskiej podniósł „4000 Miles" Blackalicious. Duża część tych popisów zebrana została na mixtapie „Fish Market", dostępnemu nawet w Polsce i przygotowującemu grunt pod solówkę.

KOMERCJA

„LP" stanowiło przedsmak filozofii zespołu i „staro-nowego" brzmienia. „Quality Control" jest jego kwintesencją i korzysta z wypracowanej formuły w stopniu tak dużym, że aż należy się zastanowić, czy aby jej nie wyczerpuje. Jednak chyba nie, bo trzeci w dorobku krążek „Power In Numbers" jest może mniej ciekawy i odkrywczy niż kolejne krążki wspominanego wyżej Blackalicious, ale pokazuje żelazną konsekwencję, wiarę wobec deklarowanych postanowień i nie ma prawa zawieść fanów grupy. Lepsza jest w końcu odrobina stagnacji niż ostentacyjne ustawianie się z wiatrem, jakie zaprezentowali nam Black Eyed Peas.

Pewien niepokój można było dopiero poczuć czytając, iż na solówce Chaliego 2ny ma być mocny rys dancehallowy, gdyż póki co nie było ku temu żadnych przesłanek, a dancehall stał się modny jak mało który gatunek. Początek czwartego albumu grupy, „Feedback", potwierdza najgorsze przeczucia i stanowi już dowód najzwyklejszej zdrady. Tytuł „Radio" ma prawo kojarzyć się z kultowym debiutem LL Cool J'a, tu zaś jest to syntetyczne nieszczęście z dzwoneczkami, których wstydziłoby się Papa Dance. Infantylne, słodkie, babskie zawodzenie o jakimś „cukrze w śliwuni" w następnym kawałku „Brown Girl" woła tak naprawdę o pomstę do nieba.

Jasne, The Roots też sięgnęli po beat gorącego, choć nierównego jak cholera Scotta Storcha, ale jest to wszak ich dawny klawiszowiec, a Black Thought umiał na tego typu podkładzie pojechać nieco inaczej. J5 rymują zaś dokładnie tak samo jak wcześniej. I o ile Jurassic 5 w reklamie Nike'a z ciekawie zremiksowanym „Improvise" jakkolwiek nie denerwują, to stosując chwyty takie jak powyżej, jasno definiują słowo „komercja". Myślą o sprzedawaniu materiału na poziomie procesu twórczego, nie po nim. Im dalej w „Feedback", tym lepsze wrażenie oraz więcej esencjonalnego brzmienia, ale niesmak pozostaje.

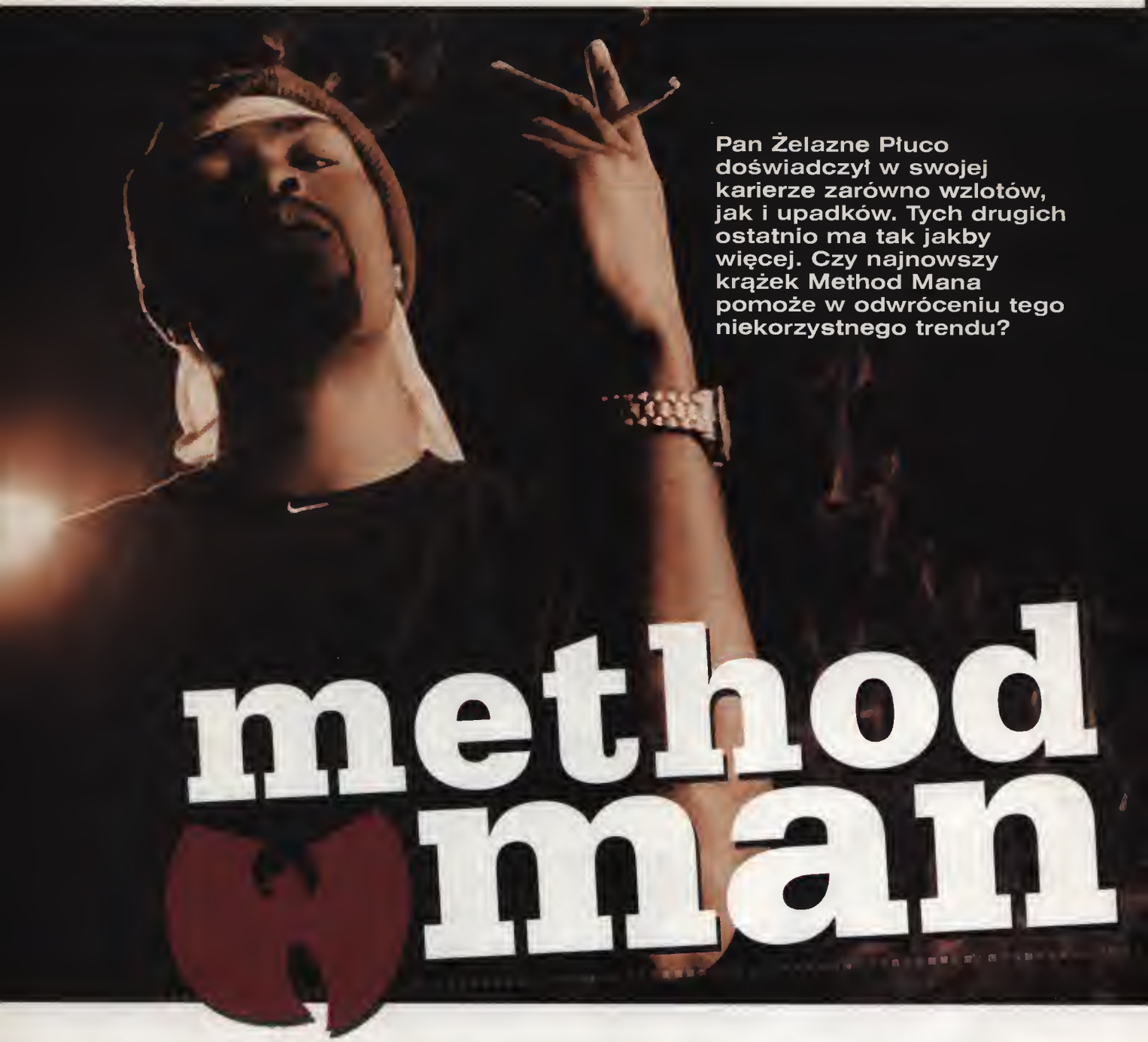

Pan Żelazne Płuco doświadczył w swojej karierze zarówno wzlotów, jak i upadków. Tych drugich ostatnio ma tak jakby więcej. Czy najnowszy krążek Method Mana pomoże w odwróceniu tego niekorzystnego trendu?

method man

Method Methodem, ale warto przyjrzeć się, co robią obecnie pozostali członkowie owianego sławą Wu-Tang Clanu. Przed wami zatem taki krótki przegląd

GHOSTFACE KILLAH

Pisaliśmy o nim w „Ślizgu" dwa miesiące temu. W marcu wydał swój piąty solowy (a szósty, licząc duet z Trife Da Godem) album „Fishscale". Obecnie bodaj najbardziej ceniony raper z WTC, często zapraszany na featuringi przez innych arystów. Teraz przygotowuje projekt z MF Doomem, którego zwiastunem jest kawałek „Angels".

RZA

Naczelny beatmaker Wu-Tangu póki co nie szykuje solowego materiału. Po trzech płytach solowych i dwóch producenckich (wliczając w to ścieżkę dźwiękową do „Ghost Doga"), w tej chwili pracuje z Raekwonem i Method Manem nad ich nowymi wydawnictwami. Ostatnio pojawił się na najświeższej płycie Lorda Jamara z Brand Nubian. Do tego grywa drobne rólki w filmach.

RAEKWON

Zaczął solową karierę od klasycznego już dziś „Only Built For Cuban Linx" z hitem „Ice Cream". Potem nastąpiły dwa słabiej przyjęte albumy „Immobilarity" oraz „The Lex Diamond Story". Obecnie wszyscy czekają na drugą część pierwszego krążka Raekwona. I czekają, i czekają... Zdaje się, że cierpliwość może być nagrodzona już niebawem, bo choć nie ma oficjalnej daty wydania płyty, to wszak niedawno pojawił się mixtape niejako ją zapowiadający, czyli „The Da Vinci Code Vatican Mixtape, Vol. 2".

INSPECTAH DECK

Po dwóch średnio udanych solówkach (w sumie nieco ponad 600 tysięcy sprzedancyh egzemplarzy) słuch po nim zaginął... Nie, nie jest tak źle. Rebel INS pojawił się gościnnie u kilku „braci" z Klanu, a teraz dopiero co wydał trzeci krążek „Resident Patient". Następnie rapera będziemy mogli jednak usłyszeć (ponoć w całkiem dużym wymiarze) u boku Raekwona na „Cuban Linx II".

MASTA KILLA

Najmniej „płodny", a przy tym najbardziej tajemniczy z członków Wu-Tang Clanu. Wydał tylko jeden krążek „No Said Date" i to dopiero w 2004 roku, do tego w niezależnym labelu Na-

tekst Krzysztof Grabowski (Grabiszczy)

Oficjalna tracklista nadchodzącej płyty „4: 21. The Day After" została ogłoszona przez Def Jam już spory kawałek czasu temu. Mamy więc wykaz producentów (RZA, Eric Sermon, Scott Storch, Havoc), mamy też zestawienie gości (Fat Joe, Lauryn Hill, Raekwon, Styles P). Oczywiście nie znaczy to nic, bo próby klasyfikacji albumów już przed ich ukazaniem się właśnie na podstawie listy kawałków nie zawsze okazują się słuszne. Trzeba poczekać i dopiero wtedy oceniać ostateczny efekt. Póki co, sam Meth zapowiada, że kilka rzeczy zrozumiał, parę innych dogłębnie przemyślał i wyszło mu, że musi coś zmienić. Bardzo słusznie, biorąc pod uwagę, jak ostatnio rozwijała (czy raczej zwijała) się jego kariera.

CAN IT BE ALL SO SIMPLE

„Czy to wszystko nie może być proste", jak pytają członkowie Wu Tang Clanu na swoim debiutanckim krążku? Ależ może, i na początku przygody Method Mana z muzyką właśnie tak było. OK, nie mówię tu o jego trudnej, ubogiej młodości i handlu narkolykami, bo jestem pod wrażeniem, że w ten sposób zaczynało bodaj osiemdziesiąt procent czarnoskórych emce. Kiedy jednak Clifford Smith (prawdziwe nazwisko rapera) „nawrócił" się na muzykę, bardzo szybko wieść o jego umiejętnościach rozniosła się po ulicach Nowego Jorku. Kiedy zaś miał 21 lat, pewien chłopak imieniem RZA zaprosił go do tworzonego przez siebie składu. Jak to się mówi, reszta jest historią.

Debiut WTC „Enter The Wu Tang (36 Chambers)" zamiótł rapową scenę dokumentnie. Nie ma się co czarować – Method Man skorzystał na sukcesie swojego zespołu w hardcorowo wymierny sposób. Nie dość, że wyrobił sobie markę dzięki kawałkowi nazwanemu od jego ksywki (i wykonywanemu tylko przez siebie), do którego na dodatek powstał klip, to jeszcze jako pierwszy członek Wu Tangu wydał solowy album (nie liczę tu płyty projektu Cravediggaz założonego przez RZA).

Krążek „Tical" był niejako kontynuacją materiału całej grupy. W całości wyprodukował go wspomniany RZA – te same „brudne" brzmienia z mocną stopą i charakterystycznymi wstawkami z dalekowschodnich filmów kung fu. Meth zdołał nawet zgarnąć na własność nagrodę Grammy za hicior ze swego debiutu „I'll Be There For You / You're All Need To Get By", w którym towarzyszyła mu sama wschodząca wówczas gwiazda r'n'b, Mary J. Blige. Świat stał przed Johnnym Blaze'em (czy muszę dodawać, że to kolejna ksywka rapera?) otworem...

QUESTIONING YOUR OWN MENTAL HEALTH

Oj tak, Method poddawał w wątpliwość nasze zdrowie psychiczne. Szkoda, że mało kto pamięta, iż między „Tical" a drugim albumem Wu-Tangu, „Forever", Ticallion Stallion (czyli kto? – wyhaczcie, ale nie będzie konkursu) budował sobie pozycję kolejnymi przebojami. I tak pojawił się kawałek promujący film „Batman Forever", czyli „The Riddler", a niebawem po nim numer „Hit'em High" ze „Space Jamu", czyli słynnej już kreskówki z Królikiem Bugsem i Michaelem Jordanem. Mr. Smith już wówczas zyskał poważanie w światku hip hopu.

Nazywanie Method Mana rosnącą gwiazdą może i zakrawa dziś na przesadę, ale w połowie lat 90. wcale nie było niczym dziwnym. Dlatego druga jego solówka – wydana po drugim albumie Wu Tangu – oczekiwana była ze sporym zniecierpliwieniem. Każdy fan liczył na kolejny takomy kąsek ze strony spełniającego emce. I co? I trudno powiedzieć, co. Album „Tical 2000: Judgement Day" (1998 r.) zyskał cholernie skrajne recenzje. Z jednej strony było wszystko w porządku, z drugiej raperowi oberwało się głównie za niepotrzebne przeciąganie materiału, głupkowate skity i porzucenie w wielu momentach ideałów Wu Tangu... Kwestia może i sporna, ale nie ulega wątpliwości, że w tym momencie zaczęło się coś psuć. Sprzedaż nie pozostawiała nic do życzenia, ale recenzje nakazywały raczej mieć się na baczności.

Pozytywne odczucia Method Mana były mimo wszystko zapewne tym większe, że coraz większa grupa ludzi zapraszała go do wspólnych nagrywek. I tak wśród współpracowników Shakwona (eee, kogo??? – pytacie) z tamtego okresu można wspomnieć choćby Mobb Deep, Mariah Carey czy Xzibita. Mniej więcej w tym samym czasie zacieśniła się przyjaźń naszego bohatera z Redmanem. Przyjaźń, która zaowocowała ostatnim jak dotąd dobrze przyjętym materiałem Method Mana, czyli nagranym w duecie krążkiem „Blackout" (1999 r.).

WHAT'S HAPPENING

No właśnie, co się działo potem? Nie licząc filmu „How High" (czyli w polskiej – wcale nie słabo przetłumaczonej – wersji „Super zioło" ...), niewiele. W rzeczonym „dziele" Meth i Red zagrali bardzo średnie role, nagrali przeciętny numer promujący je, po czym (i to obydwaj – ale jeśli chodzi o Redmana, to temat na oddzielny artykuł) zostali pochłonięci przez cienie okrywające marginesy szołbizu.

Co prawda, Hot Nikkels (ja, każdy chciałby mieć trzysta ksywek...) ani na moment nie przestał być szanowany przez środowisko, ponieważ zapraszali go choćby Missy Elliott, Naughty By Nature, Cypress Hill czy niedawno Ashanti. Jednak niewiele z tego wychodziło. Płyta „Tical 0: The Prequel" (2004 r.) promowana przez singiel zatytułowany tak jak ta część artykułu, popadła w niepamięć. Ksywka Method Mana wciąż była synonimem dawnych, dobrych czasów, ale dla co młodszych odbiorców rapu stała się nagle mało znana. A to błąd.

Dlaczego? Cóż, zróbmy chłopakowi reklamę, niech zyska dzięki „Stizgowi" tych trzech nowych słuchaczy. Po pierwsze, Meth jest jednym z najbardziej ogarniętych medialnie raperów, co akurat biorąc pod uwagę takt jego zgarnąć może być nie do uwierzenia. Po drugie, mimo znikomej formy swoje zrobił i należy to niewątpliwie docenić (to tak jak z Hintem, nie?). Po trzecie wreszcie, jest wszak naprawdę dobrym raperem, dysponującym wyjątkowym flow i barwą głosu, a septenienie dodaje temu wszystkiemu uroku. Puenty nie będzie

ture Sounds, który zapewnił mu – delikatnie mówiąc – dosyć słabą promocję. Obecnie możecie sprawdzić kawałek „Ringing Bells", który zapowiada przesuwający się w czasie drugi album rapera „Made In Brooklyn".

OL' DIRTY BASTARD

Cóż, tu sprawa jest raczej prosta. ODB spoczywa w pokoju od października 2004 roku. Jako przyczynę jego śmierci orzeczono przedawkowanie kokainy w połączeniu ze środkiem przeciwbólowym. Karierę miał bogatą nie tylko w wydarzenia związane z muzyką (trzy płyty za życia, duże hity „Shimmy Shimmy Ya" czy „Got Your Money"), ale i pełną zakrętów na drodze życiowej. Po śmierci wydano oficjalny mixtape „Osirus", ale na zapowiadany album „A Son Unique" wciąż nie można się doczekać, bo są problemy z jego wydaniem po wycofaniu się Damona Dasha.

U-GOD

Chyba najmniej poważany członek Wu-Tangu. Nagrał dwa krążki, z których drugi, wydany w 2005 roku „Mr. Xcitement" przeszedł bez jakiegokolwiek echa, podobnie jak wydany rok wcześniej album promowanego przez „Ugodz-Illę" składu Hillside Scramblers. U-God był przez pewien czas skłócony z innymi członkami Wu (głównie z RZą). Jak jest obecnie – tego na dobrą sprawę nie wiadomo.

GZA

W zeszłe wakacje zagrał koncert w Warszawie, a na jesieni wypuścił krążek „Grandmasters" we współpracy z DJ'em Muggsem. Ma ponadto na koncie cztery solowe albumy z najbardziej cenionym „Liquid Swords" na czele. Kolejnego wydawnictwa rapera możemy spodziewać się pod koniec roku. Płytę wydać ma label Babygrande.

WU TANG

HARDKOROWE BRZMIENIE

MAJĄ TO, CO CHCIELI

Debiutantów na naszej scenie hip-hopowej nie ma zbyt wielu. Trudno jest mniej znanym wykonawcom przekonać kogokolwiek do współpracy na tym gruncie. Nie wszyscy jednak załamują ręce. Są też tacy ludzie, jak Jarecki, Krit, Jolf i Trojak z Hardkorowego Brzmienia, którzy spełnili swoje marzenia i mają dla Was krążek „Mamy to co chcemy". Sprawdźcie „ślizgowy" wywiad z warszawiakami

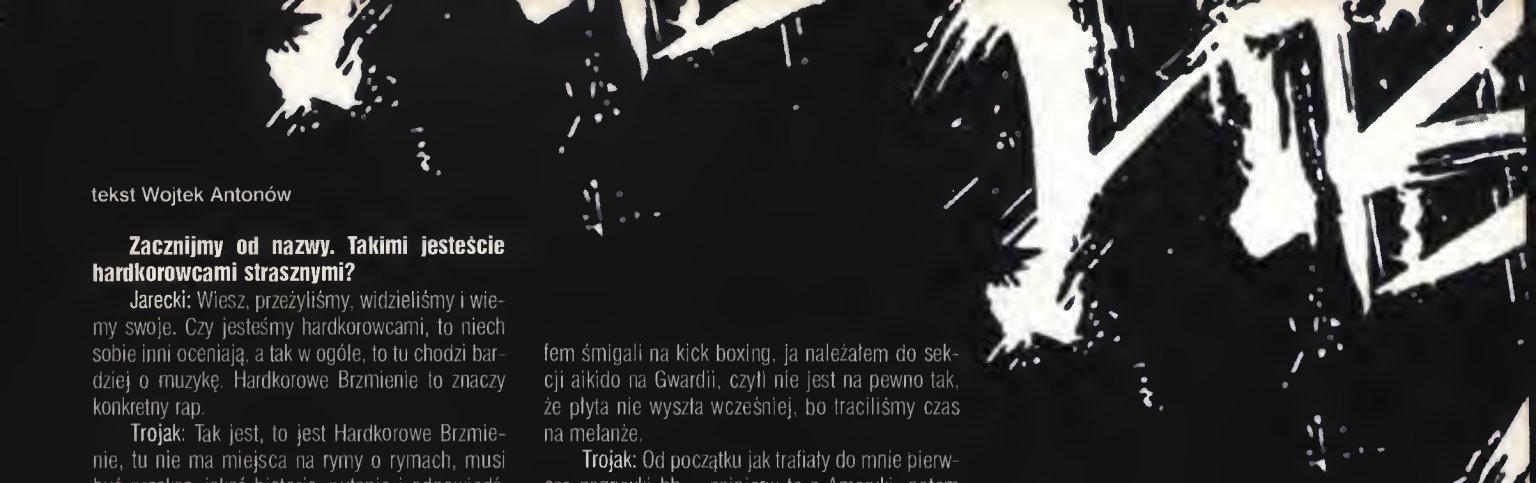

tekst Wojtek Antonów

Zacznijmy od nazwy. Takimi jesteście hardkorowcami strasznymi?

Jarecki: Wiesz, przeżyliśmy, widzieliśmy i wiemy swoje. Czy jesteśmy hardkorowcami, to niech sobie inni oceniają, a tak w ogóle, to tu chodzi bardziej o muzykę. Hardkorowe Brzmienie to znaczy konkretny rap.

Trojak: Tak jest, to jest Hardkorowe Brzmienie, tu nie ma miejsca na rymy o rymach, musi być przekaz, jakaś historia, pytanie i odpowiedź. Myślę, że jest to hardkorowe pod względem brzmienia i liryki.

Krit: Te kawałki, które są na płycie, to jest właśnie Hardkorowe Brzmienie. To jest odpowiedź na to, czy jesteśmy hardkorowcami. Każdy, kto posłucha, będzie wiedział. Nagraliśmy dużo więcej materiału, ale na płytę wsadziliśmy tylko te numery, które naprawdę pasują do naszego klimatu i mówią o nas i naszym życiu.

Czyli solidnie przygotowaliście się do pojawienia się na scenie?

Trojak: Od jakiegoś czasu nagrywaliśmy kawałki, a teraz przyszła pora wypłynąć na szersze wody, do czego już jesteśmy gotowi.

Jarecki: Po prostu dobrze się nam pracuje, potrafimy się dogadać. Dwa lata pracy i mamy płytę. Choć zdarzało się też siedzieć po 13 godzin w studio, ale tylko po to, żeby wszystko było jak należy.

Trojak: Tak to wyglądało, chłopaki dawali temat, pomysł na kawałek, ja dawałem bit albo parę bitów, nagrywaliśmy. I tak powstawały kolejne kawałki. Jeśli chodzi o featuringi, to wszyscy goście na płycie są naszymi dobrymi znajomymi, więc z tym nie było żadnych problemów. Ich wersy były sprawą oczywistą.

Faktycznie, macie paru ciekawych gości na płycie. Powiedzcie coś o nich i jak konkretnie doszło do współpracy.

Jolf: Przede wszystkim, jak powiedział Trojak, to są nasi kumple, znamy się nie od dziś i współpraca z nimi nie jest żadnym przypadkiem. Chłopaków z Prototypu i Czarnego poznaliśmy u Waca, byli w porządku i zaczęła się współpraca. Z TDF'em znamy się od dawna, z czasów śmigania na desce pod „Kapciem", czyli kinem „Kapitol". Pezet mieszka na osiedlu obok. Jest dobrym MC, a przede wszystkim dobrym ziomem i też chętnie dograł zwrotkę.

Krit: Z Miodem spotkaliśmy się u Arturka w Radości. Po przestuchaniu „Blanż De Blanż" stwierdził, że dogrywa. Jedna z dziewczyn, które udzieliły się wokalnie na „Mamy to co chcemy", mieszka na naszym osiedlu, a druga Karolina to rodzina (śmiech). Jeśli chodzi o Waca, to wiadomo, robiliśmy u niego materiał, miał zajawkę i się dograł.

Jesteście głęboko osadzeni w stołecznych hip-hopowych realiach i znacie to wszystko od samego początku. Dlaczego zatem dopiero teraz zdecydowaliście się spróbować wypłynąć na powierzchnię?

Jarecki: Dokładnie tak, znamy to. Trzeba jednak dorosnąć, posiedzieć w studio, potrenować, żeby wypuścić potem coś konkretnego. Poza tym, oprócz szkoły chodziliśmy na treningi. Krit z Jolfem śmigali na kick boxing, ja należałem do sekcji aikido na Gwardii, czyli nie jest na pewno tak, że płyta nie wyszła wcześniej, bo traciliśmy czas na melanże.

Trojak: Od początku jak trafiały do mnie pierwsze nagrywki hh najpierw te z Ameryki, potem „Skandal" Molesty, Warszafski Deszcz moim marzeniem było robić rap i wydać płytę. Teraz, po tylu latach pracy z HB to marzenie się spełnia i jest pięknie. Do niektórych rzeczy trzeba po prostu dojrzeć.

Powiedz, Krit, Ty przecież nawijałeś na Warszafskim w Metropolii już 10 lat temu. Nie miałeś okazji zaistnieć gdzieś wcześniej?

Krit: Nie tylko na Warszafskim, bo współpracowałem również z OMP. Wiesz, minęło dużo czasu, człowiek się trochę zmienia... Miałem różne propozycje, ale przede wszystkim chciałem robić to niezależnie, ze swoją ekipą. Skompletowaliśmy sprzęt i wybudowaliśmy własne studio. Mam najlepszą na świecie kabinę (śmiech). Nie mam już przez to miejsca na łóżko, ale pieprzę to. Mam gdzie nagrywać, kiedy chcę i o której chcę, i każdemu MC tego życzę.

I cały czas masz zajawkę na robienie rapu?

Krit: Proste. To jest dla mnie rytuał. Robię to od wielu lat. Zamykam się w czterech ścianach, kręcę sobie, yyyy... taśmę (śmiech), włączam bit i piszę tekst. Skupiam się na tym, żeby to miało brzmienie, sens, żebym był z tego zadowolony. To jest moja jazda i nie mógłbym od tego tak po prostu odejść. Jakiś czas temu pracowałem w firmie, musiałem podejść bardziej życiowo do niektórych spraw, ale w końcu powiedziałem: „Kurwa, cały czas patrzę na zegarek, liczę czas, nie robię nic konkretnego i tak ma być do usranej śmierci?" Człowiek w ten sposób nie przeżyje życia tak, jakby chciał. Zostawiłem pracę i postanowiłem spróbować. Teraz robię rap, trzeba się poświecić. Czas pokaże, jak będzie.

Nie boicie się, że teraz, kiedy wydaje się i pojawia tyle słabego „pseudo rapu", Hardkorowe Brzmienie zaginie gdzieś w tym nattoku, a Was wrzucą do jednego rapowego worka rodem z Radia Eska?

Trojak: Tak naprawdę, taka sytuacja w rapie tylko nas zmotywowała do wydania tej płyty. Teraz małolaci i małolatki odbierają Verbę i Meza jako prawdziwy hip-hop. Ścięli włosy, zdjęli glany i teraz są hip-hopowcami. Ale jestem świadomy tego, że są też ludzie, którzy się znają na rapie i ich nie oszukasz. Jak jesteś dobry, to cię docenią i o to chodzi. Na pewno płyta nie sprzeda się w takich nakładach jak np. Mezo, ale ludzie będą wiedzieli, że jest dobra.

Krit: To wszystko znowu w sumie wraca do tego, że owszem będzie masa słabego powiedzmy „rapu", ale nikt nie będzie tego traktował poważnie, chyba że garstka siusiaków-małolatów. Ale zajawka zostanie. I ci, którzy wiedzą, o co chodzi, docenią to, co dobre i prawdziwe. I dla nich wielkie pozdro!

A co powiecie o stereotypie hip-hopowca, który nic nie robi, tylko jara blanty i melanżuje?

Jarecki: Na pewno są tacy, ale co zrobić, niech siedzą i zamulają... Tylko co z tego będą mieli?

Jolf: Zresztą to jest ich wybór. Wszystko jest dla ludzi, ale jeśli tylko to robią, to nie wróżę im świetlanej przyszłości.

Trojak: Ja to jestem sekcja sportowa: piłka nożna, koszykówka... Muszę cały czas coś robić, tak więc zamulanie odpada. A melanż? Wszystko można pogodzić, można pójść gdzieś w piątek, sobotę...

Krit: Ja robię teraz nowy projekt solo i wierz mi, mam co robić. Poza tym, razem z chłopakami przygotowujemy się do pracy nad nowym materiałem.

W jaki sposób będziecie promować Hardkorowe Brzmienie?

Jolf: Przygotowujemy się do kręcenia kolejnego klipu. Mamy również swoją stronę internetową www.HardkoroweBrzmienie.pl, ale przede wszystkim promocją będą dla nas koncerty. Pod koniec września ruszamy w trasę z TDF'em, prawie 5 tysięcy kilometrów, scenografia, wizualizacje. Na pewno ten kto przyjdzie, nie pożałuje.

Jak się czujecie w takiej konfrontacji z żywą publicznością?

Jarecki: Jak to jak?! Bardzo dobrze, zagraliśmy już kilka koncertów. To jest po prostu coś pięknego wiedzieć, że ci ludzie przychodzą na twój koncert, autentycznie jarają się tym, potem podchodzą i mówią ci, że koncert był zajebisty. To trzeba przeżyć, żeby zrozumieć.

Coś na koniec rozmowy?

Trojak: Pozdrawiam rodzinę, bratierstwo, metro Natolin skład i wszystkich zajaranych kulturą hip-hop. Kupujcie polskie rap płyty! Wspierajcie polskich artystów!

Jarecki: Czekajcie na naszą trasę koncertową!

Krit: Ja pozdrawiam wszystkich zajawkowiczów, którzy wkładają serce w hip-hop. Poza tym, niech wszyscy zwolnią trochę tempo, nauczą się szanować czas i żyją swoim życiem.

Jolf: Pozdro dla wszystkich słuchaczy, czytelników i dla wszystkich, którzy chcą nagrywać i robić rap. Nam się udało, wam też się uda!

MR. SCRUFF

TEN DIDŻEJ URATUJE CI WIECZÓR!

W swoich setach miesza Platinum Pied Pipers, Jazzanovę, Billie Holiday, Gang Starra i Komedę. Jako producent z równie dużą lekkością łączy muzyczne klimaty tworząc z nich abstrakcyjny hip-hop idealnie pasujący do Ninja Tune

tekst Andrzej Cała / „Machina"
foto Ninja Tune – serwis prasowy

W ilu wytwórniach do tej pory ukazywały się Twoje płyty, miksy, kompilacje, remiksy?

Nie umiałbym tego zliczyć. Trochę tego było, jakoś ze dwadzieścia albo i więcej.

No właśnie. Ale tak naprawdę kiedy myślisz Mr. Scruff, nachodzi cię od razu skojarzenie z Ninja Tune. Czujesz się jednym z „wojowniczych żółwi"? To Twój prawdziwy muzyczny dom?

Tak, zdecydowanie. Od dłuższego czasu to właśnie z tym labelem się utożsamiam, pasuje mi wizja artystyczna Ninja Tune, jej niekomercyjny charakter i to wszystko, co ogólnie rzecz biorąc składa się na wizerunek wytwórni. Bycie jednym z wojowników to powód do dumy.

Podobają Ci się wszystkie płyty z logo Ninja? Moim zdaniem, w katalogu tego labelu od dłuższego czasu nie pojawiło się nic naprawdę rewelacyjnego, a na jeden świetny album przypadają dwa średnie.

Nie zgadzam się z tobą! Nie każdy album z Ninja to mistrzostwo świata, ale chociażby w ostatnich miesiącach wyszły tam albumy Blockheada, Ammoncontact, Daedelusa czy Dwighta Trible i każdy z nich jest naprawdę wartościowym wydawnictwem.

A Skalpel Ci się podoba?

O tak, to świetni muzycy. W ogóle jestem wielkim fanem polskiego jazzu. Nie powiem ci dokładnie, kto jest moim faworytem, bo wasz język jest bardzo trudny, a nie chcę się ośmieszyć, ale mam mnóstwo płyt z wytwórni Poljazz i bardzo mi się podobają, stanowią ogromną inspirację do tworzenia.

A wiesz coś w ogóle o Polsce, czy też ta wrześniowa wizyta będzie pierwszą okazją do zebrania jakiejś wiedzy i doświadczeń?

Poza polskim jazzem znam waszą wódkę i słyszałem, że macie piękne dziewczyny. Poza tym, nie zaimponuję żadną większą wiedzą. Cieszę się, że będę mógł u was zagrać, mam też nadzieję, że znajdę trochę czasu, by połazić po sklepach z winylami i obejrzeć Warszawę.

Jaką muzykę grasz w swoich setach? Czy to eklektyczna mieszanka bardziej do zabawy, czy słuchania?

Zdecydowanie do zabawy. Kiedy przychodzisz do klubu, nie chcesz przecież stać pod ścianą i zamulać, tylko masz ochotę ruszać tyłkiem, podrywać dziewczyny i bawić się. Sięgam po różną muzykę – od jazzu przez dobry, tłusty hip-hop, reggae, soul aż do klasycznego disco. Zabieram ludzi, którzy przyszli na mój set w muzyczną podróż, ale unikam kawałków oklepanych, takich, które znasz z telewizji i radia. Granie tylko sprawdzonych szlagierów to pójście na łatwiznę.

Rozumiem, że nie jesteś zwolennikiem współczesnych stacji muzycznych czy radiowych?

Nie, w zdecydowanej większości to szmira. Kiedyś w Wielkiej Brytanii było wiele stacji radiowych z oryginalną, świeżą, ciekawą muzyką. Nie miały one jednak wielkiej siły przebicia ani pieniążków na wykupienie koncesji, w związku z tym ostały się tylko wielkie pop molochy. Wiesz – ciągle te same kawałki, plotki z życia gwiazd i głupie konkursy na zasadzie, kto zrobi z siebie większego idiotę na antenie.

O, to dokładnie jak w Polsce!

No tak, a myślę, że i w Australii, i w Chinach jest podobnie. Muzyka dla radia i telewizji jest jak McDonald's czy KFC – na całym świecie dostajesz te same produkty. Obecnie media nie starają się kreować czegokolwiek nowego, nie szukają młodych utalentowanych twórców, by dać im szansę zaistnienia, tylko nieustannie dają masom to, na co czekają. Wszystko ok, tylko zaoferujcie też coś nam – ludziom o trochę innych gustach muzycznych, ludziom niegodzącym się z tą papką i szmirą.

Kiedyś taką szansę dawały na Wyspach małe lokalne stacje pirackie. Czy teraz podobną rolę może spełnić Internet?

Tak, myślę, że Internet – poza wszystkimi swoimi wadami pokroju ściągania muzyki za darmo i okradaniem artystów – daje nam ogromną szansę na zaprezentowanie swoich możliwości i propagowanie tego, co ciekawe, daleko poza granicami. To jest piękna sprawa, kiedy młody DJ z jakieś niewielkiej miejscowości z Polski może w sieci umieścić swój set, który dotrze też do ludzi z Nowej Zelandii albo Brazylii.

Zgadzam się. A powiedz mi, czy Ty osobiście odczułeś w znacznym stopniu to internetowe złodziejstwo? Myślisz, że z Twojej kieszeni uciekło dużo funtów?

Ech, pierdolić to. Na pewno trochę kasy straciłem przez wszystkie te serwisy z wymianą plików, ale przecież nie mogę tego zmienić ani na to wpłynąć. Cieszę się, że gram imprezy na całym świecie, inni artyści proszą mnie o remiksy, a kilka tysięcy osób kupuje jednak moje rzeczy na oryginalnych nośnikach.

I co – można jako undegroundowy, ambitny artysta zarobić tyle, by nie narzekać na wysokość rachunków?

Nie jest łatwo, ale można z tego czerpać tyle radości i satysfakcji, by nie narzekać, ale ciągle szukać nowych sposobów wyrażania siebie przez muzykę, dawać ludziom dużo radości swoją pracą i czerpać ogromną przyjemność z patrzenia na ich uśmiech, podczas gdy ty grasz.

Mr. Scruff

Urodzony w 1972 r. Andy Carthy to jedna z legend brzmień okołohip-hopowych brytyjskiej sceny. Wydał cztery doskonałe albumy, ma też na koncie dziesiątki wysoko ocenionych remiksów (m.in. dla Jazzanovy, Christiana & Rae czy Marka Rae) i setki zagranych imprez na całym świecie. Ceniony jest za niezwykle bogaty repertuar wykorzystywanych w setach nagrań I oryginalne, bardzo trudne do sklasyfikowania brzmienie autorskich kompozycji. Od 1999 r. na dobre związany z wytwórnią Ninja Tune.

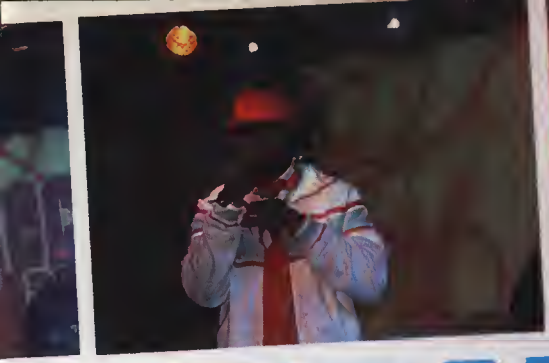

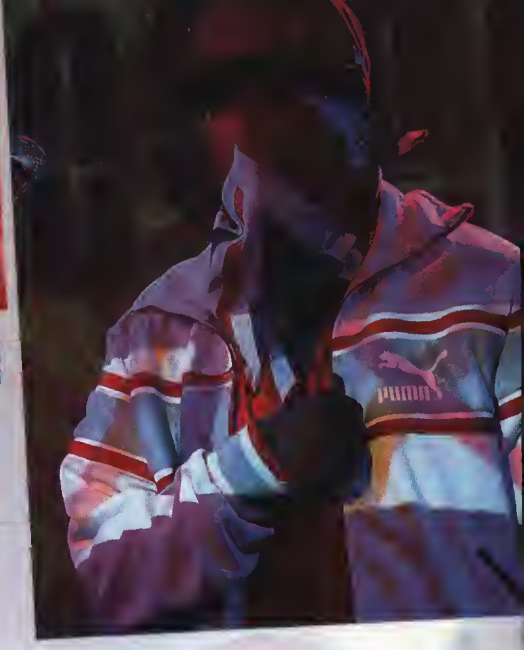

SWAY

ZWARIOWANY TYP

Brytyjski artysta, którego większość z was zna już ze „Ślizgu", zagościł niedawno w Polsce, dzięki czemu kilku szczęśliwców mogło go poznać osobiście. Na koncercie w warszawskiej Fabryce Trzciny mógł udowodnić wszystkim niedowiarkom (jeśliby tylko wiedzieli i przyszli), że ma olbrzymi talent i możliwości, by stać się popularnym nie tylko w Anglii, gdzie mieszka, czy Ghanie, skąd pochodzi jego rodzina

tekst i foto Dominika Cess

Dokonałeś czegoś, czego jeszcze żaden brytyjski raper nie zrobił – zyskałeś uznanie wśród Amerykanów, co nie jest łatwe, prawda?

Tak. Po pierwsze, przekleństwem większości brytyjskich raperów jest akcent. Druga rzecz to tematyka. Żaden Amerykanin nie zechce słuchać tekstów o tym, co się dzieje w Londynie, bo nie potrafi odnieść tego do swojego życia. Zazwyczaj, kiedy coś takiego słyszą, po prostu wyłączają sprzęt, zamiast spróbować coś zrozumieć i wyciągnąć jakieś uniwersalne wnioski. Jeżeli my nie rozumiemy, o czym oni mówią, usiłujemy się dowiedzieć jak najwięcej, by ich zrozumieć, zaś oni reprezentują inną postawę. Mają tak wiele milszych alternatyw, że to olewają. Dlatego trzeba przy nich używać łatwiejszych słów. Kiedy słyszę: „Ej, Sway nawija za szybko" od Amerykanów, to muszę po prostu zwolnić. Myślę, że to przyczyniło się do tego, że tamtejsi artyści zaczęli zwracać na mnie uwagę. Mam tu na myśli naprawdę istotnych artystów jak Ludacris, Pharrell, Lupe Fiasco... Nawet Kanye West o mnie wspominał.

Słyszałam, że masz już nawet gotowe utwory z Lupe czy z Akonem.

Tak, to prawda.

Szczególnie historia z Akonem mnie zaskoczyła, bo szczerze mówiąc należy do innego sortu artystów...

Tak, jest z nurtu komercyjnego, ale mimo tego nasze ścieżki się skrzyżowały. Kiedy usłyszał jeden z moich kawałków nagranych na jego podkładzie, był bardzo zdziwiony, mówił, że to szalone. Zaczął dociekać, kto to zrobił, co to za zwariowany typ. Tak czy siak, Ameryka to będzie twardy orzech do zgryzienia, ale myślę, że mam już kilka kontaktów i sporo pewności siebie, żeby spróbować coś zdziałać.

Nie obawiasz się skali sukcesu, który osiągniesz? W końcu każda sygnowana przez Ciebie płyta sprawia, że stajesz się bardziej popularny. Słyszałam zresztą, że zamierzasz skończyć rapować i zająć się tylko produkcją. Czy to prawda?

Tak. Mam zaplanowane pięć albumów. Pierwszym z nich jest „This Is My Demo" i to już mam zrobione. Płyta jest wydana, sprzedaje się nienajgorzej. Potem będą 4 kolejne płyty i koniec. Sukcesu się nie obawiam, ale też nie zamierzam być jak Jay-Z – żegnać się i wracać bez przerwy. Jak tylko nagram mój piąty album, definitywnie kończę z rapem.

Jak to jest możliwe, że wszystko sobie planujesz, a potem idzie zgodnie z tym planem?

Zaplanowałem pięć albumów, ale nie zaplanowałem, ile będzie utworów, o czym będę opowiadał w każdym z nich. Zawsze piszę o sprawach bieżących, mogę mieć jakieś skrawki myśli, które wykorzystam dopiero na piątej płycie, ale nic ponadto. Ponieważ świat wokół mnie i we mnie zmienia się cały czas, nie mogę przewidzieć tematyki piosenek o nim.

Jesteś osobą, która zawsze daje dużo wsparcia początkującym artystom. Na Twoich mixtape'ach, na płycie, podczas koncertów i po nich, znajdujesz miejsce dla mniej rozpoznawanych kolegów i koleżanek po fachu, na przykład Baby Blue.

Z Baby Blue to w ogóle jest długa historia. Kiedyś byliśmy bardzo bliskimi przyjaciółmi. Byliśmy ze sobą tak zżyci, że nagle wszyscy wokoło zaczęli mówić, że będziemy ze sobą chodzić, że to musi się skończyć miłością. A my nie chcieliśmy przekroczyć tej cienkiej linii, bo było dobrze tak, jak było. Za to im bardziej ludzie gadali, tym nas ku sobie bardziej popychali, a my się przed tym broniliśmy. W końcu presja była tak wielka, iż powiedzieliśmy sobie, że na jakiś czas musimy przestać się widywać, rozmawiać ze sobą. Doszło do sytuacji, że dzwoni do mnie rozżalona Baby i mówi: „Sway udzielam właśnie wywiadu w radiu, a oni zamiast o moje płyty pytają się, jak tam twój mixtape". Nadal jesteśmy przyjaciółmi, ale postanowiłem dać jej szansę zabłysnąć, bo szczerze mówiąc jest większą gwiazdą ode mnie, rapuje od małego i ma duży potencjał.

Porozmawiajmy teraz o czymś innym. Wielu afroamerykańskich raperów lubi mówić o powrocie do korzeni, do Afryki, ale tak naprawdę nie dałby nawet rady w tamtych warunkach. Jak Ty się odnalazłeś będąc w ojczystej Ghanie?

Ja nie muszę wracać do korzeni, bo nigdzie nie odszedłem. Jestem Afrykańczykiem z brytyjskim stylem. Jestem Londyńczykiem, myślę jak Londyńczyk, to moja mentalność, ale kiedy jestem w Afryce, czuję się, jakbym wrócił do domu. To cały czas płynie w moich żyłach, moje korzenie są tu, pod skórą.

Na koniec opowiedz mi o mixtape, o którym wspominałeś podczas koncertu.

„One Big Pisstake Mixtape" to pierwszy video-mixtape. Będzie miksowanie, skreczowanie, a wszystko nie tylko w sferze dźwiękowej, ale i wizualnej. Odkąd stałem się popularny, wielu ludzi lubi wspominać o mnie w tekstach, robią to artyści bardziej znani od Arctic Monkeys po Craiga Davida, ale i raperzy z podziemia. Część z nich jest chyba trochę zazdrosna, nie wiedzą, jak funkcjonuje ten biznes, nie wiedzą, jak Sway mógł się wybić, a ja tak naprawdę odwaliłem kawał dobrej roboty nie tylko z ćwiczeniem umiejętności, ale i planowaniem. Liczyłem ostatnio, że zostałem wymieniony w ponad 60 utworach. Jedni mówili o mnie dobrze, inni źle, ale „One Big Pisstake Mixtape" jest adresowany do nich wszystkich. Nie zamierzam odpowiadać na zaczepki każdego kolesia, bo nie chcę, żeby dzięki temu zyskał popularność. To jest bez sensu. Za to dzięki temu przedsięwzięciu zamierzam pokazać wszystkim, jaką jestem osobą.

Od niemal piętnastu lat na hip-hopowej arenie konsekwentnie realizują swoją wizję muzyki. Podpora Dungeon Family i pionierzy sceny z Atlanty. Duet, który zmazał hańbę, jaką dla tego miasta oznaczał wielki triumf Kris Kross. Jedni z nielicznych, którzy potrafili przełożyć wielki artystyczny sukces na oszałamiające wyniki sprzedaży. Jedyni w swoim rodzaju, Big Boi i Andre 3000 powracają

OUTKAST

tekst Andrzej Cała / „Machina"

Ubrania w kwiatki

„Śmiesznie wyglądasz!" „Ty też. Skąd masz te Conversy?" „A kupiłem sobie gdzieś w Savannah kilka lat temu." „Zajebiste są." „Twoje spodnie też są kozackie, fajne kwiatki." „Dzięki. Czym się zajmujesz, może porapujemy coś razem?" „Spoko, czemu nie?"

Nie wiem, czy właśnie tak wyglądał „poznawczy" dialog Big Boia (Antwana Pattona) i Dre (Andre Benjamina), ale czytając różne historie o założeniu grupy można z dużą dozą prawdopodobieństwa orzec, że właśnie tak było. Chłopaki poznali się w liceum w East Point, jednej z głównych dzielnic Atlanty. Spośród gromady uczniaków wyróżniali się strojami (wspomniane spodnie w kwiatki i buty Converse'a) i fryzurami znacznie odbiegającymi od przyjętej normy. Obaj mieli też niezły odjazd na punkcie filmów fantasy i funku. Andre 3000, który przez wiele lat swojej kariery funkcjonował pod ksywą Dre (znane są przypadki licznych recenzentów, którym wydawało się, że OutKastowy Andre to alter ego Dr. Dre, naprawdę – nie żartuję), od samego początku był w duecie połową ciągnącą go w stronę freak-funku, różnych wygrzewów. Big Boi jest bliższy ulicy, klasycznemu hip-hopowi. Dużo częściej udzielał się gościnnie na płytach innych wykonawców, ukazując mentalność i podejście zwykłego chłopaka z ATL.

Te różnice w podejściu do życia, a może przede wszystkim muzyki, zaowocowały czymś magicznym, mistycznym i trudnym do przecenienia – kilkoma płytami, które na zawsze weszły do kanonu czarnej muzyki. Warto jeszcze przypomnieć jedną z najciekawszych wypowiedzi odnośnie duetu, czyli to, jak Big Boi wyjaśniał kiedyś różnice dzielące obu panów: „Ja palę jointy. On nie. Ja chodzę do klubów ze striptizem. On nie chodzi. Dre nie pije alkoholu i jest wegetarianinem. Ja używam życia. Jesteśmy indywidualistami, dzieli nas wiele. Ale wchodząc do studia jesteśmy jednością, która ma na celu nagrywanie najlepszego materiału, na jaki tylko nas stać. A że najczęściej jest on wypadkową różnic w naszych charakterach? Tak widać najłatwiej nam pracować".

A żeby już później do wątków pozamuzycznych nie powracać – gdy grupa odpoczywała po sukcesach pierwszych dwóch albumów, freak Andre związał się z Eryką Badu, efektem czego na świat przyszło maleństwo imieniem Seven. Niestety, para dość szybko się rozeszła i o ile Eryce szczęście w życiu prywatnym jakoś sprzyjało (to, że ma ciężki charakter i niełatwo z nią wytrzymać, jest inną bajką, doświadczyli tego i Andre, i Common), to członek OutKastu długo nie mógł pogodzić się z utratą życiowej miłości. W ciężkich, samotnych chwilach skupiał się nie tylko na muzyce, ale również malarstwie – jego drugiej życiowej pasji. Big Boi pasję ma dużo bardziej ziomalską – hoduje pitbulle na farmie „Pitfall Kennels". Psiaki z jego hodowli posiada spora grupa artystów związanych z muzyczną sceną Atlanty. Jakbyście kiedyś chcieli się na jednego z takich słodziaków skusić, warto już dziś zacząć odkładać grosik do grosika, bo Big Boi liczy sobie ok. 5 tysięcy baksów od sztuki.

Muzyka do odlotu w inną przestrzeń...

Pewnie nie wiecie, że OutKast nie był na początku OutKastem, lecz duetem 2 Shades Deep i właśnie pod taką nazwą zdobywał od 1992 r. szacunek na ulicach Atlanty. Chłopakom szybko z pomocą przyszedł producencki kolektyw Organized Noize, widząc w Dre i Big Boiu nie tylko ogromnie utalentowanych muzyków, ale przede wszystkim normalnych kolesi, którzy mając swoją wizję hip-hopu i konsekwentnie chcąc wprowadzać ją w życie, nie są głusi na rady doświadczonych muzyków i nie noszą głowy na niebotycznym poziomie. A że w Atlancie działał label LaFace Records chętnie inwestujący w lokalne talenty, chłopaki szybko mieli wszystko, od czego zaczyna się prawdziwa kariera – mega-utalentowanych producentów i skorą do pomocy oraz inwestycji wytwórnię. Szczęściarze? Cóż, szczęście w życiu nie sprzyja ani głupim, ani lepszym (chyba że życiową wiedzę czerpiecie z przystów), tylko najbardziej pracowitym, utalentowanym i chcącym zrobić coś wielkiego. Panowie Dre i Big Boi chcieli, pracowali wytrwale, a o ich talencie nie będę się już rozwodził, bo dalsze zapewnianie o tym to jak pisanie, że woda jest mokra.

Na debiutanckim krążku panowie (już pod zmienioną, znaną nam wszystkim nazwą) zaprosili nas na „funky ride", a zaproszenie to warte jest wszelkich wyrzeczeń. Perfekcyjnie współgrający ze sobą emce, umiejętne wyważenie proporcji pomiędzy hiciorami, spokojnymi, laidbackowymi kompozycjami ocierającymi się o soul i blues, zaowocowało albumem ponadczasowym. „Southernplayalisticadillacmuzik" z 1994 r. było najpiękniejszą i najważniejszą wówczas muzyczną pocztówką z Atlanty. Już wiedzieliśmy, jakie samochody są tam najpopularniejsze, jakie przysmaki szczególnie lubią chłopaki z ATL (pikantne skrzydełka oczywiście), co u babek najbardziej im się podoba (ważne, żeby było okrągłe, twarde i dobrze wywijało w klubie).

Wydane dwa lata później „ATLiens" i pochodzące z 1998 r. „Aquemini" (pięć gwiazdek w „The Source", jako dopiero dziewiąta płyta w historii hip-hopu) uważa się powszechnie za najlepsze albumy w dyskografii zespołu. Ciekawe – żaden z tych materiałów nie należy do najlatwiejszych w odbiorze. Zarówno raperzy, jak i Organized Noize momentami aż za bardzo odpływają w cyber-funk-hopowe rejony, a pomimo tego OutKast ani trochę nie tracił na popularności. Wręcz przeciwnie, grono fanów duetu z roku na rok rosło w siłę i dojrzewało adekwatnie wraz z artystycznym dojrzewaniem grupy. Big Boiowi i Dre („Aquemini" to ostatni krążek, na którym używa tej ksywy) rapowanie już przestało wystarczać, z wielkim zapałem i pomocą O.N. wzięli się również za produkcje. Tego może jeszcze na trzeciej płycie zespołu nie słychać, ale... „Aquemini" to ostatni etap tej muzycznej podróży w inną przestrzeń.

„Stankonia" z 2000 r. – wyprodukowana już w dużej mierze przez bohaterów artykułu – ukazała, że odnaleźli oni swoje miejsce i chcą wciąż eksperymentować, ale teraz idąc w inną stronę. Na płycie Andre 3000 i Big Boi poszli w stronę dirty south, gospelu i popu. Wielu odbiorców pukało się na początku w głowę, ale OutKast doskonale wiedzieli, co i jak robią. Nie uciekając od świeżych trendów, pięknie przypomnieli nam o klasyce czarnej muzyki. Sprawdziła się też jedna z opinii, którą wyczytałem bodajże w „Vibe" – „Nawet jeśli dziś nie zrozumiesz tej płyty, daj jej szansę, odłóż na półkę i wróć do niej za jakiś czas. Może za rok, może za dwa. Gdy inni będą robić to, co OutKast rozpoczął na Stankonii, o wiele łatwiej zrozumiesz unikalność duetu". Święte słowa.

Później była składanka hitów, okraszona świeżym singlem „The Whole World", a w 2003 r. miazga w postaci dwupłytowego „Speakerboxxx / The Love Below". To już nie był jednak OutKast, a raczej „Out Kast". Dwie solówki, na których klimat był tak różny jak ten w Afryce i na Grenlandii. Gdy Andre 3000 odpłynął od hip-hopu i nabawił się w swing, soul, bluesa, pięknie śpiewając zamiast rapować, Big Boi zrobił kawał porządnej południowej roboty. Nie lubię pisać o tym monumentalnym wydawnictwie. Rozumiem tych, którzy nie do końca zaakceptowali to, jaki materiał dostali do ręki. Innowacyjność i oryginalność tego duetu w pewnym momencie chyba przerosła samych artystów. Stąd decyzja o kilkuletniej przerwie.

Tu nie chodzi o szelest, szacunkiem się płaci! Nagrodami i hajsem jednak też

Na ich ostatnim albumie gościnnie wystąpili m.in. Lil' Jon, Ludacris, Jay-Z, Jazze Pha, Rosario Dawson, Kelis i Norah Jones. Wcześniej zaszczytu nagrywania z OutKast doświadczyli Slick Rick, Erykah Badu, Raekwon, B-Real, że o grupie artystów związanych z kolektywem Dungeon Family nie wspomnę. To wszystko świadczy tylko i wyłącznie o jednym – trudno znaleźć innych twórców z absolutnego hip-hopowego szczytu, którzy cieszą się takim szacunkiem i poklaskiem u muzyków reprezentujących bardzo różne gatunki i brzmienia. Jeśli Pharrell Williams mówi, że Andre 3000 to dla niego muzyczny idol i geniusz, a Big Boia jako przykład rapera idealnego wymieniają Nelly i wspomniany już wyżej Slick Rick, to czy muszę dodawać coś więcej? Czy potrzeba dalszych przykładów, by udowodnić wyjątkowość OutKastu?

Wyjątkowość polegającą również na tym, że duet ma na koncie już sześć nagród Grammy, ponad dwadzieścia milionów sprzedanych płyt i dwanaście singli, które weszły do gorącej setki „Billboardu". Jedynie muzyczni ignoranci i wieczni maruderzy, dla których singiel na wysokiej rotacji w telewizji i radio oznacza „sprzedanie się" artysty, mogą sugerować, że takie wyniki są efektem populizmu w muzyce OutKast. Nie – oni po prostu mają we krwi robienie muzyki nie tylko fantastycznej, eklektycznej, ale również przebojowej. Dlatego gdy wieczni idole podziemia odejdą w zapomnienie i będą jedynie tematem rozmów na forach internetowych, takie hity jak „Rosa Parks", „The Way You Move", „Hey Ya!", „Get Up, Git Up" czy „Jazzy Belle" będą wciąż głośno i rytmicznie rozbrzmiewały w klubach i na falach eteru. Fajni nagrywają fajne płyty, wielcy nagrywają rzeczy niezapomniane.

Małą skazą na tym wszystkim jest jedynie proces, jaki grupie wytoczyła Rosa Parks oskarżając duet o bezprawne wykorzystanie jej wizerunku w nagraniu z płyty „Aquemini". Na szczęście, koniec końców sprawa zakończyła się polubownie.

Czy to naprawdę koniec?

„Idlewild" – nowy nagrany przez OutKast album, będący soundtrackiem do filmu o takim tytule – powinien być w sklepach, gdy ten numer „Ślizgu" trafi w wasze ręce. Single zwiastujące płytę narobiły wszystkim dużego apetytu. Duet jest najwyraźniej w świetnej formie, w dodatku – specjalnie na okazję tego materiału – znów postanowił nagrać kilka numerów wspólnie. Ponoć po raz ostatni... Cuda się jednak zdarzają i wypada nam wierzyć, że nie jest to jeszcze zamknięcie jednego z najważniejszego rozdziałów w historii hip-hopu. A nawet jeśli, to dotychczasowe dokonania duetu są wydawnictwami na tyle ponadczasowymi, że sięganie po nie każdorazowo powinno dać nam dużo radości.

BITNIX GREENHOUSE

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

Sprawa Bitnixów i Greenhouse jest największym producenckim skandalem po tym jak 18L wyszarpało kilkunastosekundowy kawał świeżego w miarę hitu, a Elita Kaliska zawłaszczyła podkład DJ'a Premiera. Postaramy się wyjaśnić go wreszcie od początku do końca

tekst Marcin Flint
foto Cess (Bitnix)

Prolog

Początkowo Greenhouse tworzyli Moongooz z Phonikiem, zajarani sceną komputerową koledzy ze szkoły średniej. Jednemu bliżej było do jungle i drum'n'bassu, drugiemu do house'u, ale muzykę definiowali szeroko. Na tyle, by Moongooz sięgnął również po hip-hop, który nie dość, że mocno go zafascynował, to jeszcze pozwolił zwrócić uwagę na umiejętności Rytma, sąsiada z bloku na wrocławskim Biskupinie. I to ten duet pozostał trzonem przechodzącej wiele metamorfoz formacji. Zmieniał się w niej nie tylko skład personalny (przechodzili przez niego choćby Ufolog i Erio), rozszerzała idea. Przez moment mianem Greenhouse firmowano portal internetowy poświęcony wrocławskiemu hip-hopowi. Trwały nawet dyskusje, by w związku z istnieniem White House zmienić nazwę, bo już zaczynały chodzić na ten temat dowcipy. Zajawka kipiała, na ircowym kanale #hiphop.pl wymieniano doświadczenia, gadano o „rapie, produkcji i pierdołach". Tam Rytm i Moongooz poznali się z Jankiem. „Nie znałem jeszcze Tomka. To oni zarazili mnie robieniem beatów", wspomina dzisiejszy Bitnik. „Doskonale w Greenhouse pamiętamy pierwsze próby Jana w muzyce. Współpracowaliśmy niemal od początku powstania Bitnix, ponieważ są to ludzie o podobnym do naszego światopoglądzie i zbliżonym muzycznym guście", stwierdza Rytm. „Szukaliśmy wtedy własnego stylu, wspólnie opieraliśmy się o jazzujące klimaty", uzupełnia Moongooz.

Idylla

Moongooz: „Wysyłaliśmy sobie swoje projekty, dawaliśmy wskazówki, wytyczne, czasem coś chcieliśmy wspólnie przerabiać, czasem przerabialiśmy. Realizowaliśmy też kiedyś projekt dla Fenomenu. Odrzucili nasz produkt, bo był 'zbyt skomplikowany'". Z czasem wspólnych śmiałych przedsięwzięć było coraz więcej i nabierały rozmachu, paląc niestety na panewce, na co uwagę zwraca Jan: „Pracowaliśmy nad stworzeniem czegoś na kształt polskiej wersji okayplayera. W projekt zaangażowane były osoby z różnych stron Polski, między innymi związane z Osiemram czy Pierwszą Flotyllą. Nie doszedł do skutku, a szkoda, bo w planach było wydanie winyla. Oprócz tego szykowaliśmy wspólnie beaty dla Smarka, ale nie mogliśmy się z nim dogadać w kwestii stylistyki." Nietrudno domyślić się, czemu drogi producentów się rozeszły – mieliśmy do czynienia z ciężką pracą, bez wymiernych efektów, za to rozwleczoną w czasie. „Muzyką, którą tworzymy, rządzi przypadek, intuicja i natchnienie. Czasem są to długie miesiące poszukiwań konkretnego brzmienia czy frazy", mówi Rytm.

Piekło

Zamieszanie zaczęło się, kiedy na „Reaktywacji" Grammatika pojawił się utwór „Abstrakcja", wspólne dzieło Bitnix/Greenhouse podpisane jedynie ksywą tych pierwszych. „Beat jest oparty na naszym pomyśle, tzn. bębnach – zarówno ich podziale jak i brzmieniu, basie i pykającej gitarce", wyjaśnia Moongooz. Jan tłumaczy zaś: „'Abstrakcja' to wynik pełnoprawnej kooperacji Bitnix z Greenhouse, a informację o tym podałem dalej. Nie wiem, na którym etapie ona przepadła. To chyba jest nasza zmora, bo na każdym – oprócz „CKCUA" – wydawnictwie, na którym się pojawiliśmy, jesteśmy źle podpisani". Producent z Greenhouse przyjmuje tłumaczenia z dystansem: „Janek poinformował nas, że w drukarni zjebali sprawę, ale to, co może boleć, to fakt, że nie skorygowali tego błędu nawet na swoich witrynach".

Czy więc należy dziwić się, że kiedy wrocławski beatmaker usłyszał pracę swojego crew na „CKCUA", wyszedł z siebie? „Dla mnie to był nóż w plecy. Kiedy usłyszałem 'Czas (Abstrakt)', prawie rozjebałem klawiaturę. My szykowaliśmy ten numer na płytę Kejka, tymczasem Janek nawet się nie odezwał, nie mówiąc o adnotacji, że kawałek jest współprodukcją. Nie spodziewałem się już więcej takich kwiatków. Jakież było moje zaskoczenie, gdy odpaliłem utwór otwierający 'CKCUA'. Klawiatura też prawdopodobnie była zaskoczona. Tutaj już 1:1 w niezmienionej formie przez półtorej minuty leci coś, co robiłem ze dwa, trzy lata temu, na wyszperanych przez Rytma samplach", mówi rozgoryczony. Kompan mu wtóruje: „Znów pojawiło się rozczarowanie i pewnego rodzaju niesmak. Odtąd na pewno będę ostrożniej podchodził do współpracy z innymi muzykami. Parafrazując Grammatik: Oszustwo nie jest w cenie, nigdy nie będzie".

Reakcją Bitnixów było zdawkowe, mocno spóźnione, słabo rozpromowane, a być może wymuszone histeryczną reakcją znajomych Greenhouse, oświadczenie. „Szykowaliśmy również dodatkowe tłoczenie płyty z uzupełnioną wkładką, ale niestety zainteresowanie materiałem okazało się niewystarczające", wyjaśnia Jan i przy okazji prostuje: „Grubo przed premierą płyty zasygnalizowałem Moongoozowi, że chcemy skorzystać z ich projektów. Dali nam tylko bazę, którą rozbudowaliśmy i poszerzyliśmy".

Epilog

Paradoksalnie, cała sprawa może podziałać na Greenhouse odmulająco. „Pomyślałem sobie, że zamiast gniewu i złości muszę zakasać rękawy i ruszyć z impetem do pracy nad rozpoczętymi projektami", deklaruje Rytm.

Współpraca Greenhouse/Bitnix nie jest jednak wykluczona, bo stosunki pozostały poprawne. Moongooz ponoć wspominał coś o obecności Jana i Tomasza na materiale Kejka (robi na nim większość podkładów, podczas gdy Rytm pracuje nad płytą Globusa). Janek informuje z kolei, że z jego strony „padło luźne zaproszenie na płytę Emila Blefa", której Bitnixi są producentami wykonawczymi.

PHARRELL WILLIAMS

CO MA W GŁOWIE?

Pharrell Williams to aktualnie postać bardzo dobrze znana w świecie muzycznym. Właśnie ukazał się jego krążek „In My Mind", a Polacy niedawno mogli być świadkami koncertu artysty w ramach festiwalu Open'er. Sprawdźcie ten krótki wywiad

rozmawiał CNE

Byłeś już we wschodniej części Europy? Jak wrażenia?

To mój pierwszy raz, ale słyszałem, że to najpiękniejsze tereny Europy.

„In My Mind" wychodzi 24. lipca. Opowiedz nam trochę o płycie. Długo na nią czekaliśmy. Wciąż przekładano datę wydania.

Ta płyta jest jak wywiad. Opowiada o moim umyśle. Znajdziecie na niej to, o czym myślałem, gdy ją nagrywałem. Ten album jest jak fragment mojego pamiętnika. Inspirowały mnie R&B i hip-hop. Co do gości, to jest Gwen Stefani, Slim Thug, Jay-Z i Pusha z The Clipse.

Ostatnio nie tylko raperzy wykorzystują Twoje produkcje. Które z amerykańskich gwiazd wkrótce usłyszymy na Twoich beatach?

Na pewno nowy Nas, Jay-Z, Ludacris, Omarion, Beyonce, Snoop i Gwen. No i Velvet Revolver. Nowi Clipse i Robin Thicke też Dużo tego. Ciągle zwracają się nowe osoby.

Czy to prawda, że Nas i Busta walczyli o beat z „Can I Have It Like That"?

Nie. To tylko plotki. Czasem zdarzają się kłótnie o beat, który podoba się kilku raperom, ale nie ma mowy, żebym powiedział, o kogo chodzi.

Gdzie najczęściej dopada cię wena? Podczas trasy, gdy oglądasz widoki, czy gdy koncentrujesz się w studiu? Skąd czerpiesz inspirację?

Inspiruje mnie życie. Rozmowy, doświadczenia, uczucia i emocje. To wszystko słychać w mojej muzyce.

Pytanie o NERD. Od początku preferowaliście elektroniczne brzmienia. Dlaczego?

Woleliśmy tworzyć muzykę, niż opierać się na starych samplach. Takie brzmienia były bardziej senne. Chcieliśmy robić rozmarzoną muzykę. Chodziło nam o lekką i miłą muzykę, która przenosiłaby ludzi w inny wymiar. Teraz, gdy moja płyta trafi do sklepów, wracam do studia pracować nad NERD.

Twoja druga ksywa to Skateboard P. Wiem, że jesteś fanem deskorolki. Czy wciąż jeździsz na desce? Chodzisz czasem do skateparków?

Gdy byłem mały, kumple dużo jeździli. Pokazali mi ten wspaniały świat. Gdy zyskałem środki, złożyłem ekipę skateboardową. W Ice Cream Team jeżdżą Terry Kennedy, Kevin Booker i Jimmy Gorecki. Jest jeszcze mój brat Kato Williams i Jacob Walder. To wspaniała ekipa.

Znasz sławnych amerykańskich riderów? Kumplujesz się na przykład z Tonym Hawkiem?

Tony jest fajnym gościem. Znam też Steviego Williamsa. Jest dużo dobrych dzieciaków. Na przykład Bam Margera. Kiedyś skejci słuchali hip-hopu, potem przerzucili się na punk rock. Teraz moda na rap wraca, Lupe Fiasco wydaje film skateboardowy. Lupe to w ogóle mój znajomy, właśnie zrobiłem dla niego kawałek.

Masz kilka firm. Robisz ciuchy i zegarki. Masz jeszcze jakieś pomysły? Może chcesz zająć się filmem?

Akurat filmem nie, ale mam kilka ciekawych pomysłów. Wolę najpierw coś zrobić, a dopiero potem o tym mówić.

Czyli nam o tym nie opowiesz?

Nie chcę zdradzać tajemnic.

MŁODZIK

BRUDNY EKSPERYMENT

Podejrzeliśmy, co dzieje się w „laboratorium" Młodzika. Jeleniogórski producent opracował szczepionkę na kicz, słodycz, odtwórczość i piknikową atmosferę. Polskich słuchaczy nie leczono jeszcze tak radykalnie

tekst Marcin Flint
foto Cess

Nagrałeś płytę odważną i niełatwą w odbiorze. Trudno z takim materiałem liczyć na uwielbienie fanek i sławę. Nawet trudno z nim zagrać koncert...

Koledzy się śmiali, że Młodzik nagra płytę, pojedzie do Wrocławia zagrać koncert, wyciągnie laptopa, naciśnie „play" w Winampie i wszyscy będą stać przez godzinę i słuchać...

No, właśnie. Co więc pchnęło Cię do wypuszczenia płyty w takiej formie? Chęć zmiany postrzegania naszej sceny muzycznej, wywrócenia jej do góry nogami?

Chciałem tylko zrobić swój materiał, z którego będę dumny i który będzie formą uzewnętrznienia tego, co siedzi we mnie. Tym jest właśnie dla mnie muzyka i bardzo poważnie to traktuję. Od czasu, gdy w 2003 r. wysłałem Markowi (Marek „Pro" Gluziński – przyp. red.) z Blendu „Zatracenie", słyszę, żebym robił swoje, więc raczej nie patrzyłem na to, co dzieje się wokół, i nie chciałem na siłę robić czegoś innego od polskiego hip-hopu w obecnej chwili. Płyta miała być pierwotnie instrumentalna, przez rok powstał jej szkielet, później zaś pojawiły się sugestie wydawcy, żeby zaprosić jakichś raperów. Początkowo byłem sceptyczny, później się przekonałem. Okazało się to miłym urozmaiceniem.

Miłym, tak? Sięgnąłeś po kontrowersyjnych artystów. Jeżeli już znanych, to głównie z przekraczania norm, buntu. Celem było dobranie prowokatorów z obrzeży rapu?

Marek niczego mi z góry nie narzucił, ale przedstawił listę ludzi, którzy jego zdaniem by pasowali. Część z tych osób znałem, a część była tylko ksywami na kartce. Zaprosiłem około 15 osób. Planowaliśmy na przykład Eldo i O.S.T.R.'a...

Naprawdę? Trudno mi wyobrazić ich sobie na Twojej płycie...

Eldoka dostał dwa numery, po czym stwierdził, że są obiektywnie dobre, ale nie inspirują go. Przy kolejnym podkładzie, bardzo pasującym do jego wokalu i tekstów, zadeklarował chęć współpracy, ale uzależnił to też od postępów przy „CKCUA". Ostremu wysłałem najcięższy beat, jaki kiedykolwiek zrobiłem – jeśli kojarzysz płytę „Absence" Daleka, to możesz wyobrazić sobie klimat. Beat rozsadzający nerki, paranoiczne gitary rozbrzmiewające w przestrzeni. Spodobało mu się, powiedział, że się dogra i... wiadomo, jak to Ostry. Koncerty, płyty... Ja nabrałem dystansu dawno, przy tworzeniu „Zatracenia", bo wtedy już miała zacząć się współpraca z Sinym.

Ten projekt nie wypalił, podobnie jak większa kooperacja z Majkelem.

Współpraca z Sinym zakończyła się w niesympatycznym klimacie, nie ma sensu tego przybliżać. Cenię sobie go jako artystę, ale stwierdziłem, że nie będę zapraszać go na „Laboratorium" na siłę. Majkel to zaś człowiek zaganiany, nieogarniający czasu i przestrzeni. Mieliśmy razem nagrać epkę, a przez dwa lata powstał tylko jeden numer, obecny zresztą na płycie. Obaj chcieliśmy więcej, ale może zabrakło motywacji, nie wiem.

Nie masz szczęścia do raperów... Ale nie zniechęciłeś się do nich?

Absolutnie. Każda postać to inna osobowość, inne spostrzeżenia na temat muzyki, inny wokal nagrany pod wpływem zainteresowania się nią. Nowe doświadczenie, które – mam nadzieję – będzie kontynuowane, ale to kiedy przyjadę z „saksów" i kupię sobie nowy sprzęt.

Usiłowałem także wyobrazić sobie Młodzika na podstawie muzyki, którą słyszałem. Ale nie masz blizny przez całą długość twarzy, nie jesteś bez ręki i ze zwyrodniałym kręgosłupem...

Ja tak sobie wyobrażałem Mołotofa (śmiech). Co do blizn, akurat się nie pomyliłeś. Są, ale w innym miejscu.

Różnica między tym, jaki jesteś na płycie, a jaki w rozmowie, może być szokująca.

Wybrałem brudną muzykę, bo – cytując Maleńczuka – „to jest, kurwa, piękne!". Ktoś może powiedzieć, że łatwiej jest robić rzeczy ponure. Ludzie bardziej inspirują się stanami depresyjnymi, co nie znaczy, że kiedy tworzę taką muzykę, to poruszam się na krawędzi samobójstwa. Zupełnie tak nie jest. Moja znajoma zadała mi podobne pytanie, poszła nawet trochę dalej. „Pozytywny koleś, a od jego muzyki ciary przechodzą po plecach. Ciekawe, jakbyś się zachowywał, robiąc wesołe rzeczy. Może jesteś takim freakiem, że musisz równoważyć ten stan ducha ciężką w odbiorze twórczością?" A ja po prostu przy takich brzmieniach realizuje się bardziej. Inspirowali mnie wykonawcy tacy jak El-P, Odd Nosdam, Sole czy plejada gwiazd z Ninja Tune.

Realistycznie patrząc, płyty tego rodzaju potrzebują wsparcia, misji takiej jak ta, którą teoretycznie ma telewizja publiczna. Trudno oczekiwać, że przyniosą ziotą płytę, ale rozwijają słuchacza, przesuwają dalej granice muzyki, wyznaczają jej przyszłość.

Jak mówiłem, nie chciałem wywołać rewolucji. Chciałem za to pokazać, że można jeszcze w tym kraju wydać płytę ambitną, niszową, undergroundową. Gdybym patrzył na to, co się sprzedaje i co jest słuchane przez ogół, moja płyta brzmiałaby pewno jak Verba. A ja nie lubię robić niczego wbrew sobie. Jeśli płytę kupi garstka ludzi i ją doceni, to i tak będzie dla mnie sukces. Chociaż jeżeli wychodzą płyty takie jak Metro, Kanał Audytywny, Muzykoterapia, Maria Peszek i w dodatku znajdują odbiorcę, nie może być tak źle. Kiedy czytam gazety i szperam w sieci, widzę, że grono takich słuchaczy sukcesywnie się powiększa. Jeżeli chcemy, by wciąż się powiększało, musimy pomagać tym młodym, ambitnym, z pomysłem na muzykę.

Nie myślałeś nad płytą z zachodnimi mc, względnie krążkiem czysto instrumentalnym, żeby wyjść poza nasze podwórko?

Zastanawiałem się nad tym i to całkiem niedawno. Z tym że mówimy raczej o marzeniach.

I kogo sobie wymarzyłeś?

El-P, Sole, Lewis Parker – choć ten pewno odnalazłby się lepiej na klasycznych, melancholijnych beatach. Ostatnio zrobiłem remix Roots Manuvy i strasznie się zajarałem. Jego też bardzo chciałbym mieć.

A rzeczywistość?

Ludzie w wytwórniach takich jak Anticon nie mają czasu na odsłuchiwanie tego wszystkiego, dostają tysiące podobnych płyt. Musiałbym wysłać trzy-cztery utwory instrumentalne. Sam wewnątrz nie czuję jeszcze, żeby to, co robię, było na tyle dobre, by wypuszczać się z tym za granicę. Jeszcze i na to przyjdzie czas.

Młodzik o mc, których zaprosił – szukaj w Total Hałasie...

CHICAGO

ŚWIEŻY POWIEW

Od kilku lat pozycja Chicago na hip-hopowej mapie zarysowuje się coraz wyraźniej i okazalej. Na scenę wkracza Rhymefest, który zdecydowanie nie należy do tych, którzy by mogli zatrzymać ów proces, wręcz przeciwnie. Podobnie z Psalm One

Psalm One

Urodzona w poludniowej części „Wietrznego Miasta" Chicago Christalle Bowen swoją przygodę z muzyką zaczęla dosyć szybko. Jako malolata śpiewała w kościelnym chórze i uczyła się gry na wszelakich instrumentach muzycznych. Potem zaczęla się jej przygoda z rapem. Sama oficjalnie przyznaje, że wielki wplyw mial na nią lokalny król, Common, i wielka rodzina podziemnych wykonawców, All Natural. W międzyczasie studiując chemię na University of Illinois, zaczęla pierwsze nagrywki, a był to rok 1998. Związala się też z ekipą Nackrobats.

W 2001 roku wydała swoją debiutancką EP-kę „Whippersnapper" i zagościła na „Simply Beautiful" The Nackrobats. Nie byly to jednak wielkie produkcje, a „self-releases", czyli plyty wydane wlasnym nakladem. Taki sam los spotkał pierwszy oficjalny album Psalm One, czyli „BIO: Chemistry" rok później. Dostępna tylko na stronie internetowej i w wybranych sklepach w mniej oficjalnym obiegu plyta cieszyła się jednak nie tylko lokalną slawą. Na okladce widzimy raperkę w naturalnym dla niej środowisku, czyli w jej laboratorium na macierzystej uczelni. Być może flow z tego okresu Christalle miała nienajlepszy i przypominala trochę kiepską kopię Jean Grae, a momentami skrzeczącą Rah Diggę. Być może to wina dosyć młodego wieku artystki, która z czasem wyrobila sobie dużo, dużo lepszy styl.

Co do chemii, to nie usłyszymy rymów o atomach czy reakcjach, ale czuć chemię artystki z muzyką, a to już na pewno coś. Dystans, humor, autorefleksja, to wszystko dominowało w jej tekstach – i nadal tak jest. W 2003 roku zagościla na plycie Nackrobats „Always", wydanej już oficjalnie przez Birthwrite, który to label wydał też reedycję jej albumu „BIO: Chemistry II. Esters and Essays", wzbogaconą dotąd niepublikowanymi kawalkami (w liczbie pięciu sztuk) i profesjonalnie zmasterowanej. Dzięki temu wydawnictwu raperka dostała od losu szansę. Bylo to supportowanie koncertów takich tuzów jak MF Doom (przez część jego trasy po Chicago i okolicach), De La Soul, Brother Ali, Masta Ace, Casual (z ekipy Hieroglyphics), Slick Rick czy chociażby 50 Cent. Wiele się w tym czasie o niej pisalo, żeby wspomnieć tylko ranking prestiżowego, branżowego „URB", który zamieścił ją w „Next 10", czyli grupie raperów, którzy wypłyną w najbliższym czasie na szersze wody.

Tak też się stało. 2005 przyniósl kontrakt z kultowym Rhymesayers i ostrą pracę nad albumem z producentem Overflo (jakżeby inaczej – z ekipy Nackrobats), czego rezultatem jest wydany 18 lipca „The Death of Frequent Flyer". Na albumie, oprócz ludzi ze starej ekipy, jest też Thaione Davis (który, niestety, nie wyszedł za bardzo poza lokalną slawę Chicago) i Brother Ali, kompan z nowego labelu. Warto sprawdzić, bo dostaje same dobre recenzje i brak na niej tekstów w stylu „my lovely lady lumps"... **(EST)**

Rhymefest

W poprzednim numerze SLG wspominałam o tym utalentowanym artyście przy okazji artykułu o freestyle'owej Ameryce. Dziś chcę jeszcze bardziej przybliżyć wam tę postać, ponieważ od kilku dni na półkach sklepowych leży jego debiutancki album. Otóż, zwany skrótowo Festem, Che Smith ma wszelkie zalety dobrego rapera, przy czym freestyle jest jedynie znakomitym do nich dodatkiem. Do tego jest błyskotliwym tekściarzem, co zostało uhonorowane nagrodą Grammy. Ma również w miarę ukształtowany indywidualny styl, a poza tym wszystkim jest dobrym człowiekiem, co zdecydowanie ułatwia mu utrzymywanie przyjaźni w branży. Przykładowo, od 15. roku życia kumpluje się z najjaśniejszą obecnie gwiazdą chicagowskiego panteonu rapowego, panem Kanye Westem. Kiedy ten ostatni nie był jeszcze najgorętszym producentem Ameryki, produkował większość kawałków na podziemnym mixtapie Festa „Raw Dawg". Często pracowali razem nad całymi utworami – wspólnie pisali teksty, dzielili się wynajdywaniem sampli, obaj też aranżowali całość, by brzmiała jak najlepiej. Efektem takiej kooperacji jest jeden z najbardziej poruszających utworów hip-hopowych ostatnich lat „Jesus Walks" z płyty Westa „College Dropout". Kiedy wszyscy pytają się Rhymefesta, czemu zdecydował się oddać Kanyemu kawałek, który mógł spokojnie wrzucić na własny nielegal, on prezentuje postawę realisty, odpowiadając: „Hej, co by mi przyszło z tego, że zatrzymałbym ten kawałek dla siebie? Usłyszałoby o nim kilkunastu moich znajomych i parę osób na świecie, które przez przypadek ściągnęłyby go sobie z netu, a tak stał się jednym z najlepiej sprzedających się singli i dostaliśmy za niego nagrodę".

Smith często sprawia wrażenie kolesia, który doskonale potrafi wybrać to, co w przyszłości może zaowocować sukcesem. Tuż po wielkich zwycięstwach wolnostyłowych – m.in. pokonaniu Eminema podczas Scribble Jamu – dowiedział się, że jego ukochana jest w ciąży. Wzięli więc ślub, wyprowadzili się z Chicago, a Fest oprócz udziału w codziennej pielęgnacji dziecka, porzucił na kilka lat plany hip-hopowe na rzecz pracy. Trzeba mu przyznać, że zdecydował się na specyficzne zajęcie, z którego czerpał wiele satysfakcji – nadzorował bowiem prace społeczne, na które sąd skazywał piratów drogowych. Jego podwładni byli w większości biali, więc codziennie rano, gdy wywijał błękitny kołnierzyk swojej koszuli – synonim określonej pozycji w firmie, który zainspirował Festa na tyle, że nagrał album o tytule „Blue Collar" – zacierał ręce z zadowolenia. Oczywiście, gdy tylko jego żona ukończyła studia, powrócił do nagrywania rapu. Oprócz zbierania doświadczeń i kawałków na własny debiut, brał udział w wielu akcjach dobroczynnych, z czego najważniejsze było nagranie wraz z Kanye utworu „We Can Make It Better" dla ofiar huraganu Katrina. Obecnie w mediach można usłyszeć kolejny singiel z jego płyty „Fever", który - obok „Brand New" - pokazuje, jak szalony i świeży jest to artysta. Jego muzyka może zachwycać, tak jak i bezgranicznie irytować, ale raczej nie pozostawia słuchaczy obojętnymi. **cess**

Dombro
Monika Dąbrowska

Tym razem do naszego „Profilu" trafiła osoba, którą bez problemów kojarzy również młode pokolenie. Monika Dąbrowska, czyli popularna „Dombro", należy wszak do najbardziej znanych dziennikarzy zajmujących się w naszym kraju czarną muzyką. O przeszłości, przyszłości i... końskich zalotach Havoka, przeczytacie w poniższym wywiadzie

tekst i foto Zdzisław Nieszczególny

Monika, powiedz mi, jak znalazłaś się w hip-hopie? Skąd miałaś pierwsze płyty i jak zaczęła się ta przygoda?

Wiesz co, zastanawiałam się czasami nad tym i jak w mordę strzelił – wszystkie drogi prowadzą do Jimiego Hendriksa. Kiedy byłam nastolatką – już taką kumającą i mającą swój światopogląd – mój ojciec podsunął mi nienachalnie jego temat. No i kiedy zobaczyłam tego kolesia, co wyprawia z gitarą i w jaki sposób podchodzi do muzyki, zamarłam z wrażenia. Zaczęłam wtedy grzebać i oszalałam na punkcie Hendriksa – kupowałam specjalistyczne gazety z samymi nutami w jakichś sklepach dla gitarzystów, ale był tam jeden artykuł, który sobie tłumaczyłam na raty ze słownikiem, kupowałam wszystkie płyty i kasety, no i wtedy też zaczęłam grzebać w całym tym „woodstockowym" nurcie. Bo wkład The Doors, Jefferson Airplane czy Jimiego w muzykę jest niekwestionowany. Do tej pory, kiedy słyszę flet poprzeczny w JA, to mam dreszcze na plecach. Później było szukanie psychodelii w muzyce, co przełożyło na np. Primusa czy Jane's Addiction w studenckim czasie, a z powodu Hendriksa zaczęło się też grzebanie w czarnej kulturze. Na początku zaczęłam czytać o sytuacji społeczno-politycznej, historii – Malcom X, wszystkie ruchy, dyskryminacja itd. No i naturalnym kolejnym etapem była muza czarnej społeczności w USA. A oni słuchali hip-hopu i tak zaczęłam wpadać na jakieś kawałki, kupować kasety, słuchać audycji Bogny Świątkowskiej...

A jak trafiłaś do radia?

Do Radiostacji na Konopnickiej, gdzie rządził Paweł Sito, trafiłam przez przypadek muzyczny, ale nie hip-hopowy. Zadzwoniła do mnie Szydło, której na antenie zrecenzowałam koncert Skunk Anansie ze Spodka. „Pech" chciał, że Sito usłyszał to akurat na antenie i zaczął dopytywać, co to za głos. Dostał mój telefon, zadzwonił, umówiliśmy się na spotkanie i tak zaczęłam tam pracować. Na początku zupełnie nie zajmowałam się jeszcze hip-hopem, bo przeszłam przez wszystkie możliwe etapy i działki radia – zaczynałam od audycji „Świadoma Płeć. Emancypacja Kobiet", gdzie były dyskusje, czy jesteśmy partnerkami i czy mężczyzna wie, kiedy kobieta udaje orgazm itp. Potem serwis informacyjny, wywiady montowane na antenę, relacje na żywo z wozu na dwóch opolskich festiwalach hip-hopowych... Radio znam od podszewki.

Kiedy zatem zaczęłaś prowadzić swoją hip-hopową audycję?

W którymś momencie Sito dowiedział się, że słucham czarnej muzy, a że wydarzyła się sytuacja podbramkowa – bo Tytus i Volt nie mogli się stawić w radiu – poprowadziłam swoją pierwszą audycję hip-hopo-

wą. Była ona z rapującymi kobietami, bo wtedy było ich niezbyt dużo na polskich antenach. A potem już poszło – popołudniowe bloki muzyczne „Po-ziomuj", które przeszły na wieczór, a potem „Hip-Hop Kombinacja". I to bez wątpienia mój sukces – że przez te lata pozostałam wierna sobie. Kawałki i goście zapraszani do studia byli w 100% moim wyborem. Nie dałam się wpuścić w patronackie wywiady i falę hip-hopolo, która przetaczała się wszędzie. Próg studia przekraczały osoby, których twórczością się jaram i które warto było, moim zdaniem, promować. Odmówiłam udziału w jury w hip-hopowym Idolu na Polsacie, bo stwierdziłam, że jest to gwałt zadany tej kulturze

Jak skomentujesz odejście radia od swojej pierwotnej funkcji promowania nowych stylI i gatunków i przejście w playlisty, na których jest tylko mainstream?

To jest sytuacja wielowątkowa i wielopłaszczyznowa, ale tak najkrócej, to trzeba zacząć od samej góry, czyli od tego, w jakim społeczeństwie i realiach obecnie żyjemy. Dramatycznie nie ma miejsca na myślenie! A myślące osoby są zażenowane tym, co wyprawiają w naszym kraju bliźniacy i reszta. To jest przewkurwiające i ja cały czas nie mogę się z tym pogodzić. Że promowane jest uśrednienie i miernota. Że na stanowiskach decyzyjnych czy kreatywnych siedzą ludzie, którzy muzykę mają kompletnie w dupie, nie znają się na niej i ślizgają się tylko po powierzchni, puszczając właśnie uśrednione kawałki, których masy chcą słuchać.

W pewnym sensie chodzi tu o bloki reklamowe, bo jak wiadomo reklamodawca nie chce uczestniczyć w radiu niszowym, ale mainstreamowym. Takim, które ludzie słuchają. Czyli wszystko obraca się wokół pieniędzy...

Tak, z jednej strony kręci się to wokół pieniędzy za reklamy, ale z drugiej strony można robić ambitne radio. Wiem, że istnieje złoty środek między mainstreamem a edukacją poprzez muzę – czyli otwieranie ludziom klapek w mózgu na inne dźwięki, skłonienie ich do poszukiwań, wzruszanie słuchaczy i zapewnianie im relaksu. To jest do zrobienia, tylko trzeba się za to inteligentnie zabrać i uwierzyć, że ta teoretyczna nisza tak naprawdę ma tylko taką naklejkę, jest papierowym tworem. W rzeczywistości są tysiące ludzi, którzy słuchają ambitniejszej muzyki i mają dość tej wszechobecnej papki. Ja mam pomysł na sformatowanie rozgłośni na stację zwaną urban music i wiem, że jest to do zrobienia. Tylko trzeba kochać muzykę.

Co w swojej pracy dziennikarskiej uważasz za sukces?

Niewątpliwie jakimś tam mini-sukcesem jest to, że przez tyle lat prowadziłam audycję hip-hopową i zajmowałam się hip-hopem w radiu i inych mediach, robiąc to według swoich zasad. Małym sukcesem są przyjaźnie, jakie mam w polskim środowisku. To, że możemy pogadać prywatnie o problemach i o muzyce przy wódce. Dziennikarskim sukcesem są też wywiady, jakie zrobiłam z artystami, których twórczością się interesuję – nie tylko hip-hopowymi. Oprócz merytorycznych przyjemności, trafiłam na nieprawdopodobne osobowości. Na przykład po wywiadzie z Ursulą Rucker, kiedy była w 8. miesiącu ciąży, pogadałam z nią półprywatnie jako Monika Dąbrowska, a nie Dombro z radia: o sile, o relacjach damsko-męskich, o wierze w siebie. To niebywale mądra kobieta. Takie rozmowy dużo wniosły do mojego życia. Wielka przyjemnością i satysfakcją zawodową jest też obecnie Rap Pakamera, hip-hopowy program na MTV, którego jestem producentką i współtwórcą. Jestem pracoholiczką i w to co robię, wkładam milion procent siebie, więc jeśli słyszę, że być gościem w Pakamerze to nobilitacja – jestem wniebowzięta (śmiech).

Robiłaś mnóstwo wywiadów z artystami, którzy przyjeżdżali do Polski. Czy ktoś Cię czymś miło zaskoczył lub rozczarował?

Rozczarował mnie Afrika Bambaataa. Wiara, wzniosłe hasła o sile czarnej społeczności, wartości w hip-hopie okazały się pustymi formułkami. Hasłami, na których można jeszcze troszkę zarobić. Nie zobaczyłam błysku w jego oku, miłości do tej kultury, zaangażowania. Wyszłam z wywiadu smutna. Rozmawiałam też z Beastie Boys. Ci panowie żyją już kompletnie innym rytmem – na pewno nie hip-hopowym. Gdyby nie MixMaster Mike, który powinien zostać moim mężem (śmiech), znienawidziłabym ich. Mniej jako artystów – bardziej jako ludzi. Ale to właśnie ci ludzie tworzą muzę – złośliwi, znudzeni, przewożeni, po prostu źli. Bo wiesz, jeśli ktoś jest otwarty i ma otwarty umysł, a przede wszystkim lubi poznawać ludzi, wtedy rozmowa z nim płynie. Roots Manuva jest fantastycznym artystą, ale Rodney Smith (jego prawdziwe nazwisko) jest też zajebistym człowiekiem. I w takich przypadkach wywiady są rozkoszą.

Mówiłaś głównie o tych negatywnych sytuacjach. Powiedz może jednak jeszcze o pozytywnej sytuacji i przy okazji przytocz jakąś małą anegdotkę, co?

Była taka sytuacja, która rozłożyła mnie absolutnie na kolana – po wywiadzie z Mobb Deep dotyczącym ulicy. Pogadaliśmy sobie trochę na temat ulicy, chłopcy byli zdziwieni, że biała laska, która przychodzi do nich na wywiad, jednak wie coś o hip-hopie i nie zamierza ich pytać o to, jaka jest na przykład ich ulubiona potrawa...

... co jest moim ulubionym pytaniem (śmiech).

Po wywiadzie mocno ulicznym, w którym super sobie porozmawialiśmy, Havoc – który wchodzi mi pod pachę, bo jest raperem i czarnuchem w wersji mini – rozpoczął serię tanich komplementów. Potem padła propozycja wspólnej imprezy, taryfy do hotelu itp. Chyba nie mógł zrozumieć, dlaczego go obśmiałam. Próba potraktowania mnie jako towara do klepania po tyłku była śmieszna, a sam Havoc był żałosny... Ale były też wywiady, po których oszalałam, jak wspomniany wywiad z Roots Manuvą. To strasznie introwertyczny koleś, ale otworzyliśmy sobie dyskusję i wywiad dosyć szybko, bo nie mogło być inaczej. Jeśli ktoś zna na wylot twoją twórczość i ma do niej niemal bogobojny szacunek – wtedy nie może być inaczej. Ty, Q-Bert, OFX, Erykah Badu, Scissors Sisters – to były fantastyczne wywiady. Zresztą, nigdy nie stosowałam „dziennikarskiego klucza" w wywiadach. Każda rozmowa była inna, bo najbardziej interesuje mnie człowiek. Ze swoimi słabościami, fascynacjami, gustem, poczuciem humoru. Muza, którą tworzy, broni się sama i należy jej słuchać, a nie o niej gadać. Więc zawsze starałam się przybliżyć słuchaczom bardziej Piotra Więcławskiego, Jacka Granieckiego czy Bartka Waglewskiego niż Vienia, Tedego czy Fisza.

Czy uważasz, że disy i beefy są wpisane w kulturę hip-hopu, czy też są one dla Ciebie przejawem nienawiści?

Ja jestem za. Jasne, że beef jest wpisany w tę kulturę od samego początku, bo wiele kawałków to przechwalanki. Beef w hip-hopie dla mnie jest kreatywny, tyle że został wypaczony. Bo trzeba do niego podejść z otwartym umysłem i dystansem. Nagrywając dissy, MC's podnoszą sobie poprzeczkę w kwestii umiejętności we władaniu słowem. Dzięki temu powstają historyczne kawałki, zwrotki i rymy, i super! To jest dla mnie oldschoolowa definicja beefu, za którą w pełni się opowiadam. Natomiast jeśli zasady oldschoolowe poszły się jebać i teraz kawałek musi mieć łaskę śpiewającą w refrenach, jedziemy sobie po matkach i rodzinie w płytkim stylu – to taki MC jest u mnie spalony na „dzień dobry".

Jak Ci się jawi wobec tego kondycja polskiego rapu?

Po pierwszej fali hip-hopolo – kiedy 18L sprzedali 35 tysięcy płyt – zastanawiałam się, czy po osiągnięciu dna hip-hop się odbije, co zaowocuje nową jakością. Teraz myślę, że lekko przesadzałam z tym dnem... Nie jestem jednak zniesmaczona polskim rapem. Wiadomo, że wyznacznikiem, czy jest dobrze, czy źle, jest sprzedaż płyt (która kuleje i można godzinami rozmawiać, dlaczego tak jest), ale artystycznie nie jesteśmy kopią Ameryki. Jest wielu artystów na scenie polskiej, którzy robią zajebiste rzeczy, więc nie ma co załamywać rąk, że polski rap jest w kiepskiej kondycji.

Jakie są Twoje plany na zawodową przyszłość?

Chciałabym zacząć robić krótkie filmy dokumentalne o muzyce, o ludziach, o ulicy, o kulturze miejskiej. Mam nadzieję, że tak wygospodaruję sobie zawodowe życie, że znajdę na to czas. Chciałabym też mieć swoją stację radiową – najpierw szefowanie muzyczne i playlista, a potem już formatowanie pozytywne, bo mam pomysł. Chcę ponadto podróżować po świecie. Jak Fat Joe powoli pozbywam się strachu przed lataniem, więc świat stoi przede mną otworem.

To kogo byś zatrudniła w tej swojej stacji jako autorów audycji?

Super pomysłem – dla kultury hip-hopowej – były audycje Fisza, Tytusa, Mariana, Deszcza, Volta następujące w kolejne dni. Wiadomo, że innym rodzajem rapu chłopaki się jarają, a takie szerokie spektrum jest kreatywne i wzbogacające.

AFI

Pamiętacie „Nieustraszonych pogromców wampirów" Polańskiego? W tym klasycznym już filmie badacz wampiryzmu profesor Abronsius szukał ponurych krwiopijców w Transylwanii. Dziś musiałby pofatygować się raczej do Kalifornii, bo tam właśnie zamieszkują współcześni potomkowie Draculi, którzy narzędzia tortur zamienili na gitary

tekst Sebastian Rerak

Nigdy wcześniej punk rock nie był tak blisko strefy mroku. Nowy miot punkersów niezwykle upodobał sobie widok księżyca w pełni, tajemniczy nastrój i poezję Baudelaire'a. Kto zaszczepił w nich te wampiryczne skłonności? Odpowiedź kryje się na topowych miejscach alternatywnych list przebojów, zakodowana skrótem AFI. To właśnie zespół AFI wbił kły w szyję punk rocka, odmieniając go nie do poznania.

AFI (czyli A Fire Inside) tworzy czterech facetów, którzy lubią podczas sesji zdjęciowych przybierać miny natchnionych poetów. Uwagę przykuwa zwłaszcza wokalista Davey Havok i jego ekstrawagancki wygląd – mocny makijaż, słuszna liczba tatuaży, demoniczne spojrzenie spod kruczoczarnej grzywy. Kroku dotrzymuje mu jeszcze gitarzysta Jade Puget, bo basista Hunter Burgan i bębniarz Adam Carson wyglądają nader zwyczajnie. W gruncie rzeczy bowiem nasze wampiry to zupełnie normalni, równi faceci, od lat wierni punkowej scenie. Niemal wszyscy stronią też od mięsnych produktów i wszelkich używek. Wyjątkiem jest tylko Carson, skłonny czasem wychylić jedno czy dwa piwka. Każda matka byłaby zadowolona wyprawiając swoją córkę na randkę z którymś z tych kulturalnych młodych ludzi. No, chyba że padłoby na Daveya, a ten podkradłby jej czarny lakier do paznokci.

Zanim ich lider zaczął używać cieni do powiek i parasola chroniącego przed słońcem, AFI było jednym z setek bandów uprawiających typowo kalifornijski miks melodyjnego punk rocka i lżejszego kalibru hardcore'a. Powstało nie w miasteczku Salem, a w południowokalifornijskiej mieścinie Ukiah. Tam właśnie Davey, wychowanek katolickiej szkoły, skrzyknął się ze swoim kumplem, perkusistą Adamem. W pierwszym składzie grupy znaleźli się też gitarzysta Mark Stopholese i basista Vic Chalker, zastąpiony później przez Geoffa Kresge. Był rok 1991, a nasi bohaterowie mieli po szesnaście lat i nie traktowali swojego muzykowania zbyt poważnie, bo debiutancką EP-kę zatytułowali „Dork" (Kretyn). Po skończeniu liceum uznali zresztą, że nauka w college'u jest ważniejsza od punk rocka i rozjechali się w różnych kierunkach. AFI zdążyło już w międzyczasie obrosnąć w piórka lokalnej legendy i kiedy byli członkowie grupy zawitali w rodzinne strony podczas zimowych ferii, zostali dosłownie zmuszeni do zagrania okolicznościowego koncertu. Po tym wydarzeniu zapadła decyzja o powrocie na scenę. Decyzja z kategorii tych, które odmieniają życie.

Po serii wydanych własnym sumptem EP-ek AFI nagrało w 1995 roku pierwszy album, „Answer That And Stay Fashionable". Wkrótce później grupa dostała się pod skrzydła wytwórni Nitro Records prowadzonej przez wokalistę Offspring, Dextera Hollanda, i dla niej popełniła albumy „Very Proud Of Ya" (1996) i „Shut Your Mouth And Open Your Eyes" (1997). Przełomowy był zwłaszcza trzeci krążek w ich dyskografii, na nim bowiem doszło do zmiany w wizerunku zespołu, coraz chętniej przyznającego się do fascynacji horrorami i kolekcjonującego ciuchy w gustownym kolorze głębokiej czerni. W 1998 roku ustabilizował się dobrze znany skład AFI, z Havokiem, Carsonem, Hunterem i Pugetem. Tak dobrana ekipa odniosła spore sukcesy płytami „Black Sails In The Sunset" (1999) i „The Art Of Drowning" (2000), na których bardziej jeszcze zanurzyła się w mroku. AFI rozwijało się także muzycznie, śmiało sięgając po brzmienia gotycko-rockowe i subtelne melodie pop.

Rosnąca popularność grupy, która z ulubieńca lokalnej publiki awansowała do miana międzynarodowej gwiazdy, sprawiła, że AFI opuściło Nitro i podpisało kontrakt z potężnym Dreamworks. Nagrany w 2003 roku album „Sing The Sorrow" sprzedał się w ponadmilionowym nakładzie. Kalifornijczycy mogli cieszyć się mianem jednej z najpopularniejszych grup punkowych na świecie, liczną armią oddanych fanów i wieloma, mniej lub bardziej pojętnymi naśladowcami. „To wszystko jest naturalną konsekwencją naszych wysiłków i uczciwości", zapewniał prostolinijnie Hunter. Tymczasem magazyn „Kerrang" obwołał naszych mrocznych lordów „ojcami chrzestnymi goth punka" i „najbledszymi punkowcami w Kalifornii" (co na szczęście odnosi się do ich odpornej na słońce karnacji, a nie jakości muzyki).

Niespodziewanie przyszłość zespołu stanęła pod znakiem zapytania, kiedy Davey nabawił się dolegliwości gardła. Operacja i rekonwalescencja strun głosowych zażegnały niebezpieczeństwo przedwczesnej emerytury i Havok wrócił na fono AFI na czas, by rozpocząć wraz z kompanami pracę nad materiałem na nową płytę. Z napisanych osiemdziesięciu utworów wyselekcjonowano najlepsze trzynaście i te trafiły na krążek zatytułowany „Decemberunderground", który w USA ukazał się w diabelskim dniu 6 czerwca 2006 roku i od razu bezczelnie wspiął się na listy przebojów. „Na tym albumie poświęciliśmy znacznie więcej uwagi różnym szczegółom", przekonuje Jade. „Spędziliśmy mnóstwo czasu pisząc nowe piosenki, ponieważ nie chcieliśmy się spieszyć. Każda partia gitary, linia basu czy wokalu domagała się dopieszczenia". Havok jest z kolei pewien, że za sprawą „Decemberunderground" AFI przekroczy wszelkie gatunkowe ramy. I ma rację, bo nowa propozycja zespołu nie ogranicza się tylko do mrocznego spooky punka i gotyckiego patosu. Siódmy album Kalifornijczyków efektownie łączy tak różne style jak swing, emo czy electro.

W chwili, gdy czytacie te słowa, AFI objeżdża Amerykę na trasie Vans Warped Tour. To pierwsze jego koncerty od dwóch lat, ale o formę kwartetu kalifornijskich książąt ciemności można być spokojnym. Ci goście nie zapomnieli, jak gra się porządnego rock'n'rolla. Matki, chrońcie swoje córki! Córki, chrońcie swoje szyje!

MAZURY HIP-HOP FESTIWAL

To była już piąta edycja Mazury Hip-Hop Festiwalu. Największe polskie gwiazdy, tłumy na widowni. Co jeszcze? O tym w króciutkiej relacji

Giżycko powitało uczestników kiepską pogodą, co było o tyle zaskakujące, że wcześniej przez jakiś miesiąc słońce nie dawało wręcz żyć. Niefart, który jednak nie przeszkodził publiczności w dobrej zabawie – i dobrze. Atmosfera była przednia (w szczególności pierwszego dnia imprezy), czemu z pewnością sprzyjała obfita konsumpcja przez gawiedź pewnego złocistego trunku serwowanego pod parasolami.

Koncerty? Cóż, wszystko już znamy, wszystko już było, ale przecież i tak nie lada atrakcją jest występ na jednej scenie w ciągu dwóch dni takich tuzów jak Tedunio, Molesta, Bez Cenzury, Kaliber 44, Pokahontaz czy WWO (choć może tych ostatnich w tym przypadku nieco mniej, bo Sokół zawieruszył się w okolicach Fidela Castro i do Giżycka nie przybył – zastąpił go Pono). Do tego mieliśmy bitwę wolnostylową (wygraną przez Emtesa, który w finale pokonał Puocia) oraz całkiem spoko prowadzącego w osobie Procenta, który jedynie zbyt często używał słów w stylu „kuhwa" czy „piehdolić".

A na koniec prztyczek w nos organizatorów. Płatna toaleta na festiwalu dla kilku tysięcy ludzi, na którym do tego można było kupić piwo, to jeszcze nic, ale już płatna, obsrana, zalana i generalnie syfiasta do bólu toaleta na festiwalu dla kilku tysięcy ludzi – to już irytująca rzecz, nieprawdaż?

NOKIA TRENDS

Zwykle w „Ślizgu" nie piszemy o imprezach z muzyką elektroniczną, jednak tym razem zrobimy wyjątek. Na Nokia Trends na warszawskim Służewcu ściągnęły tysiące fanów klubowych bitów, jednak nie była to impreza w stylu techno-maniaczki. I dlatego my też tam byliśmy.

Na zaproszenie Nokii przylecieli do Polski Mylo i Tiga – twórcy co prawda elektronicznych spraw, ale opartych na inspiracjach czarnymi brzmieniami, grających ciekawą, rozwiniętą muzykę – po prostu do słuchania i zabawy. Jedną z gwiazd, obok wspomnianych dj'ów, był nowojorski duet Fisherspooner, z którego pojawił się co prawda tylko Spooner, ale za to z całym zespołem, a show, które dali, było rewelacyjne. Trzeba dodać, że choć Fisherspooner są klasyfikowani w kategorii „techno", to tak naprawdę bliżej im chyba do punk rocka i ten właśnie miks – elektroniki z gitarowym jazgotem – przez ponad godzinę, a potem jeszcze z bisami poniósł widzów na Służewcu.

Poza tym, tego wieczoru na małej scenie odbył się finał konkursu Nokia DJ Cup, wyłaniającego nowe talenty wśród dj'ów grających muzykę elektroniczną. Nokia Trends było udaną imprezą, która przyciągnęła całą masę ludzi, którzy skakali w rytm komputerowych bitów, a dobór zaproszonych artystów sprawił, że dobrze bawili się nie tylko fani techno, ale każdy, kto lubi nowoczesną muzykę.

PRZECENIENI VS. NIEDOCENIENI

DECLAIME (DUDLEY PERKINS)

Dudley Perkins był jedną z legendarnych postaci Ameryki w pierwszym wieku motoryzacji. Najpierw jako zawodnik wyścigów motocyklowych, następnie dealer Harleya Davidsona w San Francisco, wreszcie jako działacz, Perkins wniósł wkład w każdy element motocyklingu. W dniu swej śmierci, 26 lutego 1978 roku, w wieku 84 lat był uważany za największego z największych „staruszków" przemysłu motorowego

tekst Hadero

Dziś nazwisko Dudley Perkins wypowiadane jest z szacunkiem również przez fanów rapu i to bynajmniej nie z powodu popularności Harley Davidsonów w kręgach hip-hopowej publiki. Traf chciał, że takie właśnie nazwisko nosi artysta z Kalifornii znany również pod pseudonimem Declaime. Doskonały przykład na to, iż szacunek i względny sukces niekoniecznie musi być efektem syntezy talentu, ciężkiej pracy i szczęścia. Czasem wystarczy z nich tylko szczęście…

Ojczym Dudleya był DJ'em. W domu po drugiej stronie ulicy dorastał Madlib. Pierwszy wpajał małemu Dudleyowi miłość do muzyki, drugi, nieco później, podklepywał niezłe bity. Dudley zaczął rapować ponoć jeszcze pod koniec lat 80. – wtedy to narodził się Declaime. Jego kariera ruszyła na dobre w roku 1995. Wkręcił się wtedy na płytę „Coast II Coast" Tha Alkaholiks, potem dał się usłyszeć na płycie Lootpack w bujającym „Break Dat Party". Rok 1999 przynosi debiut bohatera artykułu, EP-kę „lilmindmusic". Rzecz się przyjęła, choć chyba głównie dzięki bitom Madliba, bo trudno dopatrzyć się w rapowaniu Declaime'a jakiejś sensacji. Przewidywalne zbitki rymów, proste, powtarzane w nieskończoność refreny (które do dziś pozostają jedną z jego wizytówek), charakterystyczny (coś a la spowolniony B-Real z Cypress Hill) głos i niewątpliwie oryginalny flow: ni to dziamganie, ni to upalone majaczenie – to raczej nie są przymioty dobrego rapera.

Niewydolność mc bezlitośnie obnaża utwór „Trouble n Da West". Evidence z Wildchildem jako goście dają swoje standardowe szesnastki, zostawiając gospodarza albumu zagubionego w refrenie. Wydany dwa lata później longplay „Andsoitsaid" to właściwie kontynuacja EP-ki. Szesnaście utworów, czternaście skitów (to chyba rekord?!), niewiele jednak z tego pożytku, skoro uwagę przyciąga jedynie „Exclaim The Name". Tak już będzie zawsze – ostatnia płyta Declaime'a „Conversations With Dudley" ma piękny, liryczny utwór „Dearest Desiree" i tak na dobrą sprawę nic ponadto.

Ale Declaime to jedynie połowa historii. Drugą, znacznie ciekawszą, stanowi sam Dudley Perkins, który pod prawdziwym nazwiskiem nagrywa płyty, ehem, „śpiewane" (mowa o „A Lil Light" oraz tegorocznych „Expressions 2012" i „It's Dank & Jammy Show"). Jak do tego doszło? Jeszcze w 1997 roku powstał kuriozalny utwór „Flowers". „Jaraliśmy w studio z Madlibem. Gdzieś nad ranem puścił mi ten bit, mówiąc: 'Zrobiłem tu taki brudny r'n'b, może byś coś z tego wykombinował?'". I wykombinowali. „Flowers" wydano dwa lata później na siedmiocalowym singlu pod szyldem Stones Throw, jak twierdzi Peanu Butter Wolf, „dla żartu". Kawałek to nudny, nic prócz w kółko powtarzanej frazy „And even though the flowers bloom". Irytujący głos Dudleya, wtórny podkład Madliba, a z materiałów prasowych wytwórni dowiadujemy się, że to niczym „młoda Erykah Badu na kwasie".

Śpiewacka kariera Dudleya mogłaby się w tym momencie skończyć, gdyby nie interwencja niebios. Otóż pewnego dnia Dudley doznał olśnienia. „Brałem prysznic, gdy nagle mnie natchnęło". Perkins poczuł, że ma na tym świecie misję. Ma nieść ukojenie, być lekarstwem na wszelkie bolączki świata. Romantyczne to. „Płaczę za ból wszystkich ludzi" – mówi gdzieś w wywiadzie. „Gdybym zarobił trochę forsy, oddałbym ją dla biednych dzieci". Szlachetnie (choć ciekawe, ile forsy zdążył już przejarać), ale niechże w tych lamentach będzie choć trochę artyzmu, pasji, oddania. Chcę dreszczy na plecach, tak jak wtedy, gdy słucham Sole'a rapującego o „dzieciach spadających z nieba jak kasza manna, których nic nie uchroni przed centrum handlowym, przed 'Rokiem 1984'". Chcę poczuć ten ból, niech będzie obecny w każdym słowie, w każdym oddechu między wersami. Wybaczcie ignorancję, ale nic tu takiego nie doświadczam.

Oddaję mu jednak honor – ma dużo odwagi cywilnej, by przyznać, że „nie jest wokalistą". „Nie śpiewam. Zdarzyło mi się nagrać te kawałki będąc w bliskim kontakcie z Bogiem. To Bóg dał mi głos – muszę więc zrobić z niego użytek. W tym nie ma stylu. To tylko moja dusza, otwarta niczym instrument na tle soulowych bitów, a wszystko wzbogacone o przekaz". No właśnie: „przekaz". Słowo klucz w zrozumieniu twórczości Dudleya. Nad wszystkim co mówi, unosi się jego prorocza wizja: „To nasze ostatnie dni na tym świecie, ale nasze dusze, nasze DNA to przetrwa. Dni są coraz dłuższe, zmierzamy do dnia, w którym Ziemia się zatrzyma." Cytat wygrzebany z wywiadu, ale warto przysłuchać się również tekstom, to bowiem prawdziwa skarbnica mądrości. „To ty dałaś mi życie, mamo", „Pieniądze kręcą tym światem", „na świecie tyle bólu i cierpienia / chciałbym, by inni to zauważyli". Bardzo odkrywcze, nieprawdaż? Cóż jednak mamy począć, jeśli według niektórych teorii, od ciekawych tekstów, dobrego głosu i porywającego flow bardziej ticzy się klimat płyty? Trzeba się zachwycać, nie?

Teorii jednak mamy wiele. Jeszcze inna mówi, że najważniejszy w rapie jest podkład. Jeśli bit jest świetny, nawet Lil' Bow Wow da radę. A Dudley, to trzeba przyznać, ma farta do podkładów. Przy wszystkich projektach obecny jest sam Madlib. Wszyscy wiemy, jak to działa – jak jest Madlib, to już krytycy nie mają prawa narzekać, bo inaczej tincz. Pisząc jednak poważnie i obiektywnie, na „Conversations With Dudley" ze świetnej strony pokazał się Oh No, projekt „Mad Men On Arrival" dużo zawdzięcza produkcjom Kan Kicka, z kolei na początku bieżącego roku Japończycy dostali cały album Dudleya z niezawodnym J. Rawlsem. Ale nie zmienia to jednego: według mojej skromnej hipotezy, to co prezentuje sobą Dudley, nie przedstawia większej wartości. Na pewno nie takiej, byście tracili nań swój czas i pieniądze. Za dużo jest niedocenionych w muzycznym światku.

LABORATORYJNE SZCZURY

Polski hip-hop jest dla ciebie za grzeczny, zbyt poukładany i przewidywalny? Na producenckiej płycie Młodzika pojawiają się artyści, których słowo „raper" określa tylko w pewnym stopniu. Z całej Polski zebrano twórcze indywidualności, które mogą rozgniewać, zszokować, pozostać nierozszyfrowane, ale na pewno nie pozostawią obojętnym. Opowie o nich sam beatmaker

notował Marcin Flint
foto Cess (Kidd i Majkel)

KIDD

– MC z Elbląga, znany z projektów takich jak Pansofia i Międzymiastowa. Przy okazji wielokrotny zwycięzca awangardowych konkursów poetyckich slam. Autor niebanalnych, depresyjnych tekstów, z którymi trzeba się osłuchać. W gruncie rzeczy są proste. Proste teksty niełatwo jest napisać, jemu wychodzi to fenomenalnie. Szczególnie polecam obcowanie z nimi wieczorami.

DANY

– obecnie jego pełna ksywa to Dany Tego. Pochodzący z Chrzanowa MC czy może raczej wokalista, którego ludzie kojarzą m.in. z wydanej w Blendzie płyty Poemy Faktu. Gość będący niesamowitą osobowością i indywidualnością. Rymuje niekonwencjonalnie, offbeatowo. Nie ma ram, w których by się zmieścił, niemożliwością jest szufladkowanie go. To chyba anarchista, takie wrażenie wyniosłem z lektury jego tekstów.

MAJKEL

– członek Koligacji GieKa, współautor płyty „Kuriozum". MC z Gliwic, znany również z projektu Kubańskie Pomarańcze. Zainspirowany kulturą punkową i tekstami zespołów grających taką muzykę. Jego rymy są mocno osadzone w realiach społeczno-politycznych i obfitują w ciekawe, błyskotliwe spostrzeżenia na tym polu. Dobry technicznie, ponadto świetny freestyler.

CZYKITA

– Awangardowy poznański wykonawca wywodzący się z grupy Jazz Fuzz, która zaistniała na poznańskiej scenie w 1994 roku (wtedy jako Dom Malarza). Autorski projekt rapowego piosenkarza to eksperymentalna forma hip-hopu – underbit. Mocno odbiega od stylistyki rapowej, często pisze abstrakcyjną poezję. Obecnie udziela się w zespole KOT. Nie poznałem go osobiście, ale to dla mnie postać niezwykle intrygująca. Kiedy pisał do mnie listy z uwagami na temat muzyki, którą podsyłałem, wszystkie napisane były w odbiciu lustrzanym. Jego płyty są dla mnie jednymi z najdziwniejszych, jakie kiedykolwiek miałem okazję usłyszeć.

MOŁOTOF

– Mój serdeczny kumpel, MC i producent z Iławy. Autor jednego z najciekawszych polskich nielegali „Koktajl Połamanych Shematuf". Bardzo niepozorny koleżka, który na scenie pokazuje swoje prawdziwe oblicze. Niesamowicie spontaniczny i przekonujący. Hektolitry energii, które z niego tryskają podczas koncertów, poruszą każdą publikę. W tekstach z jednej strony szyderczy, bezczelny do szpiku kości (co nie ujmuje jego inteligencji), z drugiej sentymentalny i refleksyjny. Technika i flow nie do podrobienia. Sprawdźcie jego najnowszy, stworzony przy pomocy MPC 2000 i MPC 1000 krążek „Idę ulicą."

FACZYŃSKI

– Kolega Kidda, współautor Pansofii, pochodzący z tego samego miasta i zrzeszony w tej samej Skwer Korporacji, ale pod względem tekstowym bardzo z nim kontrastujący. Przekorny, obrazoburczy, buntowniczy. Wkurwiony rap.

NIELEGALE

tekst Marcin Flint

LAIKIKE1 /MŁODZIK /DJ DOBRY DOTYK

BYBZI BYBZI EP

WWW.MLODZIK.PL

Na tej EP-ce usłyszycie innego Młodzika niż na jego płycie producenckiej. Nie Def Jux, nie Anticon, a klasyczne, czasem nawet przebojowe brzmienie na basie tak mocnym, że w sprzętach trzeba wyłączać jego podbicie. Coś jak wyzwanie dla Kixnare'a. Szkoda, że zabrakło konsekwencji i EP-kę kończy senny, wolny numer, w którym w odróżnieniu od reszty niewiele się dzieje. Raper Laikike1 jest odkryciem. Jednak. Owszem, bez Pezeta, Mesa i Eisa nie byłoby Tetrisa, Smarka i Zkibwoya, a bez nich z kolei nie byłoby Laika. To na otrząśnięcie się z naleciałości powinno położyć się teraz nacisk. Puśćcie sobie dwa ostatnie utwory w okolicach 40 sekundy, a ponadto przysłuchajcie się akcentowaniu na całej płycie, a zrozumiecie, o co chodzi. Warstwa tekstowa to mistrzostwo. Z jednej strony gorzka, autoironiczna („Gdyby nie ten rap miałbym, kurwa, dwa wymiary / bo rozłożyć na płask potrafią nie tylko schaby") i odważna („Pięć dla tych, którzy sercem flow karmią / i nie ślą chuji w dupę policjantom na głos / nic za darmo, tego hardcore uczy / ale uczy też ryj zamknąć, jak nie znasz ludzi"), z drugiej bogata w unikalne obserwacje, najeżona palącym, bolesnymi i pozostającymi w pamięci linijkami. Gość umie zarówno rewolucyjnie podjechać pod system – „Młodzi i cierpcy" pasowaliby na producencką Młodzika – jak i posłodzić pannie. Treść powinna pogodzić odbiorców, trafić i na ulice, i na serwery. Dużo miejsca dostał DJ Dobry Dotyk, koleś z elbląskiego Skweru (pozostała dwójka jest z Jeleniej Góry, drugiego końca Polski). Za dużo na to, ile umie. Jest lepiej niż było, trafia się dobry cut, ale zostały lata treningu.

MOŁOTOF

IDĘ ULICĄ

WWW.MOLOTOF.PL

Na rapera i producenta z Iławy trudno patrzeć na chłodno. Trzeba znaleźć swoje priorytety, jeśli chodzi o hip-hop. Jeśli to dla ciebie brud, poszukiwanie, emocja, a przede wszystkim niczym nieskrępowana wolność, to Mołotof ze swoim nieutrzymanym w ryzach, pozbawionym granic i strachu przed konwenansem nawijaniem, „winylowym cmentarzem" w wolnych, hipnotycznych beatach z tłukącą perkusją, będzie idealny. Jeśli nie wychodzisz poza kanon punchlines/technika/bujające podkłady, odbierzesz to jako niestrawny kabaret. Ja mam dużo mieszanych uczuć, choć chyba więcej entuzjazmu. Denerwują kawałki krytyczne wobec rapsceny, bo są przeszarżowane i brzmią bardziej jak ujście frustracji niż twórcza wypowiedź. Ale kiedy raper nawija o ulicach, mówi o „sproszkowanym świetle" i „połamanych snach", definiuje dojrzewanie jako zmianę smoczków na fajki, a potem browarków na alkoholizm... Kiedy siedzi na bagażach z piwem i myśli, czy zostawić sny dla „Beckhama dla plakatach" i „mocnej herbaty", jest konstruktywny i skoncentrowany na tym, by raczej odczuwać niż szydzić (choć mierzone w pisowską politykę „Trujące kwiaty" są udane) – tak, wtedy jestem jego fanem, i trzeba przyznać, że środek płyty jest obiektywnie bardzo udany. Na jej końcu jest co prawda Kidd, Młodzik i ciekawy storytelling, ale dałoby się to lepiej wykorzystać. Dalsza ewolucja Mołotofa jest zagadką, na której rozwiązanie poczekam z wielką ciekawością. Więcej spokoju, mniej przekory!

PRO-DUKCJA
KAMEL

Kamel, czyli tak naprawdę Kuba. Urodzony w Tarnobrzegu, od pięciu lat mieszkający w Krakowie 23-latek to odpowiedź na natłok fanów klasycznego brzmienia w naszym cyklu. Kamel nie ukrywa sympatii do mainstreamu i plastiku. Znacie go z podkładów dla WdoWY, Rudego MRW, Piha i Skazanych na Sukcezz oraz wielu, wielu podziemnych produkcji (ostatnio dał beat m.in. Eskaubeiowi i DJ'owi Twisterowi).

ankietował Flintst1

Najchętniej słucham: Fochów mojej dziewczyny, są wyjątkowo zabawne. Jeśli chodzi o muzykę, to współczesnego amerykańskiego mainstreamu, ostatnio ze wskazaniem na dirty south. Do tego trochę reggaetonu.

Mój styl w jednym zdaniu: Wydaje mi się, że to jeszcze nie czas, żeby mówić o własnym stylu. Próbuję wszystkiego, szukam, badam.

Gdyby nie pozwolono mi robić muzyki, to zajmowałbym się: Projektowaniem zbiorników ciśnieniowych, reaktorów chemicznych i tym podobnych maszynerii, w sumie fajna robota.

Najchętniej sampluję: Bardzo różnie, ostatnio bardzo lubię powerpop z lat 80.

Nigdy nie wziąłbym sampla z: Niczego młodszego niż 15 lat, chyba że jest ciekawy pomysł na kawałek, to wtedy może być i Britney Spears.

Beaty, z których jestem najbardziej dumny: Zazwyczaj z najnowszych, czyli zmienia się to dość szybko. Ogólnie żadnego nie faworyzuję, w każdy wkładam bardzo dużo pracy i zaangażowania.

Kwintesencją podkładu jest: „Put You On The Game" Timbalanda.

„Żywe instrumenty" w hip-hopie to: Fajny dodatek do sampli.

„Elektronika" w hip-hopie to: Coś, co mi odpowiada coraz bardziej. Świat idzie do przodu.

Pierwszy sprzęt, jaki kupiłbym za wolny hajs to: Pralka, koniecznie.

Moi trzej ukochani producenci to: Może nie ukochani, ale lubię – Timbaland, Scott Storch, Just Blaze.

Moi trzej znienawidzeni producenci to: Nie patrzę, kto wyprodukował dany track. Jeśli muzyka mi się nie podoba, po prostu wyłączam.

Hip-hop instrumentalny jest dla mnie: Można posłuchać raz na rok, ogólnie nie przepadam.

Najbardziej chciałbym współpracować z: Jestem komercyjną świnią – z The Game'em, Lil'Kim, 50 Centem, Daddy Yankee i Ivy Queen.

Ludzie pytają, kiedy producencka, a ja odpowiadam: Im dłużej czeka się na śniadanie, tym lepiej smakuje.

Jako producent warto być obecnym na myspace.com, bo: A sam nie wiem, może i można nawiązać jakieś znajomości, promować swoją twórczość, załapać jakieś ciekawe współprace za granicą. Nie wiem jeszcze dokładnie, za krótko mam konto.

Porównując brzmienie undergroundu i mainstreamu w USA dochodzę do wniosku, że: Nie warto słuchać undergroundu.

O tym, jak produkuje się teraz w Anglii, mogę powiedzieć, że: Nie mam o tym zielonego pojęcia.

Gdybym mógł producentom zabronić jednej rzeczy, byłoby to: Polskim początkującym producentom ciąć bębnów Noona.

Raczej G-Unit czy raczej Diplomats? G-Unit bezapelacyjnie.

Raczej Ruff Ryders czy raczej Swisha House? Raczej Ruff Ryders. DMX rządzi.

Mając beaty KLC i Mannie Fresha wybieram: KLC za płytę Paula Walla, choć wolałbym wybrać Lil'Jona.

Mając beaty Heatmakerz i Red Spyda wybieram: Red Spyda, bo nie znam zbyt wielu produkcji Heatmakerz.

Mając beaty DJ Pauia & Juicy J albo Cool & Dre wybieram: Coot & Dre.

Mając beaty Denauna Portera i Jelly Rolia wybieram: Porter raczej. Ciężki wybór, ale „P. I.M.P." przeważył szalę na jego stronę.

Producent, któremu najbardziej zazdroszczę, to: Wielu producentom – sprzętu, dyskografii.

Najbardziej przewidywalny producent świata to: Timbo. Zawsze zajebiście, nawet u Justina Timberlake'a.

Nigdy nie zrobiłbym beatu dla: Smutne, ale prawdziwe – to zależy od proponowanej stawki. Paru reprezentantów polskiej sceny musiałby jednak zapłacić bardzo dużo, żebym się zmusił.

LICZ, BICZ!
60-69

tekst Pablo Die-bitch

60 Fragment newsa inowrocławskiego Radia As: „Sześćdziesiąt osób wylegitymowano podczas piątkowej kontroli tzw. blokersów. Blokersi to młodzi ludzie spędzający swój wolny czas przed blokiem, nie zawsze tak jak chcieliby ich rodzice". Dodamy, że kwintesencją blokerstwa – i to nie byle jakiego, bo drugopiętrowego – jest Onar. Ma nawet koszulkę z napisem „Jestem z bloku".

61 amerykańskich artystów zrzeszonych w 43 projektach miało w samym tylko 2006 r. dostać (i zapewne dostało) milion baksów od fundacji Creative Capital na swoją szeroko rozumianą (oraz wykorzystującą hip-hop np. w połączeniu z komiksem i teatrem) sztukę. U nas za to łatwiej sprzedać „trzy białe i dwie zielone" niż 200 winyli, zaś najlepszy freestyler jedzie w nagrodę oglądać jazdę na BMX-ie.

62 Wśród „62 dni zabawy", jakie zaplanował dla czytelników „New York Summer Guide", jest koncert Lady Sovereign. Według autora, to „brytyjska raperka, która wygląda jak Sporty Spice, ale brzmi jak The Streets". Do nas niech nie przyjeżdża – tych kilka procent młodych kolesi, którym dziewczyna z ustami przy mikrofonie kojarzy się z rapem, zobaczy ją sobie przecież w Londynie po pracy. A reszcie zostanie patrzenie na dwóch takich, którzy wyglądają jak kartofle, ale brzmią jak naziści.

63 Kiedy Kaliber 44 przemieszczał się w 63 minuty dookoła naszej planety, większość polskiej sceny zbliżała się dopiero do hip-hopowego trzeciego świata. Dziwnie się życie układa... Joka w efekcie wyjechał do Ameryki, a Magik w dalszą, dużo dalszą, podróż. Wtedy słuchacze zaczęli go ślepo czcić, a inni raperzy głupio osądzać... Pozwólmy cyrkowi być cyrkiem.

64 W roku 1964 urodził się Mieczysław Szcześniak. Ostatnio stał się Mieczem i nagrał numer z Mezo. Boimy się o Jacka. Kto Mieczem wojuje, ten od pochwy ginie!

65 Buck 65 to niezły kanadyjski mc skoligowany w swoim czasie z Anticonem. W swoim najsłynniejszym kawałku „Centaur" opowiada historię centaura, który kocha muzykę

NAPISZ TO SAM
KEITH MURRAY

W ciągu wieloletniej historii rapu przewinęło się wiele postaci obdarzonych uznaniem niewspółmiernym do rzeczywistych zasług. Jedni błyszczeli nie pokazując niczego powyżej średniej, inni natomiast nagrywali genialne, lecz niestety niedostatecznie znane numery. Ja zajmę się tu jednym z tych z plakietką „niedoceniony"

tekst Mateusz „eMATel" Natali

Jestem pewny, że nie wszyscy czytelnicy kojarzą dokładnie nazwę Def Squadu. Eric Sermon? Redman? Już lepiej. Ale niestety znaczna część osób zapomina o najmocniejszym, moim zdaniem, ogniwie tej ekipy – tym kimś jest Keith Murray.

MC ten zadebiutował u boku Sermona na jego pierwszej solówce „No Pressure" (1993) w utworze „Hostile" i od razu ujawnił charakterystyczne dla siebie cechy. Bardzo oryginalny skrzeczący głos i agresywny, cięty, chrapliwy flow połączony z ciekawymi tekstami spowodowały u wielu chęć dowiedzenia się czegoś więcej o tym interesującym raperze. Okazję tę otrzymali oni w roku 1994, gdy na światło dzienne wypuszczona została jedna z najlepszych i zarazem najbardziej niedocenionych płyt nowojorskiej złotej ery. Znakomite, brudne, ciężkie, lecz zarazem bujające bity samego Zielonookiego Bandyty (jedna z ksywek Sermona) połączone z niepowtarzalnymi atutami Murraya wywołały prawdziwy podziemny boom, a krążek promowany dwoma klipami – tytułowym „Most Beautifullest Thing In This World" oraz „Get Lifted" (z gościnnym udziałem Jamala z Illegal) – z miejsca zyskał szacunek obeznanych w rapowych brzmieniach.

Dwa lata później artysta powrócił z albumem „Enigma" umacniając swoją pozycję i zdobywając uznanie. Oprócz Keitha i kolegów z Def Squadu (Redman, Sermon, Jamal), gościł tam m.in. młody wówczas Busta Rhymes, a za produkcję obok Funk Lorda (kolejna z ksywek Sermona) odpowiadał m.in. sam Jay Dee. Album, mimo że tylko nieznacznie słabszy od debiutu, znowu przeszedł niezauważony, co zapewne wiązało się z mnogością klasyków wypuszczanych w tamtych latach i mogło wywołać zniechęcenie Keitha.

W roku 1998 ukazał się album Def Squadu, a rok później trzecie dzieło Keitha, „It's a Beautiful Thing". Oba albumy utrzymują znaną z ówczesnych produkcji Sermona funkową konwencję, ale solo Murraya mimo dobrego poziomu nie dorównywało już jednak poprzednikom.

Tu praktycznie kończą się warte głębszej uwagi produkcje Keitha. Związane było to z pewnością z tym, że w międzyczasie raper uwikłał się w konflikt z prawem i lata 1998-2001 przesiedział za kratkami. Po wyjściu na wolność pojawiał się gościnnie w różnych utworach (m. in. u LL Cool J'a czy – a jakże – Sermona i Redmana), ale na swój czwarty, zupełnie nieudany album kazał czekać aż do 2003 roku. Dość widoczny był w jego wypadku brak bliskiego kontaktu z amerykańską sceną na przełomie wieków. Na tym krążku Murray, co może się wydawać niezwykłe, zupełnie zatracił dawne zalety. Brak skrzekliwego flow i nie wyróżniający się specjalnie głos powodują, że „He's Keith Murray" lepiej przemilczeć, mając nadzieję, że sam Keith zdał sobie sprawę, iż syntetyczne bangery a la Just Blaze pasują do niego dużo mniej niż klimatyczne dudniące uliczne brzmienia.

Dlatego też wielu słuchaczy wychwalając go używa sformułowania „dawny Murray". A tego „dawnego", co nie ulega wątpliwości, znać warto. Oryginalność, luz przekazu, swoista agresja na bitach, potężne punche okraszone nieprzeciętnym poczuciem humoru, zachrypnięty wokal, kąsający, uciekający od schematów flow czynią z niego jednego z najciekawszych, a zarazem najbardziej niedocenionych emcees w historii, który nazywając swój rap „najpiękniejszą rzeczą na świecie" nie mylił się aż tak bardzo, jak mogłoby się wydawać.

klasyczną i ma skomplikowane wnętrze, ale wielki penis przeszkadza mu w znalezieniu prawdziwej miłości. To zupełnie odwrotnie od rozpalonych cyber-fanów Bucka, którym mały penis wydaje się przeszkadzać w znalezieniu jakiejkolwiek miłości. Poza tą na myspace.com.

66 „My smart bombs are 66.6% accurate / my leaders name's another word for pussy / slander and propaganda got me fucked up so don't push me" – ostrzega Akrobatik w nagranym z Virtuoso kawałku „Military Intelligence Lyrics", sugerując, żeby sprawdzić na CNN, ile punktów zdobył jako żołnierz za bombardowanie kobiet, mężczyzn i dzieciaków. A wy jedzcie dużo kebabów, czytelnicy. Kiedy Kaczyńscy zameldują nasze wojska w Libanie, będziecie dostawać w nich dużo mniej mięska. Choć może więcej czerwonego sosu?

67 letni kompozytor, gitarzysta i piosenkarz Bill Withers (hiciory „Lean On Me" i „Ain't No Sunshine") w wywiadzie dla Wax Poetics powiedział, że z przyjemnością porozmawiałby z samplującym go Kanye Westem i Dr. Dre, bo są kreatywni i wydają mu się ciekawymi ludźmi. I to oznacza godnie się zestarzeć. Polecamy takie zachowania przechlanym elitom polskiej muzyki rozrywkowej gotowym za sample wyrwać przechlanym raperom to ich marne kieszonkowe.

68 „Sześćdziesiątkaósemka" to synonim do „fanka Seweryna Krajewskiego", ale też wymierzony w Płomień numer. Brzmi jak druga (po zwrotce na Hardkorowym Brzmieniu) rzecz, przy której w ostatnim czasie TDF choć na chwilę się skoncentrował. W końcu, jak to filozoficznie ujęło Ascetoholix, wszyscy „chcemy wojny".

69 to kolejny diss Tedego, a przy okazji pozycja erotyczna, w której partnerzy pieszczą swoje genitalia ustami. Nowator zrobił dobrze Tedemu, pozwalając mu dowartościować się przez bluzganie lirycznie niepełnosprawnego. Tede zrobił dobrze Nowatorowi, dając mu pretekst, by ten pokazał, jaki jest groźny, a ludzie dowiedzieli się, gdzie leży Opoczno. Czyli chłopaki wyluzowali się ze sobą. A my wyluzujemy z gejowskimi konotacjami, bo nie chcemy być telefonicznie zastraszani przez Kotcza;)

WŁODI VS. MW
WSZECHZŁODZIEJE

Niedawno wstrząsnęła Polską decyzja mentora Młodzieży Wszechpolskiej, Romana Giertycha, który postanowił darować maturzystom nieuctwo. MW bowiem zaciekle walczy o młody elektorat. Najnowszym elementem batalii jest bezprawne wykorzystanie wersu Włodiego.

tekst Marcin Flint
foto Cess

Młodzież Wszechpolska to powołana w 1922 organizacja nacjonalistyczna, reaktywowana w 1989 roku za sprawą samego Romana Giertycha. Jej priorytetem jest wychowywanie młodzieży. Szczególne sukcesy odnosi na polu matematyki – uczy stawiać znak równości między homoseksualistą i zoofilem oraz pedofilem i euroentuzjastą. Błyszczy w kwestii retoryki, bo rzadko która dyskusja jest tak skuteczna, jak ta prowadzona za pomocą kamieni i oblewania środkiem żrącym. Porywa wyciąganiem wniosków z historii: Wszechpolacy zamykaliby przeciwników w obozach, gazowali ich, zwolenników witali zaś faszystowskim pozdrowieniem.

MW dzieli ostatnio los Ligi Polskich Rodzin, której stanowi polityczne zaplecze. Moherowe berety poszły za PiS-em, karki nie potrzebują już ideologii, by bić innych, jednym słowem panuje recesja, z którą trzeba walczyć wszystkimi dostępnymi środkami. Takimi jak agitacja pod warszawskim Grobem Nieznanego Żołnierza w trakcie uroczystej zmiany warty i rozdawanie ulotek wykorzystujących bezprawnie linijkę „Nie mówię szeptem, gdy mówię, skąd jestem" stanowiącą cytat z utworu Włodiego „Definicja". Cóż na przykład z tego, że według własnej deklaracji ideowej „Młodzież Wszechpolska odwołuje się do kanonu zasad Jedynej, Prawdziwej, Świętej Wiary Katolickiej", a Włodi jest muzułmaninem...

Rzecz ujawniła „Gazeta Wyborcza", a Włodi zareagował ostro. Swoją reakcję tłumaczy „Ślizgowi": „Biorąc pod uwagę moje przekonania, była ona naturalna. Nie czuję się poruszony, bo tak naprawdę sram na nich, pierdolę tych frajerów. Tylko strasznie się wkurwiłem i zaniepokoiłem tym, że może to mojej osobie zaszkodzić. Nie każdy wie, że ja się na to nie zgadzam i że mój wers wykorzystano bezprawnie. Ja jestem patriotą, bo kocham ludzi, którzy są w tym kraju i kocham ten kraj, czuję się z nim związany, ale nie jestem skrajnym nacjonalistą uważającym, że dobre jest tylko to, co polskie, że tylko Polska i nic innego. To jest chore i hermetyczne. Młodzież Wszechpolska nie jest dla mnie organizacją stricte faszystowską, ale faszyzującą, mającą zbliżone poglądy i propagującą zbliżone postawy, dla mnie zupełnie obce. Nie odpuszczę im, zrobię to, co jest w zakresie moich możliwości. Zgłosiłem to do publishera zajmującego się chronieniem moich praw. Osoba, która napisała na ten temat w „Gazecie Wyborczej", przysyła mi dowody rzeczowe w sprawie, opaskę i ulotkę przez nich roznoszoną. Ja odsyłam to dalej do ZAIKS-u. Zobaczymy co dalej, i czy w ogóle w Polsce da się coś z tym zrobić. To i tak zrobiło swoje – zrobiło coś negatywnego."

Przewodniczący MW, Krzysztof Bosak, zdziwił się, że można „opatentować jakieś zdanie". Jak widać, ojciec Tadeusz Rydzyk (między innymi na jego uczelni Bosak pobierał nauki) nie nauczył podopiecznego różnic między prawem patentowym a autorskim. Pozostaje kibicować Włodiemu i za jednym z internautów powtórzyć: „Zdejmujemy buty i na Bosaka!".

NIE HIP-HOPOWA PIGUŁKA
AMP FIDDLER

W muzycznym krajobrazie Detroit Joseph „Amp" Fiddler od ponad dwudziestu lat jest osobą, która odpowiada za słońce, paletę jasnych barw i ciepło. Producent, wokalista i przede wszystkim genialny klawiszowiec, z którego usług korzystali m.in. George Clinton, Brand New Heavies, Jamiroquai, Maxwell i sam Prince. Robi wrażenie, prawda? Jeśli dodamy do tego, że tacy geniusze bitmaszyny jak ś.p. Dilla, Karriem Riggins czy Carl Craig pobierali u Fiddlera nauki odnośnie produkcji, jasnym się staje, że mamy do czynienia z postacią niezwykłą i nietuzinkową, prawdziwym guru funk-soulowej muzyki z Detroit.

BITWA O ANGLIĘ
BRAINTAX

Mam nadzieję, że jeszcze nie rozpakowaliście walizek po wakacyjnych wojażach, bo w tym miesiącu wybierzemy się na krótką wycieczkę do pewnego brytyjskiego miasta, z którego pochodzi Straszna Przyprawa, czyli Mel B (uwaga młodsi czytelnicy, spytajcie swoich stetryczałych sióstr, czym były Spice Girls)

tekst Dominika Cess

Leeds, bo o tym mieście mowa, ma też pewne zalety – klub piłkarski, w którym nie grzeje ławy żaden Polak i dom rodzinny Josepha „Braintax" Christiego. Braintax, podobnie jak The Streets, był początkowo zespołem muzycznym tworzonym przez Christiego i DJ'a T.E.S.T., jednak w wyniku pewnych zawirowań skończyło się na tym, że Brando Flux aka Joey Brains został sam z radosnym hip-hopowym kramem. Zróbmy jednak trzy kroki w tył, do czasów, kiedy Flux i T.E.S.T. jeszcze rapowali razem (tak, tak, jak wielu old-schoolowych DJ'ów, także i ten był wszechstronny – skreczował, produkował i składał rymy). Był rok 1992 i obaj panowie po długiej i bardzo pouczającej wędrówce przez meandry rynku muzycznego wydali pierwszą EP-kę sygnowaną jako Braintax, a była to „Fat Heads".

Jeśli zastanawialiście się kiedykolwiek, czy Everlast mógł nagrać „Jump Around" dopiero przebywszy Wielką Wodę, podpowiedź znajdziecie w pierwszym utworze z tego mini-albumu, a brzmi ona – nie. Ostatecznie nawet w hrabstwie West Yorkshire można robić taki hip-hop... Można z nim nawet wychodzić do ludzi i rozgrzewać ich przed występami ówczesnych gwiazd z Ameryki: Das EFX, KRS-One'a czy The Pharcydę, co Braintax czynił wraz z duetem Breaking The Illusion (co ciekawe, ten zespół także stał się potem jednoosobowy).

Obie grupy na okoliczność wydania „Fat Heads" założyły label Low Life Records. Ta zarządzana przez Christiego wytwórnia jest najstarszym aktywnie działającym wydawnictwem hip-hopowym w Wielkiej Brytanii, a jej logo dzięki konsekwencji i gustowi szefa jest uznane przez Wyspiarzy za znak jakości rapu. Oprócz wydawania własnych produkcji, Low Life wspomogło Task Force, Jehsta, Skinnymana i założone przez Rodneya P Riddim Killa Records. Jest to całkiem imponująca lista artystów, która od razu powinna wam zasugerować, jaki nurt hip-hopowy reprezentuje Braintax.

Po wydaniu pięciu EP-ek Brains przypieczętował swoją obecność na angielskiej scenie oficjalnym debiutanckim albumem długogrającym zatytułowanym „Biro Funk". To tam znalazła się esencja tego, co stanowi o sile Braintax – solidny hip-hopowy vibe (bo jak sam Christie przyznaje, kiedy robi bity, to muszą mieć one funk) i doskonale odmierzona dawka treściwego rapu. Brando Flux mówi o polityce, gospodarce czy po prostu o życiu (co lubi podkreślać – na prowincji), ale nie jak mentor ani jak uczniak zerkający co chwilę do słownika po skomplikowane i niezrozumiałe wielosylabowe wyrazy techniczne, tylko jak kumpel, z którym siadasz przed telewizorem z puszką piwa. Ma swoje poglądy, wizję lepszego świata (momentami anty-monarchistyczną, jak przystało na zbuntowanego Brytyjczyka: „Staram się myśleć o pozytywnych rzeczach: jedna miłość, żadnej królowej / jeden bóg, żadnych królów") i rzuca wersy przerażająco prorocze: „Tak chciałbym mieć wolę walki, żeby im oddać / być na szczycie World Trade Center, cały ubrany na czarno / Ja i paczka wypełniona złością". To cytat z kawałka „The Grip", który jako jeden z 14 zawartych na „Biro Funku" ukazał się w 2001 roku, tuż przed słynnym 11 września. Wtedy inni ludzie, niekoniecznie ubrani na czarno, wpakowali w WTC samoloty wypełnione ludźmi i złością. Od tego momentu na koncertach Brains zastępuje nazwę Dwóch Wież Bankiem Światowym...

Powróćmy jednak do samego bohatera. Nie bez powodu wszystkie aliasy Christiego odwołują się do mózgu. Sam przyznaje, że „to zadanie Braintaxu – taksować twój mózg i skłaniać cię do myślenia". Mimo że od premiery pierwszego, a za razem ostatniego albumu minęło już sporo czasu, Braintax wywiązuje się z obietnicy promując kolejne warte uwagi nowe twarze brytyjskiego hip-hopu i udzielając się gościnnie na cudzych płytach. Jeśli boicie się zakwasów w zwojach mózgowych, możecie sięgnąć po jego featuring na świeżutkim albumie australijskiego zespołu Hilltop Hoods (utwór „Obese Lowlifes"; nie mówiąc już o tym, że sama płyta jest wydarzeniem), a dopiero potem przyswoić resztę twórczości Pana Mózga oraz jego podopiecznych...

tekst Andrzej Cała / „Machina"

Przez wiele lat ukrywał się w cieniu innych muzyków, dogrywając jedynie swoje partie klawiszy na płytach wielkich legend muzyki funk. Pierwszy jego krążek też nie był do końca solowy, ponieważ ogromną rolę przy jej produkcji odegrał brat Josepha „Ampa" – Thomas „Bubz" Fiddler. Ich wspólny projekt „With Respect" wydany pod szyldem Mr. Fiddler ukazał się w 1990 r., nie odnosząc spektakularnego sukcesu marketingowego, za to ukazując w pełni skalę talentu twórców. Pięknie wymieszane na tym krążku elementy klasycznego funku, rhythm & bluesa z nowoczesnymi brzmieniami ukazały, jak otwarty na eksperymenty i nowinki we współczesnej muzyce progresywnej jest Amp Fiddler.

Przez kolejną dekadę Amp skupił się na pracy producenta wykonawczego i przewodnika dla młodych twórców, których wprowadzał w świat muzyki. To u niego pierwsze rzeczy nagrywali Slum Village, Athletic Mic League, Elzhi czy Dwele. Dopiero na przełomie wieków artysta zdecydował się rozpocząć prawdziwą solową karierę. Najpierw zaatakował kilkoma singlami, później pojawił się m.in. na albumie „The Detroit Experiment", czyli autorskim projekcie Carla Craiga, gdzie nie tylko dograł klawisze do części nagrań, ale też rewelacyjnie zaśpiewał cover piosenki z repertuaru Stevie Wondera „Too High".

W końcu przyszła pora na debiutancką solówkę. „Waltz Of a Ghetto Fly" ujrzało światło dzienne wiosną 2004 r., z miejsca zyskując bardzo wysokie oceny i doskonałe recenzje. Na płycie Fiddler zaprezentował nam fantastyczny kolaż jazzowo-soulowo-awangardowych kompozycji. Piękne, wysmakowane nagrania miały w sobie spory potencjał taneczno-singlowy, dzięki czemu kilka kawałków z albumu wbiło się na rotację MTV Base. Pracując nad albumem Amp skorzystał z pomocy J Dilli, Raphaela Saadiqa i Moodymana, a efekty tej współpracy były naprawdę imponujące.

Obecnie Fiddler promuje swój nowy album „Afro Strut", którego recenzję znajdziecie w odpowiednim dziale magazynu. Odwiedzi też po raz pierwszy Polskę, będąc jedną z gwiazd zbliżającego się wielkimi krokami festiwalu Summer of Music.

STRACH MA SKOŚNE OCZY

CZYLI CZYM NAS STRASZĄ JAPOŃCZYCY?

Lubisz horror, a jednocześnie masz dość ociekających ketchupem amerykańskich filmów i kiepskich komiksów za piątaka? Zdaj się na Japończyków. Oni w straszeniu nie mają sobie równych – przyprawią cię o gęsią skórkę, a jednocześnie nie pozwolą zwolnić się z pracy szarym komórkom

tekst Sebastian Rerak

Kilka lat temu słynny „Krąg" w reżyserii Hideo Nakaty spowodował, że niejeden widz zadławił się popcornem. Bardziej niż przerażającą fabułą, film zaskakiwał niepokojącym nastrojem, psychologiczną głębią i nawiązaniem do tradycyjnych wierzeń. W porównaniu z nowymi produkcjami amerykańskimi, w których monstra o wyglądzie Michaela Jacksona po liposukcji szlachtują drylownicami do śliwek trzydziestoparoletnie licealistki (silikonowe potwory kontra silikonowe biusty), japoński horror mógł wydawać się przemyślany niczym konfucjańska przypowieść. A kiedy minął szok kulturowy, zwolniono tamy przed całą lawiną filmów fabularnych i anime oraz komiksów manga, zaludnionych przez duchy i demony. Europejczycy i Amerykanie przestali traktować japoński horror jak egzotyczną ciekawostkę i zapragnęli się bać. I trzeba przyznać, że z tym nietypowym zapotrzebowaniem zwrócili się do właściwych ludzi, bo sztukę straszenia bliźnich Japończycy doskonalili przez wieki.

KIEDYŚ KAIDAN, DZIŚ J-HORROR

J-horror, jak popularnie nazywa się opowieści grozy z Kraju Kwitnącej Wiśni, cechuje przede wszystkim aura niesamowitości i silne zakorzenienie w tradycyjnej demonologii. Bo chociaż dzisiejszy obywatel Nipponu najbardziej boi się zapewne tego, że kupiony przez niego w poniedziałek nowy telefon stanie się w sobotę przeżytkiem, to całkiem sporo zostało w nim fobii typowych dla jego prapraprapradziadków. Japończycy od niepamiętnych czasów wymyślali przypowieści o zjawach, demonach, klątwach, szamanach i nekromantach, które przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie. Historie z dreszczykiem, nazywane kaidan upowszechniły się zwłaszcza w epoce Edo (lata 1603-1868). Kiedy pod koniec XVIII wieku ilustrator Toriyama Sekien postanowił napisać ich antologię, dzieło ukończył dopiero po sześciu latach, gdy liczyło już cztery opasłe tomiska. Pozwólmy więc sobie na bardzo pobieżny przegląd koszmarów, jakie przed wiekami powodowały, że włosy w samurajskich kokach jeżyły się dęba, a którymi niekiedy i dziś straszą nas rodacy Kurosawy.

UPIORY SĄ WSZĘDZIE

Większość opowieści kaidan opowiada o istotach nadprzyrodzonych zwanych obake lub bakemono (co znaczy mniej więcej tyle, co „przekształcające się rzeczy"). Owe zmiennokształtne demony zamieszkiwały zazwyczaj bezludne pustkowia i cmentarze, choć ciepło domostw i zapach oleju używanego w lampach potrafiły przyciągać niektóre z nich do ludzkich skupisk. Wtedy należało mieć się na baczności, bo spotkanie np. z rokuro-kubi, drapieżną kobietą o nienaturalnie wydłużającej się szyi, nie kończyło się najlepiej. Chyba jedynie komiksowy Usagi Yojimbo wyszedł z takiej konfrontacji bez szwanku i nie podzielił losu ofiar kobiety-demona, z których ta wyssała życiową energię. Usagi miał też wątpliwą przyjemność poznać dalekiego krewnego naszego wodnika, żółwiopodobnego stwora kappę, który przyczajony w stawie wciągał nieuważnych przechodniów do wody. Kolega po fachu kappy, górski goblin tengu, miał na sumieniu porwania dzieci, wzniecanie pożarów, a nawet prowokowanie wojen. Gęste niegdyś japońskie lasy zamieszkiwały także całe rzesze duchów i zjaw, takich choćby jak zwierzęce demony znane z „Księżniczki Mononoke". A jako że Japonia to kraj wyspiarski, zagrożenie czaiło się także od strony wody. Rybacy i podróżni na statkach musieli wystrzegać się złowrogich syren (ningyou), morskich goblinów i demona-ośmiornicy (takoniyudo).

UWAŻAJ NA MRUCZKA

Za najważniejsze i najgroźniejsze obake uchodził ogień. Żyjący w domach z drewna i papieru Ja-

pończycy byli świadomi jego niszczycielskiej siły, ale fascynowała ich także bezkształtność gorącego żywiołu (pomyślcie teraz o dobrotliwym płomyku Calcipherze z „Ruchomego zamku Hauru"). Pomni nauk Buddy, wiedzieli, że nic na świecie nie jest stałe i dlatego każdy niemal obiekt mógł ich zdaniem stać się fantastycznym stworzeniem. I tak np. popsuty lampion przekształcał się w demona (chocin-obake), parasolka ożywała (kasa-obake), a ściana mieszkania mogła okazać się niewidzialnym duchem nurikabe i niespodziewanie ruszyć z miejsca. Nadnaturalne cechy mieszkańcy Nipponu przypisywali także zwierzętom. Złote lisy o dziewięciu ogonach (kinmokyubi no kitsune) miały w głębokim lesie odprawiać tajemne rytuały. We znaki ludziom dawały się także złośliwe szopy tanuki. Na swoiste zdemonizowanie narażone były nawet domowe koty. Gdy poczciwy mruczek dożywał dziesiątego roku życia, jego ogon dzielił się na dwie części, a sam kot zyskiwał magiczne zdolności, m.in. umiejętność przywoływania zza grobu zmarłych. Domowy kociak mógł także przeobrazić się w bakeneko, istotę zdolną do przyjmowania kształtu i właściwości każdego obiektu, jaki zobaczy. Jeśli oglądaliście fantastyczne anime „Mój sąsiad Totoro", to pamiętacie pewnie takiego osobnika – poczciwego Nekobasu, czyli... „koci autobus".

PO CZYM POZNASZ DUCHA

Ważnym szczepem obake były yurei, duchy ludzi zmarłych w przypływie wielkich emocji – gniewu, nienawiści lub zgryzoty. Musiały one błąkać się pomiędzy światem materialnym i duchowym, dopóki nie zaspokoiły ostatniego pragnienia, którym zazwyczaj była zemsta na tym, kto skrzywdził je za życia. Yurei pojawiały się zawsze w godzinie duchów zwanej ushimitsudoki (między 2.00 a 3.00 w nocy), a rozpoznać je można było po długich, zaniedbanych włosach, białym pogrzebowym kimonie i makabrycznym makijażu (porównajcie ten opis z wyglądem zjaw z „Kręgu" i „Klątwy").

Japończykom nieobce są i wampiry (kyuketsuki), choć te to kulturowy import z Chin. Na wyspach Nipponu nie powstało ani jedno podanie o wampirach, a w tamtejszej kinematografii pojawiły się one dopiero w latach 50. XX w. na fali popularności horrorów angielskich. Pierwowzoru kyuketsuki należałoby szukać w buddyjskiej tradycji gaki – duchów chciwych ludzi, ukaranych po śmierci niemożliwą do zaspokojenia żądzą jakichś przedmiotów lub substancji. Stąd już blisko do żądnych krwi upiorów i tytułów takich jak „Vampire Princess Miyu" czy bardziej już zeuropeizowane „Vampire Hunter D" i „Hellsing".

Na zakończenie tego mini-leksykonu dziwnych stworów, wspomnieć należy jeszcze o hanyo, pół-ludziach, pół-demonach, chociaż są oni już stosunkowo nowym wymysłem mangowych rysowników. Do tej rasy należy chociażby popularny i w Polsce bohater InuYasha, którego imię oznacza dosłownie „psi demon" (to powinno wyjaśniać, dlaczego ów młodzian ma włochate uszy i puszysty ogon).

DZSIEJSZY TECHNO-HORROR

O tym, że tradycja ludowych legend jest w Japonii żywa, świadczą kolejne wznowienia wielkiego dzieła Toriyamy Sekiena, gliniane figurki demonów rozsiane po wyspach, a przede wszystkim dorobek szamanów współczesnego j-horroru. Mistyka starych wierzeń inspiruje młodych twórców wyrafinowanej grozy, takich jak mangaka Junji Ito czy reżyserzy Hideo Nakata i Takashi Shimizu. Koszmary, jakie przerażały ich przodków, Japończycy adaptują na swój sposób, przystawiając je do problemów cywilizacji globalnej wioski. Dlatego też tak często w horrorystyczną intrygę wikłają nowoczesną technologię, od której uzależnione jest życie milionów. W kultowym horrorze „Kairo" duchy yurei łączą się ze światem rzeczywistym za pośrednictwem tajemniczej strony internetowej, „Krąg" jest historią o śmiercionośnej klątwie przenoszonej przez taśmę video, a nową wersję zagrożenia z wody – rybie trupy na mechanicznych nogach – przedstawił Junji Ito w mandze „Gyo". Odhumanizowany techno-świat okazuje się zatem równie mroczny, co pradawne japońskie lasy lub otwarte morza. A to przesłanie Japończycy potrafią nam przekazać w atrakcyjnej formie, nie przestaniając oczu bryzgającym ketchupem.

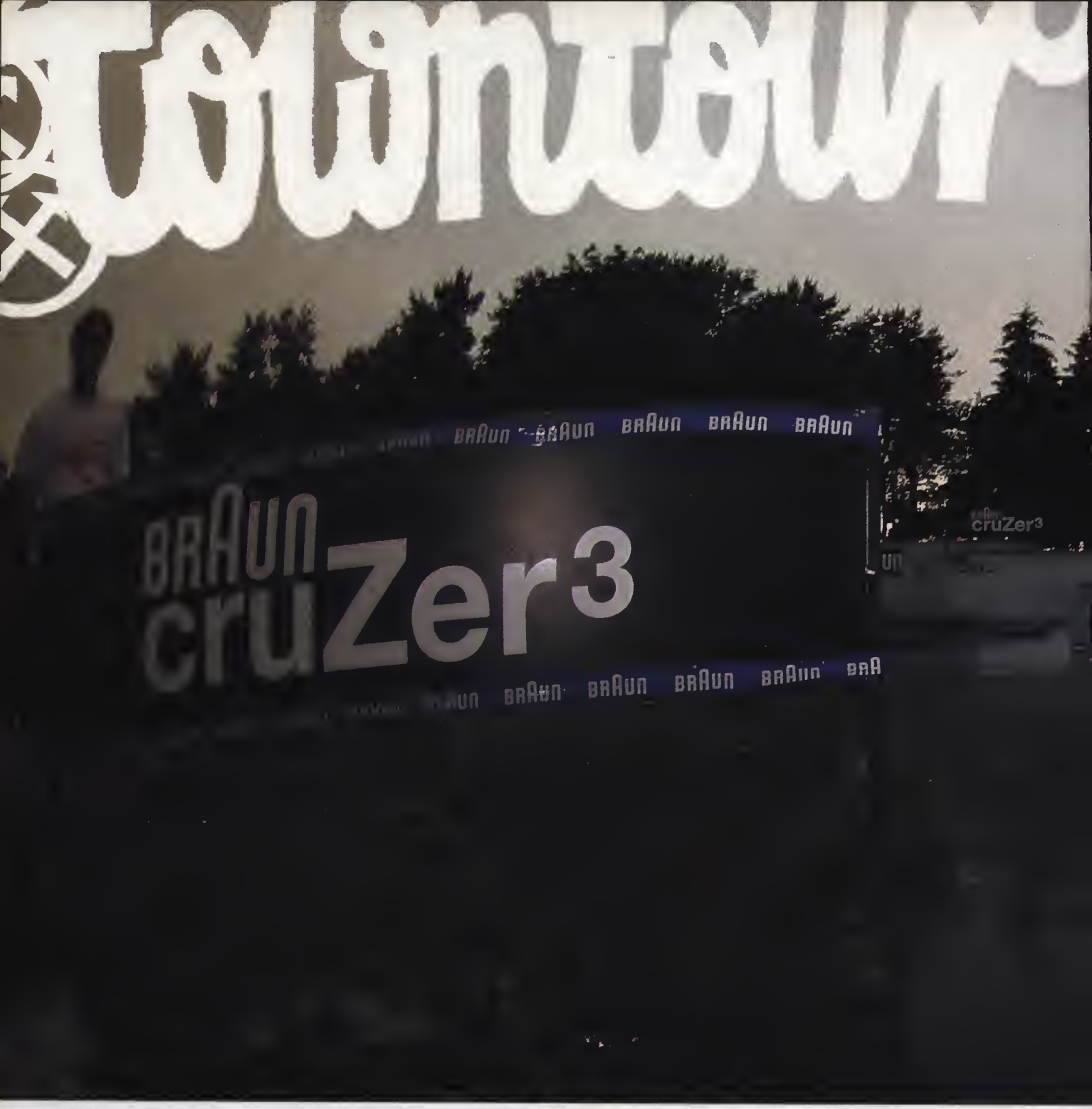

Tomek Ziółkowski znalazł bardzo fajną miejscówkę, na której zrobił ollie

Całe życie z wariatami. Co zrobić, takie życie, taka praca... Tym razem, już po raz trzeci, los rzucił mnie między bandę skejtów podróżujących po Polsce wielkim autokarem, obklejonym różnymi naklejkami i pełnym osobowości rozmaitej maści. „Boże, chroń nasze córki i marmurowe murki!", zdawali się krzyczeć mieszkańcy miast, przez które przejeżdżaliśmy, i mieli rację. Drżyjcie ziemianie! Town Tour nadchodzi!

Albert Domański z mega power slidem w strugach deszczu. Chłopak lubi się powygłupiać

towntour

tekst i foto Wojtek Antonów

Town Tour, czyli objazd po miastach i miejscówkach autokarem pełnym skejtów, to wspólny pomysł ekipy skateshopu Kamuflage i firmy organizującej tego typu wydarzenia, 79th. Przy pomocy sponsorów wprowadzili swój plan w życie. Pomysł szalony, bo jak tu okiełznać bandę deskorolkowców znanych z niechęci do jakichkolwiek reguł, zasad, słuchających na przemian gangsta rapu, euro-italo-disco i punk rocka, i oglądających równocześnie filmy skejtowe (na jednym ekranie) i ostre porno (na drugim)? Udało się dwa razy, udało się też w tym roku po raz trzeci i trzeba przyznać, że było wesoło.

Pierwszym celem wyprawy był Toruń i odbywający się tam Adio Skateboarding Session. O imprezie już pisaliśmy, więc od siebie dodam może tylko to, że podróżowali z nami wtedy zawodnicy z europejskiego teamu DC, a także Rosjanie z Adio, o których możecie poczytać z kolei w bieżącym numerze. Zagraniczną delegację uzupełniali Philip Schuster, austriacki rzeźnik, i przyjaciel wszystkich Polek Georges Agoinkoin z Francji. Turyści byli w szoku, widząc jaki klimat panuje w naszym wesołym autobusie.

Zawody udały się wyśmienicie, after party po zawodach także, a Towntour ruszył w stronę Trójmiasta. Z pokładu wymiksowali się zagraniczni turyści, więc w czysto polskim składzie spokojnie podróżowaliśmy dalej. I tu nadszedł czas na wymienienie całej ekipy. Najliczniej stawiła się reprezentacja teamu Kamuflage: Patryk Wrzosek, Tomek Goławski, Albert Domański, Tomeczek Ziółkowski, Michał Przybyłowicz, Suwak i dodatkowo Ryba i Zielu. Poza tym, byli reprezentanci Wrocławia: Kuba Bączkowski i Marcin Jakubowski. Do tego dorzućmy Krzysia Jurkowskiego i Tomka Kotrycha. Swoje miejsce mieli też Łukasz Kondraczuk, Kuba Linowski, Piotr Ograbek, Kuba Perzyna, a także cała rzesza fotoreporterów i innych ciemnych typów.

Kuba Bączkowski wie, gdzie są dobre miejscówki w jego mieście. Bs. nose bluntslide

W Trójmieście naprawdę zaczęło się dziać. Już pierwszej nocy wyrzucono nas z hotelu, jednak po eksmisji, niezrażeni niczym przenieśliśmy się gdzie indziej i od razu banda zaatakowała niedawno otwartą skateplazę w Gdańsku. Tu szatanem okazał się Sasza Tuszew z rosyjskiego teamu – fs. flip przez poręcz z 11 schodów? „Niet probliema", poszło za drugim razem. Na miejscu ostro wymiatali też miejscowi zawodnicy z teamu Triocity, zwłaszcza Roman Rybałow, który w ciągu godziny dosłownie zniszczył trzy kloce w skateplazie. Tomek Kotrych dorzucił sw. heelflipa z podwójnych schodów, Bączuś zrobił bs. tail przez cały zakręcony murek. Każdy tak naprawdę sobie tam pojeździł, a do tego starczyło jeszcze czasu na plażowanie i morskie kąpiele. Wieczór w Sopocie upłynął bez większych sensacji i następnego dnia szalony autokar ruszył do Poznania.

Stolica Wielkopolski okazała się leżeć trochę dalej niż przypuszczaliśmy i dlatego (a może dlatego, że każdy postój z bandą skejtów trwa do 2 godzin...) dojechaliśmy tam w godzinach nocnych. Niezrażona tym faktem część podróżników od razu wbiła się na party zorganizowane przez dystrybucję Mayer w klubie Pozdalia. Nie było dużo ludzi, ale było maks wesoło i to do białego rana.

Zabawa zabawą, a skateboarding skateboardingiem, więc koło południa trzeba się ruszyć. W okrojonym składzie – Suwak, Michał Przybyłowicz, Bączuś – ruszamy na pomnik Armii Poznań, skąd jednak przepędza nas straż miejska. Pierwsze podejście. Idziemy coś zjeść i próbujemy znowu. Tym razem chill, dojeżdża do nas Jacek Pawłowski i można pojeździć. W końcu, po paru godzinach, gdy już czekamy na transport pod Multikino w Poznaniu, gdzie na pokazach jest reszta ekipy, znowu wpada straż miejska i zaczyna się afera. Okazuje się, że jazda po pomnikach to bezczeszczenie pamięci itd., co może być karane więzieniem i... Suwak z Gołotą pójdą siedzieć! Zajęło mi chyba z pół godziny dogadanie się z nierozgarniętymi mundurowymi, żeby jednak porzucili ten głupi pomysł. Uff...

Pod Multikinem jak zwykle bandzie skejtów ciężko było się zebrać, ale w końcu się udało i ruszyliśmy w kierunku Wrocławia, po drodze zahaczając o poznańską Maltę. W końcu dotarliśmy do celu. Witamy w stolicy białych kozaków i klubów disco! Wśród starszej części touru zapanowało wyraźne podniecenie, wszyscy chcieli zaliczyć poznawanie nocnych uciech w mieście Breslau. No i zaliczyli, było wesoło, nawet bardzo, ale nie przeszkodziło to w zorganizowaniu następnego dnia jamu deskorolkowego w bardzo dobrze znanym towntourowiczom miejskim skateparku. Na imprezie rządzili małolaci z Jeleniej Góry i Marcin Jakubowski, który w końcu dostał skrzydeł, co możecie zobaczyć na sekwencji zamieszczonej obok.

We Wrocławiu znaleźliśmy też zupełnie niespotykaną w Polsce miejscówę – marmurowy plac z pustą fontanną na środku i schodami po bokach. Po prostu idealne miejsce, taki polski Stalin, a może nawet lepiej, zajawa sto procent. Niestety, jak to w Polsce bywa, po paru dniach jazdy po tym cudzie okazało się, że cudo posiada właściciela, a ten zna konkretnych chamów z Rosji i miejscówka się skończyła. Amen.

Town Tour zakończył się w Warszawie. Szalony autokar pełen skejtów wrócił cały i zdrowy. Nowe znajomości, szalone przygody, kupa śmiechu i inne wydarzenia na długo pozostaną w pamięci uczestników imprezy. Town Tour 2006 odchodzi do wspomnień, czekamy na Town Tour 2007, a w międzyczasie uważajcie na Snow Tour 2007, który z autokarem pełnym snowboarderów i narciarzy odwiedzi ośrodki narciarskie w lutym przyszłego roku. My też tam będziemy, więc elo!

Marcin Jakubowski, czyli Peja polskiej deskorolki, z nollie big spinem

na zdjęciu Anthony Napolitan
foto: David Lang

oto: Christian Pondella

Red Bull ELEVATION

BMX-owcy mają nieźle – jeżdżą po czym tylko chcą: w parkach, na ulicach, po dziurawych chodnikach i drzewach. Mogą też śmigać po specjalnych torach zbudowanych z ziemi. I to właśnie jest „dirt", czyli tym, co niektórzy nazywają prawdziwym BMX-em

Tegoroczna edycja zawodów Red Bull Elevation odbyła się 1 lipca w kanadyjskim Whistler i zgromadziła na starcie 40 najlepszych zawodników z całego świata, jednak tylko 20 z nich mogło wziąć udział w sobotnim finale imprezy. Numerem jeden w piątkowych kwalifikacjach był Australijczyk Corey Bohan – złoty medalista X Games – który stworzył charakterystyczny styl jazdy, będący kombinacją trudnych technicznie oraz wykonywanych na dużych wysokościach trików. Zwycięstwo w sobotnim finale zapewnił mu brawurowy przejazd zawierający między innymi no-handed opposite 360 oraz one-handed table-top 360. „To niewiarygodne być na podium z Nyquistem i Parslowem, bo przecież jeżdżę z tymi chłopakami prawie każdego dnia", powiedział po zawodach.

Zeszłoroczny zwycięzca zawodów, Ryan Nyquist, przeplatał widowiskowe przejazdy zawierające 360, backflip one-handed X-up z przejazdami zawierającymi spektakularne upadki. Jednak nie wydawał się szczególnie zmartwiony: „Poziom zawodów był jeszcze wyższy niż w zeszłym roku, więc po prostu jestem zadowolony z miejsca na podium. Poza tym, lokalizacja, data i atmosfera zawodów była niesamowita. To prawdziwe Święto Kanady (Canada Day – przyp. red.)".

Canada Day o mało co nie zamienił się w Australia Day. Luke Parslow pokazał w finale najlepszą kombinację skoków – backflip na step downie, a następnie wielki front flip dały mu drugie miejsce w finałowej rozgrywce, zaś Dane Searls podwójnym tail-whipem wygrał best trick. Według Searlsa, to najlepsze zawody, w jakich brał udział.

Red Bull Elevation to event stworzony przez ikonę BMX, Jaya Mirona. Chciał zorganizować najbardziej wymagające i widowiskowe dirtowe zawody na świecie. I co tu dużo mówić, udało się... Zawodnicy walczyli nie tylko o uznanie sędziów i publiczności, ale także o 300 tysięcy dolarów do podziału między najlepszych. Czekamy na podobne wydarzenie u nas...

Misza Tuszew na Bankach Bródnowskich
nose pick

skateboarding ze wschodu

Przyjazdy zagranicznych deskorolkowców z zachodniej Europy lub jeszcze lepiej z USA wzbudzają zawsze wielkie emocje w skromnych Polaczkach, lecz co myśleć, gdy przybywają do nas sąsiedzi zza wschodniej granicy? Sam na początku nie wiedziałem, ale bardzo chciałem się przekonać, jak to będzie wyglądać

tekst i foto Modest

Mianowicie: do Polski przyjechało pięciu Rosjan, wśród z nich był Sasza Tuszew z europejskiego teamu Adio. Jest to osoba, która robi fs. flipa z jedenastu schodów przez poręcz w ciągu 2 minut, tak jak to uczynił w gdańskiej skateplazie. Razem z nim zjawił się jego młodszy brat Misza, również sponsorowany przez Adio, tyle że rosyjskie. Do tego przyjechali jeszcze: fotograf, kamerzysta i jeden z ich kolegów.

Pierwsze odepchnięcia na deskorolce w Polsce zrobili na zawodach w Toruniu. Tam wszyscy Polacy zastanawiali się, kim jest ten „harpagan w krótkich spodenkach", który robi shifty flipa więcej niż 90°. Szybko okazało się, że jest to właśnie reprezentant Moskwy Sasza, który jest znany w całej Europie z robienia tego triku. Niestety, na zawodach furory nasi sąsiedzi zza wschodniej granicy nie zrobili, gdyż nie należą oni do typowych showmanów. Po wizycie w Toruniu razem z autobusem Town Touru udali się do Trójmiasta, gdzie po wspólnej jeździe na skateplazie odłączyli się od grupy, żeby pośmigać w bardziej kameralnym gronie.

Do Warszawy zawitali wieczorem, jadąc z trzydniowego pobytu w Trójmieście.

Poproszony przez znajomego miałem ich odebrać z dworca i zaprowadzić do hotelu. Niestety, ich nocleg zarezerwowany był bardzo daleko od centrum, więc postanowiłem wyszukać im coś bliższego warszawskim miejscówkom. Po znalezieniu nowej kwatery i szczęśliwym ulokowaniu, mimo późnej godziny poprosili mnie o zaprowadzenie na Witosa. Wiele o nim słyszeli i wiedzieli, że jest to miejscówka, na której można wypocząć, a nie katować wielkie poręcze i gigantyczne schody. Warto tu wspomnieć, że nie przyjechali oni tu niszczyć trikami nasze polskie miejscówki, lecz spokojnie zwiedzić sobie nasz kraj na deskorotce, poznać nowe spoty i naszą kulturę.

Następnego dnia ruszyliśmy na mini tour po Warszawce. Na początek pojeździliśmy trochę pod Witosem, gdzie Misza zrobił pięknego wallride'a shovit out. Następnie ruszyliśmy na Universus. Sasza zobaczył poręcz, na której Cairo Foster zrobił bs. overcrooksa i nie mógł uwierzyć, że to jest możliwe. Miejscówka bardzo im się spodobała przede wszystkim prosty murek, lecz jak to bywa w Polsce, gdy podeszliśmy tam z deską w dłoni, pojawił się niegrzeczny i napastliwy ochroniarz, który chciał nas niezwłocznie wyrzucić.

Po nieprzyjemnościach na Universusie przyjechał po nas swoim pożyczonym minibusem Rafał Wielgus. Dzięki temu mogliśmy swobodnie podróżować po stolicy, więc od razu udaliśmy się na pomnik kościuszkowców. Tam małomówny młodszy brat Saszy był bliski zrobienia inward heela przez piramidę, lecz jego koledzy z kraju go olali i chcieli jechać na inne spoty. W takim razie ruszyliśmy na „sikret spot" pt. „Bródno banki". Skrzywdzony wcześniej Misza ucieszył się bardzo na widok tej miejscówki, a ona w zamian wynagrodziła mu gorycz porażki. Młody nakręcił się bardzo jeżdżąc po kątach i w ciągu kilku prób posadził nose pick na ustawionych betonowych płytach i kilka innych stalli, zaś Sasza jak to Sasza musiał zrobić fs. flipa i 36flipa na banku i to bez żadnych problemów.

Tak to na Bródnie skończyła się rosyjska przygoda z warszawskimi spotami, ponieważ czekał na nich pociąg, którym wracali do Matki Rosji. Gdybym nie wiedział, że to Rosjanie, zapewne bym pomyślał, że to reprezentanci zachodniej Europy. Byli bardzo kontaktowi, mili i nie wymagali Bóg wie czego, jak to czasami bywa z innymi skate-turystami z zagranicy. Spodobało im się, więc zapowiedzieli swój powrót do Polski na dokładniejsze zwiedzanie i dłuższą jazdę na spotach.

Misza Tuszew nie ma szacunku dla polskich tablic pamiątkowych. Wallride shove -it out

10 FILMOWCÓW, KTÓRZY WSTRZĄSNĘLI SKATEBOARDINGIEM

Jeżeli jeździcie na deskorolce, to na pewno niejednokrotnie z wypiekami na policzkach oglądacie filmy deskorolkowe. Nagrane tam popisy stanowią dla niektórych jedyne źródło inspiracji

tekst ToiOi

To właśnie na filmach widać, na jakim poziomie jeździ dany skateboarder, nic więc dziwnego, że dla deskorolkowców są one tym, czym płyty dla muzyków. Kiedy słyszycie hasło „skate video", znakomita większość z was kojarzy to tylko i wyłącznie z osobami tam występującymi, bardzo rzadko zwraca się zaś uwagę na tych, którzy dzieła te robią. A tak naprawdę, to w bardzo dużej mierze ich zasługa, że film jest – bądź nie jest – dobry.

Skaterów w tej chwili są tysiące, wszyscy profesjonaliści jeżdżą na podobnym poziomie. Prawdziwą sztuką jest takie dobranie deskorolkowców i posiadanie takiego pomysłu na film, aby miał on klimat i był zapamiętany na długo. A przecież ile jest produkcji, o których zapomina się od razu po obejrzeniu. Niestety, dobry skateboarding to nie wszystko, trzeba mieć jeszcze to coś...

Poniżej znajdziecie dziesięć bardzo subiektywnie wybranych nazwisk, dzięki którym kinematografia deskorolkowa poszła ostro naprzód. Mam nadzieję, że po lekturze zwrócicie większą uwagę na to, kto robił dany film i zaczniecie dostrzegać różnice nie tylko w jeździe na desce, ale także w sposobie kręcenia i montowania.

Stacy Peralta

Człowiek legenda. Jedna z pierwszych osób, które jeździły na deskorolce nie ograniczając się do rekreacji. W pewnym momencie zaczął filmować dokonania swoje i kolegów i tak narodziły się pierwsze filmy skate'owe. Później z George'em Powellem założył firmę Powell-Peralta (początek lat 80.) i nagrywał jej video. Jego pierwszą większą produkcją, w której wystąpiła osławiona Bones Brigade (tak nazywano team P-P), był „Future Primitive". W tamtych czasach Peralta był tak płodny i zapracowany, że rocznie produkował jeden film co rozsławiło team Powell-Peralta, który stał się największą siłą w ówczesnym skateboardingu. Potem Stacy odsunął się od deskorolki i zajął się pracą w „normalnym" filmie. Do świata skate powrócił w wielkim stylu, robiąc dokumentalny film „Dogtown and Z-Boys". Wkrótce na jego podstawie powstała fabuła „Lords of Dogtown", traktująca o losach Stacy'ego i m.in. Jaya Adamsa, prekursora hardcore'owego stylu.

Mike Ternasky

Filmy Peralty były mocno „teledyskowe" (czyli np. miały dużą ilość cięć, w jednej sekwencji były przebitki z kilku ujęć), natomiast Mike'a uważa się za prekursora obecnej kinematografii deskorolkowej. Ten nieżyjący już filmowiec postawił na klimat filmu uzyskany dzięki muzyce i idealnemu połączeniu z nią jazdy. Nie stosował żadnego efekciarstwa, w jego filmach wszystko było stonowane, choć nie brakowało tam charakterystycznego chaosu. Produkcje M. T. były w stu procentach adresowane do skateboarderów. Jego czasy to przełom lat 80. i 90. Filmy takie jak „Shackle me not", „Hokus Pokus" firmy H-Street czy niezapomniany „Questionable" Plan B są absolutnymi klasykami.

Spike Jonze

Klipy „Sabotage" Beastie Boys czy „100%" Sonic Youth to tylko mała próbka tego, czym zajmuje się obecnie. Jest twórcą dwóch pełnometrażowych filmów: „Być jak John Malkovich" i „Adaptacja", charakteryzujące się bardzo nietuzinkową fabułą. O tym wie każdy, jednak deskorolkowcy znają go przede wszystkim jako skatera, współwłaściciela takich firm jak Girl, Chocolate czy Fourstar i autora prześmiesznych etiud w filmach deskorolkowych. Stawiany za wzór idealnego filmu skate'owego „Video days" Blind jest jego autorstwa. To właśnie on potrafił wykorzystać do maksimum talent Jasona Lee czy Guya Mariano i stworzyć tak nietuzinkowe dzieło. Spike do dziś – mimo uczestnictwa w amerykańskim „high lifie" – kumpluje się ze skateboarderami i jeździ z nimi na deskorolce.

Dan Wolfe

Tę osobę kojarzymy głównie z East Coastem. To właśnie on pokazał światu, że Kalifornia nie jest jedynym ośrodkiem deskorolki w USA. Dzięki niemu ludzie poznali jazdę po zakorkowanych ulicach i kreatywność Ricky'ego Oyoli, Hufnagela i innych wariatów ze wschodu. Niezapomniana jest jego trzyczęściowa seria „Eastern Exposure". Obecnie Dan nie obcuje już z kamerą tyle co kiedyś. Zaczął pracować w tzw. biznesie deskorolkowym, lecz nadal w wolnej chwili robi filmy, np. „Closure".

Jamie Thomas

Bardziej znany jako kaskaderski skejcik, a choć jego umiejętności jako kamerzysty nie są zbyt wysokie, to należy wspomnieć i o nim. Dzięki ogromnej pracy i konsekwencji wypromował szczególny, bardzo dynamiczny rodzaj filmów. Jeśli widzieliście stare produkcje Toy Machine czy cokolwiek firmy Zero, wiecie, o co chodzi. Oglądając je ma się wrażenie, że widzi się tysiąc trików na minutę. Nie używa on wielu sekwencji, głównie pojedyncze triki i to bardzo szybko zmontowane. Jeśli dodam, że zwykle są to numery wykonane na największych rzeczach, na pewno uwierzycie mi, że efekt jest piorunujący.

Atiba Jefferson

Znany bardziej z innej strony – jako czołowy fotograf skateboardowy na świecie. Jeszcze kilka temu również jednak i on nagrywał deskorolkę. Podobnie jak jego zdjęcia, tak i nagrywki były bardzo dobre. Swoje materiały pokazywał głównie w filmach TWS, sam nie zrobił nigdy nieczego większego.

Ty Evans

W tej chwili wspólnie ze Spikiem Jonze'em zajmuje się robieniem filmów dla Girl, Chocolate i Fourstar. Spike robi już tylko fabularne epizodziki, a Ty kręci cały skateboarding i – uwierzcie mi – jest w tym naprawdę dobry. Jest reprezentantem nowej szkoły kręcenia i dużo zawdzięcza starszym mistrzom. Nie musiał tak jak oni eksperymentować i szukać właściwej drogi, jednak to, co w nim cenię, to prawdziwa perfekcja. W jego produkcjach praktycznie nie ma słabych ujęć.

Gabe Morford

Człowiek związany z San Francisco, w tej chwili będący głównym operatorem Real Skateboards. Gabe pokazuje bardzo charakterystyczny rodzaj deskorolki. To co kręci, jest z reguły bardzo kreatywne (w sensie jazdy na deskorolce, oczywiście) i jest pośrednio kontynuacją jazdy z „Eastern Exposure". Rzadko znajdzie się tam sekwencje z boiskowych ławek. Lubi nagrywać w dziwnych miejscach albo w samym sercu wielkiego miasta wśród samochodów i pieszych.

Ben Derenne

Pierwszy Europejczyk na naszej liście. Praktycznie nie jest on mega uzdolnionym kamerzystą, jednak pokazał, że i w Europie można żyć z robienia filmów deskorolkowych. Razem z kumplem Thomasem założyli ogólnoeuropejski magazyn „Puzzle", który istnieje od 96 roku do dziś i jak donoszą wieści, ma się bardzo dobrze. Ben dużo podróżuje po Starym Kontynencie, promując skateboarding.

Fred Mortagne

French Fred, jak go nazywają Amerykanie z racji miejsca zamieszkania, jest pierwszym europejskim filmowcem, który dużo osiągnął w USA. Autor super-produkcji Flip „Sorry" czy E's „Menikmati". Popełnił też kilka telewizyjnych reklamówek Vansa. Obecnie jest głównym kamerzystą Cliche. W produkcjach Fred łączy typowo deskorolkowe ujęcia z kadrami znanymi z filmów fabularnych czy videoklipów.

Rick McCrank
skate frontside in the anti-social
frontside 360 ollie_nashville photos.atiba
skate like us_mccrank_tx._ladd_eldridge_nuske_sarmiento_huston_baxterneal_worrest
esfootwear.com

ford cup

Tegoroczne lato kiteboardingowe obfituje w imprezy pod szyldem Ford Kite Cup wspierane energetycznie i muzycznie przez niezawodnego jak zwykle Red Bulla. Wszystko zaczęło się 7 lipca w Łebie, ale najciekawsze do tej pory były zawody w Juracie 21-23 lipca i to z nich przygotowaliśmy dla was relację

tekst Szczepson
foto Łukasz Nazdraczew

Dzień pierwszy – jak to zwykle bywa na polskich zawodach – nie obfitował w wiatr, w związku z czym rozegrane zostały konkurencje zastępcze. Konkurs kiteroomingu (czyli robienia tricków na sucho) wygrał Victor Borsuk wyprzedzając Janka Koryckiego i Marka Łojka. W wakeboardzie za motorówką najwyższą klasę pokazał Janek Korycki wyprzedzając Łukasza Cerana oraz Marka Łojka. Przejazdy były bardzo ciekawe i urozmaicone, obfitowały w trudne technicznie triki, jak flat3, flat3 z grabami i back role. Na tym zakończył się pierwszy dzień zawodów

Następnego dnia po sprawdzeniu prognozy pogody i siły wiatru zdecydowano o zmianie miejsca rozgrywania zawodów na wyspy „Suche Rewy". Zapakowano zawodników wraz z rodzinami i przyjaciółmi (co by miał kto kibicować) na kuter i przeniesiono zawody. Na miejscu okazało się, iż decyzja była trafna, więc zostały puszczone pierwsze heaty. Na początku wiatr był kiepski, ale potem wzmógł się do 16 węzłów i zawodnicy mogli pokazać tricki na najwyższym światowym poziomie.

Sporą niespodziankę sprawiła Karolina Wińkowska, startująca w konkurencji z mężczyznami. Zaprezentowała kilka spoko tricków z górnej półki i zasłużenie doszła do półfinału, w którym walczyła z Victorem Borsukiem. Mimo że to Victor był faworytem, Karolina do połowy trwania heatu prowadziła, potem jednak Victor spiął się i zaprezentował trudniejsze i bezbłędnie wylądowane tricki i to on przeszedł do finału, gdzie spotkał się z Jankiem Koryckim, który to bój o finał wygrał z Księciem (czyli Łukaszem Ceranem), który także pola nie oddał mu łatwo. Finał wygrał Janek – świetnie dysponowany lądował wszystko: między innymi mobe 5, pete rose, tiger loop.

Praktycznie bez przerwy po pojedynczej eliminacji freestyle'u, sędziowie zarządzili rozegranie drugiej, dającej szansę na dalszą walkę wszystkim zawodnikom. Bardzo dobrze zaprezentował się Mikołaj Szweda, który wytrwale pokonywał kolejnych przeciwników, w tym Rafała Maćkowiaka i Tomasza Lebeckiego. Potem spotkał się z Karoliną Wińkowską, która nie dała się jednak pokonać. Wykonała kiteloop hp i blind judge, co zapewniło jej wygraną i walkę z Księciem, który nie miał z nią łatwo, ale po serii ustanych tricków z najwyższej półki awansował do walki o finał z Victorem. Ten pojedynek także był emocjonujący, jednak Borsuk prezentując trudniejsze technicznie i pewniej lądowane tricki zwyciężył i ponownie tego dnia spotkał się w finale z Jankiem. Tam górą był Janek, Victor popełnił kilka błędów i nie wylądował swoich najlepszych trików, podczas gdy Korycki się nie mylił i zasłużenie został zwycięzcą.

Udało się też rozegrać konkurencję old school freestyle, w której startują zawodnicy powyżej 30 roku życia. Tu wygrał Tomasz Lebecki, po nim byli Marek Łojek i Oleg Fronunov z Rosji. Po [illegible] przerwie, rozegrano kiteloop i tu bezko[illegible]yl Victor, za nim uplasował się Janek i – co było nie lada niespodzianką – Karolina Wińkowska.

Ostatnią konkurencją dnia był Best Trick. Do finału awansowali: Karolina, Książę, Victor i Janek. Cała czwórka zaprezentowała się wyśmienicie, imponując powerem w wykonywanych trickach. W ocenie sędziów zwycięzcą tej konkurencji został Victor za wysokiego power mobe'a. Na drugim miejscu znalazł się Janek za czysto wylądowanego kite loopa flat3, a na trzecim uplasował się Książę z podobnym trikiem, ale nieco gorzej wylądowanym.

Na tym zakończył się dzień pełen wrażeń i zmagania na zawodach, a ponieważ w niedzielę nie wiało, odbyła się wtedy tylko ceremonia wręczenia nagród. Zawody z pewnością udane i klimatyczne z cennymi nagrodami finansowymi. Oby tak dalej, to na pewno będziemy coraz częściej oglądać naszych zawodników w światowych zawodach.

Pula nagród w całym tegorocznym Pucharze wyniesie ponad 85000 zł w gotówce oraz cennych nagrodach rzeczowych, ufundowanych przez Sony, Quiksilvera i Naisha. Główną konkurencją wszystkich zawodów w serii jest freestyle oceniany według zasad obowiązujących w zawodach PKRA. Wśród zawodników, którzy wezmą udział we wszystkich czterech zawodach Ford Kite Cup, wylosowana zostanie nagroda w postaci wyjazdu na Puchar Świata do Brazylii. Jeśli chcecie większej ilości informacji, wejdźcie na fordcup.pl

Victor Borsuk
skazany na sukces

Victor Borsuk jest najlepiej zapowiadającym się kitesurferem młodego pokolenia. W tym roku zaczyna klasę maturalną, a ma już za sobą udane występy zarówno w zawodach polskich, jak i na arenie międzynarodowej

tekst Szczepson
foto Łukasz Nazdraczew

Powiedz, jak wygiądały Twoje początki?

Zaczęło się od wyjazdów na Hel około 11 lat temu i to tam po raz pierwszy widziałem kite'a. Na początku pływałem na windsurfingu, lecz w miejscu, w którym spędzałem czas, poziom był naprawdę niski. Ten, kto potrafił ładnie zawracać, był okazem szczytowej formy, a duck jibe (zwrot z przejściem pod żaglem) był najtrudniejszym trickiem, który można było ujrzeć. Po pewnym czasie zacząłem próbować jakichś skoków, obrotów, itp., jednak od razu wiedziałem, że to nie było to. Potem zauważyłem mieszkającego na tym samym campingu „typka", który zaciekle walczył z tym „niebezpiecznym kite'em". Walił długie i wysokie skoki, zakończone przeważnie upadkami, ale podnosił się, ogarniał i próbował dalej. Wtedy stwierdziłem, że to coś dla mnie i tak zaczęła się moja przygoda z kite'em. Wiadomo – na początku nie było łatwo: kilka strzałów w głowę, parę konkretnych gleb, ale szybko zaczęło mi wychodzić i to do tego stopnia, że ojciec spytał, czy chcę zostać zawodnikiem.. Więc się zgodziłem i tak się zaczęło.

To jeszcze amatorsko. A jak rozkręcała się Twoja kariera zawodowa?

Na początku wyjeżdżałem z ojcem. W Egipcie poznałem Balbę (Rafała Maćkowiaka), który pokazał mi kilka fajnych rzeczy. Zacząłem próbować. Po powrocie zacząłem ćwiczyć na kiteroomingu (drążku podwieszonym pod sufitem), ogarnął mnie szał treningu i skończyło się złamaniem deski o sufit, ale po ręcznym klejeniu dało się jeszcze na niej pływać. Potem był wyjazd na Rodos, gdzie poznałem Sebastiana Garata – młodzieżowego wicemistrza Europy. On także pokazał mi parę tricków, poradził i poszło. Non stop trening. Kitesurfing był najważniejszy, przychodziła coraz lepsza forma. Zawodów na początku nie kończyłem w czołówce, ale już samo uczucie, że zawodnicy mnie rozpoznają i nie cieszą się z rozstawienia ze mną w heacie, dawało wiele satysfakcji. Potem pojawił się pierwszy sponsoring. Ojciec bardzo się zajarał, bo skoro ktoś daje mi sprzęt za friko, to on może przeznaczyć te pieniądze na wyjazdy treningowe.

Jakie wydarzenie otworzyło Ci drogę do światowych startów?

Na pewno Red Bull King Of The Air. No i to, że otrzymałem bilet na Hawaje. Tam zobaczyłem wszystko to, o czym wcześniej tylko słyszałem i czytałem. Co prawda, wyobrażałem to sobie zupełnie inaczej, ale tam wszystko było dla mnie nowe. Udało mi się przejść eliminacje i wejść do turnieju głównego. Fale sięgały 10 metrów. Przed samym rozpoczęciem zawodów wpadł ksiądz i odprawił mszę, prosząc Boga, aby darował nam życie, kiedy przykryje nas fala. Po takim wystąpieniu zrobiło mi się miękko w gaciach, w szczególności dlatego, iż spot wspierały skały i rafa... Jednym słowem: masakra. Jedna z fal rozerwała mi kite'a i zostałem uratowany przez skuter wodny, ale warto było doświadczyć tyle adrenaliny.

Skoro już o zawodach mowa, jak to jest być zawodnikiem kite'a?

Super! Jednak ciężko jest połączyć imprezowe życie z treningami. Kiedy jadę w fajne miejsce, gdzie kobiety są gorące, a drinki prze-tanie, nie mogę zabalować, gdyż rano wieje wiatr i jest pora na trening... Jednak z drugiej strony nie narzekam. Dzięki licznym podróżom poznałem kilka przeuroczych miejsc.

Czy sprzęt ma duże znaczenie w tym sporcie?

Bez niego niektóre tricki są niemożliwe do opanowania, nie wspominając o komforcie pływania i bezpieczeństwie. Wydaje mi się, że nawet nowicjusze są w stanie wyczuć różnicę.

Gdzie najbardziej lubisz pływać?

Na Helu. Tu czuję się najlepiej wśród przyjaciół i znajomych. W tym sezonie dzięki sprzyjającym warunkom zrobiłem tu spory postęp i mogłem wystartować w kilku polskich zawodach. Większość miejsc na świecie nie ma tak wspaniałego klimatu, który panuje nad Polskim morzem.

Twój największy sukces na arenie międzynarodowej?

Belgia i 9. miejsce w zawodach pucharu świata (PKRA), a po zawodach dobra impreza i tam podwójny sukces. Bardzo miłe wspomnienia i na pewno jeszcze tam wrócę.

A na koniec ogłoszenie od Victora: Poszukuję dziewczyny, jeżeli jesteś zainteresowana, wyślij w bikini lub bez na adres kitevictor@wp.pl

super skatepark częstochowa

Z trzecim dniem sierpnia bezpowrotnie minęły czasy, gdy Częstochowa słynęła jedynie z Jasnej Góry. Śmiem twierdzić, że od teraz powstał tam obiekt, który swoją sławą przyćmi nawet słynny zakon ojców paulinów...

tekst ToiOi
foto kriwol.com

Do Częstochowy wybraliśmy się przypadkiem. Ot, zwyczajny spontaniczny wyjazd na deskorolkę. W planie mieliśmy jedynie skateboarding, a miasta i miejscówki miały się same znaleźć po drodze. Ponieważ tak naprawdę o spotach w Częstochowie wiedzieliśmy bardzo niewiele, wybór padł właśnie na to miasto. Po przybyciu na główną streetową miejscówkę, czyli pomnik, i zapoznaniu się z lokalną ekipą, okazało się, że właśnie następnego dnia ma się odbyć otwarcie nowego skateparku.

Do pomysłu odwiedzenia tej budowli podchodziłem bardzo sceptycznie. Pewnie sami wiecie, jak kiepskie mogą być parki budowane przy udziale lokalnej administracji. Zwykle jest tak, że służą one do napchania kieszeni radnych grubymi plikami banknotów, a przeszkody i jazda na deskorolce jest tu najmniej ważna. Kiedy usłyszałem, że wykonawcą jest firma, która stawia skateparki w całej Polsce, tym bardziej nie chciało mi się tam jechać. Po prostu byłem przekonany, że będzie to kolejny obiekt z serii „nadaje się do wszystkiego innego, tylko nie do deski". Jakże się myliłem...

Następnego dnia (właśnie wspomnianego 3 sierpnia) udaliśmy się jednak na otwarcie tego skateparku. Po przyjeździe na miejsce oczom naszym ukazał się wielki tłum, w którym dominowały rodzinki z dziećmi z balonikami oraz piękne, lokalne dziewczyny – słowem, miejski festyn. Jednak w samym środku tego zamieszania stał powód, dla którego cały ten tłum się tam zjawił. Było to marzenie każdego skatera – bardzo fajny, dwupoziomowy skatepark z mnóstwem możliwości. Przez chwilę poczułem się jak w słonecznej Kalifornii. Okazało się, że jak Polak chce, to potrafi. Wystarczyło tylko dogadać się z władzami miasta, zaprojektować tor i resztę dać do zrobienia firmie.

Chłopaki z Częstochowy długo starali się, aby taki skatepark wreszcie stanął w ich mieście. Jak zwykle nie obyło się bez problemów, jednak dzięki konsekwencji i uporowi dali radę. Na początku zaproponowano im gotowy projekt od wykonawcy, jednak szybko wytłumaczyli, że nie ma co marnować pieniędzy na bezwartościowe budowle i sami zaprojektowali

Paweł Sowiś rozdziewicza [illegible] robiąc bs. 5-0

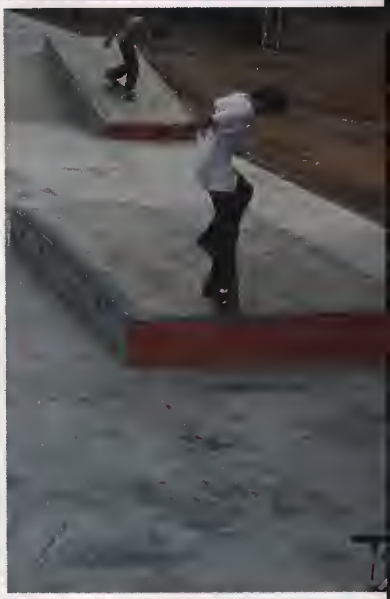

Krzysiek Puskrobke przyjechał z dalekiego Białegostoku, aby pojeździć w częstochowskim skateparku. Nose manual nollie flip out

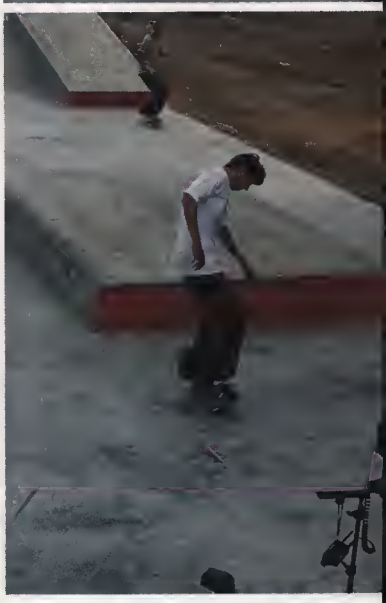

przeszkody. Dzięki temu skatepark jest miksem typowych parkowych rzeczy, jak piramidy czy quarter , z naturalnymi dla miejskiej architektury bankami, platformami i rurkami. Całość znajduje się na super-gładkiej nawierzchni, do której nawet najwięksi malkontenci się nie przyczepią. Efekt dopełnia jeszcze to, że skatepark otoczony jest zieloniutką trawą i drzewami.

O tym, jak potrzebne są w naszym kraju podobne skateparki, nie muszę chyba mówić. Juz od pierwszego dnia widać było postępy w jeździe lokali. Przecież w Polsce, gdzie dobre, naturalne miejscówki można policzyć na palcach jednej ręki, tylko dzięki skateparkom można podnosić swoje skillsy. Dlatego trzeba brać przykład od chłopaków z Częstochowy i współpracować z władzami miasta. Ciągłe narzekania i kłótnie z policją wiele tu nie pomogą. Niestety, żeby coś mieć, trzeba się postarać i konsekwentnie próbować działać cywilizowanymi metodami, nawet choćby trzeba było stać godzinami w biurokratycznej machinie systemu. Częstochowa pokazała, że to się opłaca...

PODIUM
Footwear and apparel
FOR
RAINY
DAYS

Patryk Wrzosek
kick flip przez k
foto: krivol

AKCJA SPRITE

8 lipca na warszawskiej Pradze w hali Re:Akcji zorganizowano warsztaty pod nazwą Akcja Sprite. Leniwy klimat panujący w ponad 35 stopniach Celsjusza absolutnie nie dotyczył 150 osób aktywnie biorących udział w różnego rodzaju zajęciach

Grafficiarze po raz pierwszy mieli okazję wspólnie malować na profesjonalnie przygotowanych płótnach przy pomocy tradycyjnych narzędzi malarskich. Powstało naprawdę wiele znakomitych i bardzo oryginalnych prac. Cały kalejdoskop technik pokazał, że tradycyjne graffiti znacznie się rozwinęło. Dodatkowo dzięki gwiazdom z Bułgarii malowanie zawędrowało na inne nośniki typu samochód i ściana Re: Akcji.

Dla deskorolkowców również sobotni żar nie był straszny – twardo cisnęli na przeszkodach skateparku. Zawody cieszyły się dużym powodzeniem, a skok przez sofę okazał się bardzo spektakularnym pomysłem na zainteresowanie wszystkich uczestników tą sekcją.

Równą popularnością cieszył się konkurs na stunningowanie roweru. Na pewno dużą rolę odegrały tutaj rowery, które bracia Walcendorf sprowadzili specjalnie na tę okazję. Wehikuły ich produkcji są tak oryginalne, że niewiele trzeba na ich temat mówić – wystarczyło spojrzeć i... przejechać się!

Całość uzupełniały dźwięki serwowane przybyłym przez DJ'a Krime'a oraz znakomite wizualizacje pokazywane widzom w specjalnie przygotowanym na tę okazję kinie.

Z gorącym klimatem warsztatów idealnie współgrała najnowsza kolekcja puszek Sprite z oryginalnymi komiksowymi obrazkami autorstwa Przemka Truścińskiego. Trzeba przyznać, że pragnienie nie miało szans...

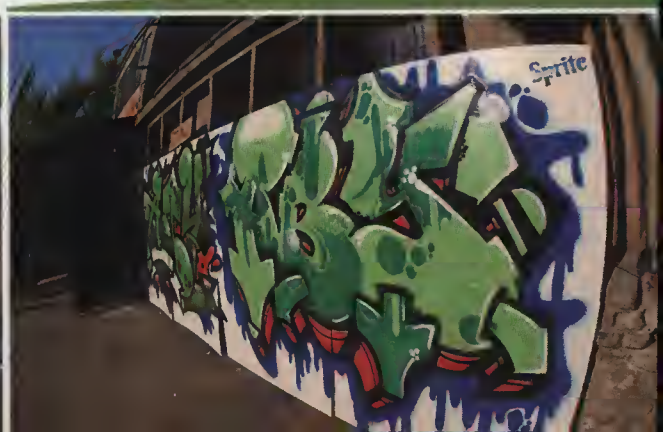

FREEDOM SKATEBOARDS
GAPS, RAILS AND ROCK'N'ROLL

Freedom Skateboards jest firmą, która aspiruje do miana niemieckiej odpowiedzi na Zero. Nie wiem, czy jej właściciel o swojsko brzmiącym nazwisku Bartosz Ciesielski (o nim trochę później) zdaje sobie sprawę, że inspiracja to nie to samo, co bezczelne zrzynanie, ale pozostawię to już jego własnemu poczuciu przyzwoitości. Sam film stara się być wierną kalką produkcji Jamiego Thomasa – począwszy od muzyki, poprzez montaż, triki i miejscówki. Niestety, twórcom zabrakło już trochę umiejętności i materiał został nagrany bardzo słabo. Każdy kawałek słyszałem już na jakimś filmie, natomiast jeśli chodzi o jazdę, jest już zdecydowanie lepiej... Film otwiera Simon Budzynski (dla firmy tej jeździ trzech Polaków z pochodzenia), którego part – gdyby nie fatalne nagrywanie – byłby bardzo miły dla oka. Chłopak oczywiście pozostaje w tytułowym stylu (gapy, raile i rock'n roll), jednak widać, że nie są to zwykłe boardslide'y na małych rurkach, tylko prawdziwa rzeź na europejskim poziomie. Po nim jeździ Alex Kramer, gość, który najmniej podoba mi się z całego filmu, choć ostatnim rock and rollem na pionowej ścianie zadziwił mnie bardzo. Następni, czyli Tom Derichs i Deniz Bondzio (kolejny Polaczek), przemknęli bez wywołania większych emocji. Nie wyróżnili się niczym szczególnym spośród reszty obsady – podobnie jak ich koledzy zabijali się na niemieckich poręczach. W międzyczasie można było sprawdzić, jak jeżdżą przyjaciele firmy Freedom, których część jest najsłabsza z całego filmu, a poziom nagrania sięga tam dna. Przedostanim jeźdźcem jest Mark Frolich i uwierzcie mi, że ten typ ma talent. Widać, że nie jeździ na deskorolce za karę, tylko autentycznie jara się tym, co robi. Atakuje wszystko – murki, banki i poręcze, a przede wszystkim triki wykonuje czysto. Jest to najbardziej wszechstronny skater z całego filmu i nie zawiodłem się jego przejazdem wcale – odwalił kawał porządnej, niemieckiej roboty. Na koniec pozostał nam sam właściciel, czyli Bartosz Ciesielski. Bartek urodził się w Polsce, zna doskonale nasz język, jednak zamiast zostać polskim hustlerem, wolał zostać Jamiem Thomasem z Niemiec. Jego wygląd mówi sam za siebie, tu nie może być żadnej pomyłki. Podobnie jak jego idol, Bartosz nie oszczędza się w deskorolce wcale. Widząc jego próby zakończone upadkami myślałem, że już po nich nie wstanie, jednak jak się okazało, jest on niezniszczalny. Jego przejazd robi wrażenie – takie raile wykonuje bardzo niewielu ludzi nawet w USA, zwłaszcza że z reguły nie były to perfekcyjne poręcze z idealnym dojazdem i odjazdem, tylko typowy dla Europy ciężki kawałek chleba. Film polecam, bo pokazuje, że Polak (mimo że niemiecki) jak chce, to potrafi jeździć, trochę gorzej jest z filmowaniem i kreatywnością, ale co tam... tOi Oi

FISHEYE #4

Każda recenzja magazynu „Fisheye" rozpoczyna się od słów: „Twórcy magazynu zrobili krok naprzód i jest on lepszy od poprzedniego". Wypadałoby tak napisać i tym razem, bo rzeczywiście jest lepiej i w tej chwili można śmiało powiedzieć, że prezentują solidny polski poziom. W czwartej części nie ma już rażących wpadek, które gdzieniegdzie pojawiały się wcześniej. Daniel bierze sobie do serca ostre słowa krytyki i konsekwentnie stara się niwelować błędy przeszłości. W tym numerze mamy jak zwykle dział remix, który jest przekrojem głównie sceny trójmiejskiej. Ogląda się to nieźle i czasem widzimy rodzynki w postaci flipa na croocked grind Łukasza Stokowskiego. Dla lubiących zmagania na zawodach „Fisheye" przygotował dwie relacje – Cortoz 5 Stars i Mentor Session z zeszłego roku. Nie będę pisał, co tam znajdziecie, bo tyle było już mowy o tym na naszych łamach, że teraz powinniście to po prostu zobaczyć na filmie. Solidną częścią tego numeru jest bez wątpienia 5Boro Tour, czyli objazd amerykańskich teamriderów tejże firmy po polskich spotach. Sprawdźcie sami, co zrobili jankesi na naszym podwórku. Zupełnie inny charakter miał Town Tour, czyli najgłośniejszy wyjazd na świecie. Ten w stu procentach polski wyjazd jest słynny z hucznych melanży i niezłego skateboardingu. Jak zwykle oprócz deskorolki znajdziecie w tym materiale dużo śmiesznych i głupich zarazem rzeczy. Na koniec pozwoliłem sobie zostawić opis przejazdów dwóch młodych i dobrze się zapowiadających deskorolkowców z Gdyni: Karola Peltza i Filipa Madaja. Obaj prezentują techniczny styl jazdy i muszę powiedzieć, że ich przejazdy przypadły mi do gustu. Szczególnie Filip stara się mocno kombinować, robi dużo manuali, nie ogranicza się do typowych trików. Myślę, że za parę lat będzie o nim głośniej. TOi Oi

SANTA CRUZ
FIRES AND FREAKS 3DVD BOX SET

Santa Cruz przygotowała prawdziwą perełkę dla fanów old-schoolowej jazdy. Mianowicie zrobili reedycję trzech kultowych tytułów sprzed lat: „Wheels of fire„ (1986), „Streets on fire" (1988) i „Speed freaks„ (1989). Filmy te pokazują prawdziwą esencję deskorolki, coś o czym często zapominamy dzisiaj. W czasach gdy skateboarding nie był częścią popkultury tylko undergroundowym zajęciem prawdziwych zapaleńców, nie liczyły się ogromne triki, ale czysta przyjemność z jazdy. Dlatego znajdziemy tutaj długie sekwencje downhillowe, pełne energii ujęcia z basenów i ostrą muzykę punkową. W tych trzech filmach występują ówczesne filary Santa Cruz i ich siostrzanej firmy produkującej kółka, Speed Wheels: Natas Kaupas, Tom Knox, Steve Alba, Rob Roskopp, Jason Jesse. W tamtych czasach najbardziej popularne w skateboardingu były rampa i poole, jazda uliczna dopiero się kształtowała. Dlatego jeśli jesteście fanami streetu, to po prostu musicie obejrzeć, jak jeździli protoplaści tego gatunku: Eric Dressen, Natas czy Jeff Kendall. Szczególnie pierwsze video z tego setu „Wheels of fire" jest idealnym podręcznikiem historii. Pozycja obowiązkowa! TOi Oi

E'S GAME OF SKATE KRAKÓW

tekst TOi Oi
foto Techramps.com

W bardzo gorącą niedzielę (i to nie tylko ze względu na atmosferę) 23 lipca w mieście Kraka rozegrano polską edycję słynnego na cały świat konkursu E's Game Of Skate. Impreza ta towarzyszyła dużo większemu wydarzeniu w Krakowie (tradycyjnie nie pamiętamy jakiemu, bo mało nas to akurat obchodziło), z okazji którego na Rynku Głównym znalazły się różnego rodzaju place zabaw, boiska do kosza i inne tego typu atrakcje. Wśród tych festynowych wariacji znalazła się również część poświęcona skateboardingowi i przynajmniej za to chwała organizatorom tego całego zamieszania.

Na specjalnie do tego celu zbudowanej drewnianej nawierzchni toczyli swe boje skejciki. Oprócz tego, mieli oni do dyspozycji mały skatepark, gdzie mogli sobie w przerwach między grami zwyczajnie pojeździć. Obecność innych dyscyplin i przypadkowych przechodniów niestety nie służyła klimatowi imprezy, ale cóż, w Polsce nie można mieć wszystkiego, czego by chcieli sami zainteresowani, czyli skejciki...

O dziwo, do Krakowa nie przyjechało wielu żądnych pieniędzy gości z innych miast i impreza miała charakter mocno lokalny. Jednak krakowiacy nie zrazili się tym zbytnio i pokazali, że też umieją dużo trików. Od początku widać było, że przyszły zwycięzca łatwo miał nie będzie. Na treningach próbowano naprawdę trudnych trików, wielu skateboarderów miało różne swoje „asy z rękawa" przygotowane specjalnie na tę okazję. Rozgrywki trwały prawie cały dzień, żeby wygrać trzeba było przejść całe morze eliminacji. Najlepszymi tego dnia okazali się oczywiście reprezentanci Krakowa: Przemek Wardęga i Maciek Pawłowicz. Po ciężkim pojedynku zwyciężył Maciek, który za to zgarnął okrągłą sumkę w polskich złotych.

Po zakończeniu tej imprezy miałem tylko jedną sugestię do organizatorów – następnym razem przydałoby się zrobić coś w bardziej deskorolkowym klimacie...

etnies

Twenty Years

RAP-HIGH
RED / WHITE

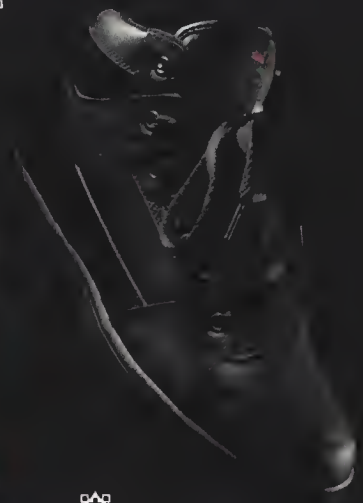

RAP-HIGH
BLACK / GREY / RED

LO-CUT TWO SLIM
BROWN / ORANGE

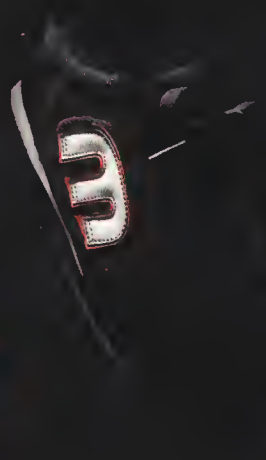

LO-CUT TWO SLIM
BLACK / GREY / RED

SLAM
WHITE / WHITE / GUM

SLAM
BLACK / GUM

LO-CUT ONE
BROWN / WHITE

LO-CUT ONE
BLACK / WHITE

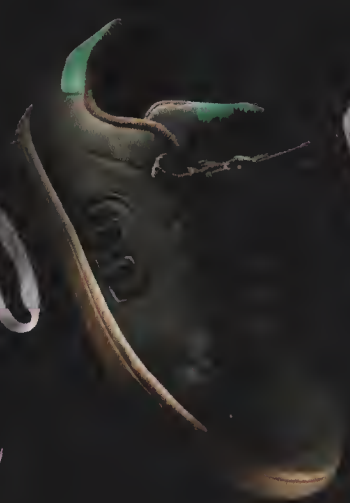

CALLI-SLIM
BROWN / GREEN

CALLI-SLIM
WHITE / BLACK

txt: Rafał Skarżycki
gfx: Tomasz Lew Leśniak

MINĘŁA CHWILA POTRZEBNA NA NIEZBĘDNE NEGOCJACJE.

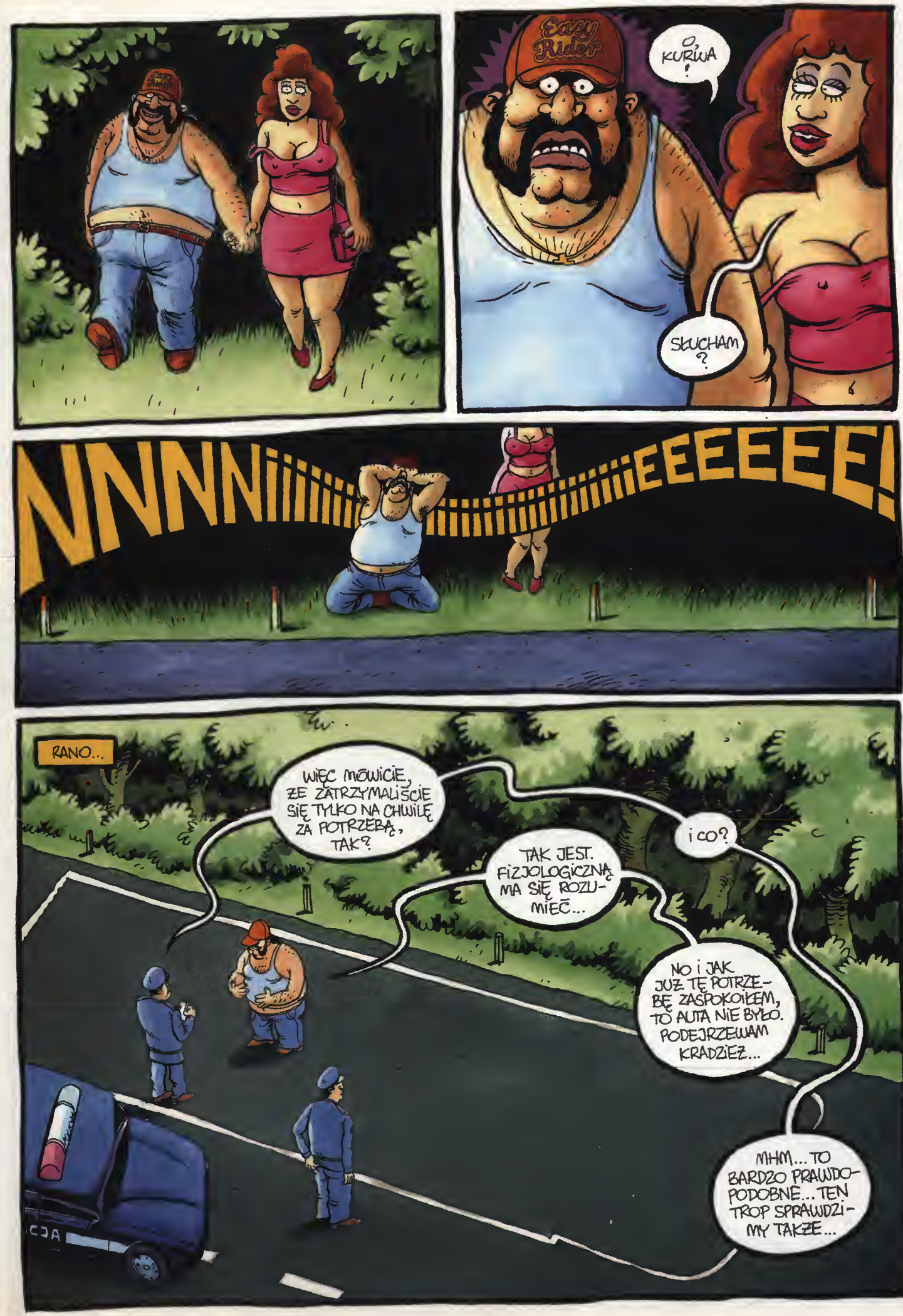
Easy Rider
O KURWA!
SŁUCHAM?
NNNNiiiiiEEEEEEE!
RANO...
WIĘC MÓWICIE, ŻE ZATRZYMALIŚCIE SIĘ TYLKO NA CHWILĘ ZA POTRZEBĄ, TAK?
TAK JEST. FIZJOLOGICZNĄ MA SIĘ ROZUMIEĆ...
I CO?
NO I JAK JUŻ TĘ POTRZEBĘ ZASPOKOILEM, TO AUTA NIE BYŁO. PODEJRZEWAM KRADZIEŻ...
MHM... TO BARDZO PRAWDOPODOBNE... TEN TROP SPRAWDZIMY TAKŻE...

NO, TO WSZYSTKO MAMY. DAMY ZNAĆ JEŚLI COŚ ODKRYJEMY
POLICJA
BYLE JAKOŚ SZYBKO, BO SZEF MNIE ZAJE... ZŁY BĘDZIE... ZNACZY SIĘ...
ZROBIMY CO W NASZEJ MOCY... DO WIDZENIA, OBYWATELU!
POLICJA
JAK TO WIDZISZ, JANEK?
MAM WRAŻENIE, ŻE NIE MÓWI NAM CAŁEJ PRAWDY... A JEŚLI CHODZI O ODZYSKANIE ŁADUNKU, TO MUSIAŁBY SIĘ ZDARZYĆ CUD...
FAKT... PEWNIĘ JUŻ CAŁA TA WÓDKA WYPITA ...
NIEOCZEKIWANIE CUD SIĘ WYDARZYŁ...
Easy Rider
PSSST! TUTAJ!
?!?
CO JEST?
NIBY NIC, SZEFIE, ALE ...
... COŚ TAKIEGO ZNALAZŁEM!
CO!?! JAK!?!
NORMALNIE... JEŻE WIEDZĄ O WSZYSTKIM, CO SIĘ DZIEJE W LESIE...
GADAJ!!!

SPOKOJNIE... POWIEM, ALE POD JEDNYM WARUNKIEM ...
JAKIM ?
10% ZNALEŹNEGO DLA MNIE...
PONIEWAŻ PROPOZYCJA JERZEGO PRZYPADŁA SZOFEROWI DO GUSTU...
ZGODA !
...RESZTA BYŁA TYLKO KWESTIĄ CZASU...
JEST! DZIĘKI, ZBAWCO!
TRANSPORT ALKOHOLI
Spiritus Movens
DROBIAZG... CZEGO SIĘ NIE ROBI DLA BLIŹNICH...
TAK OTO, PO RAZ KOLEJNY JEŻ JERZY PRZYCZYNIŁ SIĘ DO ZWIĘKSZENIA LICZBY SZCZĘŚLIWYCH LUDZI...
DO ZOBACZENIA !
NARA!
... I TO AŻ O TRZY JEDNOSTKI !
ŁAP! - TWOJA DOLA!
DZIĘKI! TY TO JEDNAK MASZ ŁEB - ŻEBY TAK WSZYSTKO NA LEGALU...

recenzje wszelakie

VAMPIRE HUNTER D. ŻĄDZA KRWI

REŻ. YOSHIAKI KAWAJIRI

ANIME GATE

Już pierwsza scena – w której tajemniczy powóz pędzi ulicami miasta, powodując, że krzyże na kościelnych dachach zginają się, a obrastający mur bluszcz usycha – zapowiada niesamowite widowisko. Zwłaszcza że dalej jest jeszcze bardziej demonicznie i niepokojąco. Gotycki horror anime „Vampire Hunter D" to klimatyczna i brutalna historia łowcy wampirów, oparta na literackim pierwowzorze pióra „japońskiego Stephena Kinga", Hideyukiego Kikuchi. Za jej reżyserię odpowiedzialny jest twórca „Ninja Scroll" i „Animatrix", Yoshiaki Kawajiri, którego nazwisko może być najlepszym gwarantem piekielnego nastroju i widowiskowych scen walki. Przy realizacji tego dzieła Kawajiri zadbał nie tylko o ekstremalne emocje, ale i wystawną ucztę dla oczu. Efekty wizualne i malarski rozmach animacji (postaci projektował wielki oryginał mangi, Yoshitaki Amano) dosłownie powalają, nieważne czy akcja toczy się na niby-prerii, w przemysłowym mieście niczym z końca XIX wieku, czy w potężnym zamczysku. Uważne oglądanie jest wskazane tym bardziej, że w filmie doszukać można się szeregu nawiązań do klasyki literatury i filmu grozy. W dodatku cała ta opowieść w cudowny sposób pozbawiona jest choćby drobiny realizmu i prawdopodobieństwa. I za to właśnie kocha się podobne obrazy. Prawdziwy killer! **/Sebastian Rerak/**

1956: POZNAŃSKI CZERWIEC

SCENARIUSZ: MACIEJ JASIŃSKI, WITOLD TKACZYK, WIKTOR ŻWIKIEWCZ

RYSUNKI: JACEK MICHALSKI

ZIN ZIN PRESS

komiks

Kolejny – i jak dotąd najlepszy – album z cyklu historycznych opowieści wydawnictwa Zin Zin Press. Po ważnych, ale nie do końca udanych komiksach o „Solidarności" i księdzu Popiełuszce, tym razem otrzymujemy równie ważny, za to bardziej dopracowany album o tragicznych wydarzeniach 28 czerwca 1956 roku. Wówczas to w Poznaniu doszło do pierwszych wielkich wystąpień przeciwko komunistycznej władzy w Polsce. Protesty przeciwko podwyżkom płac zmieniły się w wielotysięczną demonstrację, krwawo spacyfikowaną przez milicję i wojsko. Wydarzenia tzw. „Czarnego Czwartku" są kanwą opowiedzianej w „Poznańskim czerwcu" historii. I o ile fabularnie można by się jeszcze nieco (ale tylko nieco) przyczepić, o tyle graficznie jest bardzo dobrze. Wzorowane na albumie Joe Kuberta „Josel" szkice znakomicie się sprawdzają przy formule komiksu historycznego, nadając opowieści niemal dokumentalny charakter. Michalski co prawda Kubertem nie jest, ale z tym wyzwaniem poradził sobie znakomicie. **hb**

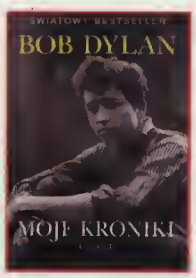

MOJE KRONIKI. CZĘŚĆ 1

BOB DYLAN

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

Kiedy wielka gwiazda bierze się za pisanie autobiografii, to zazwyczaj kieruje nią chęć podreperowania własnej pozycji i rachunku bankowego. O podobne wyrachowanie nie można jednak posądzać Boba Dylana. Legendarny folkowy wokalista w szczery i wolny od kombatanctwa sposób utrwalił wspomnienia ze swego życia i wieloletniej kariery. W bezpretensjonalnym tonie zrekonstruował drogę, jaką przebył od podrzędnych lokali, w których występował jako anonimowy artysta, do zajęcia miejsca w panteonie największych indywidualności współczesnej muzyki. Uniknął przy tym gwiazdorskiego zadęcia, bo Dylan – zdeterminowany chłopak z gitarą – okazuje się tą samą osoba, co Dylan – bard rewolucji i głos pokolenia (które to role przypadły mu zresztą nieco wbrew woli). Gawędziarskie umiejętności, które unieśmiertelniły jego repertuar, przysłużyły się także i tej książce. „Moje kroniki" to znakomita lektura, napisana - tak jak i dylanowe songi - prosto z serca. **/Sebastian Rerak/**

HISTORIA PRZEMOCY

REŻ. DAVID CRONENBERG

WARNER

Legitymujący się awersją do komiksów Cronenberg wziął na warsztat dość tuzinkową powieść graficzną Wagnera i Locke'a i przerobił na pasjonujące studium przemocy. A przy tym cudownie przewrotny film, bowiem mało który wyrobiony widz będzie w stanie nie ulec mistycznej sile niemal wszystkich obecnych tu scen przemocy. Ja nie potrafiłem, podobnie jak nie mogłem nie zachłysnąć się dwiema skrajnie odmiennymi scenami erotycznymi, bodaj najładniejszymi z całego mainstreamowego kina ostatnich lat. Ilość dreszczy przeszywających kark wydaje mi się wartością bardziej wymierną od wszystkich pochlebnych recenzji i nagród razem wziętych, a pod względem łechtania kinomana po kręgosłupie „Historia przemocy" to absolutna czołówka. A jeśli już przy czołówkach jesteśmy – biję czołem przed Stwórcą za powołanie do życia takiej istoty jak Maria Bello, i przed Harrisonem Fordem za odrzucenie roli Toma Stalla, dzięki czemu Viggo Mortensen mógł wreszcie z powodzeniem zrzucić skórę Aragorna. **Piotr Dobry**

czarno widzę

JASON'S LYRIC (1994)

reż. Doug McHenry

Znany amerykański krytyk nazwał ten film połączeniem „Menace II Society" z „Bezsennością w Seattle". To uproszczenie celnie oddaje charakter „Jason's Lyric". Z jednej strony mamy tu bowiem dość typową (choć zgrabnie napisaną) pesymistyczną opowieść z życia afroamerykańskiego getta, z drugiej – love story, jakiej kino czarnych nigdy wcześniej i później nie widziało. Fabuła plecie się dwutorowo, a na obu trajektoriach ważą się losy dwóch braci. Jason (Alten Payne) jest rozsądny, twardy, ale i czuły, zakochany w Lyric (Jada Pinkett, jeszcze nie Smith). Joshua (Bookem Woodbine) – gwałtowny, lekko opóźniony, zgrywający twardziela, zaborczy o brata, którego chciałby mieć na wyłączność. Ukształtowała ich powracająca w retrospekcjach tragedia z dzieciństwa, która gromkim echem odbije się jeszcze w finale.

Dualistyczny to film nie tylko ze względów fabularnych. Po pokazach branżowych został opatrzony certyfikatem X, zarezerwowanym w Stanach niemal wyłącznie dla produkcji hard porno (ostatecznie, po wycięciu całej długiej minuty scen erotycznych, otrzymał kategorię R), a jednocześnie jest zdumiewająco wręcz romantyczny. Na bardzo przyzwoitym poziomie, trzeba dodać. Sekwencjom miłosnym bliżej do natchnionych, nastrojowych klimatów Nicholasa Sparksa niż do harlequinowego kiczu. Oczywiście, statystyczny krytyk sfingowałby od ręki jakieś bzdurne uzasadnienie, dlaczego „Jason's Lyric" upraszcza skomplikowany temat miłości. Gdy tymczasem miłość sama w sobie to przecież wbrew utartym stereotypom zwyczajne, proste uczucie. Patrzeć na takie właśnie ukazanie tegoż, w dodatku w przejmującym, pierwszorzędnym wykonaniu Pinkett i Payne'a, to czysta przyjemność. Może nie dla wszystkich, to jasne, ale nieuczuciowcom zawsze pozostaje poogłądać, jak Woodbine zajebiście powłóczy nogą, czy posłuchać, jak Treach z Naughty By Nature rzuca „motherfuckerami" na prawo i lewo.

Niejednoznaczny odbiór filmu, zależny od wieku, przekonań i zainteresowań, również stanowi tutaj pewną wartość. Za przykład najlepiej posłuży fakt, że polski dystrybutor wideo wprowadził swego czasu ów tytuł na rynek pt. „Magia miłości" bez ograniczeń wiekowych, a z kolei TVP wyemitowało go dwukrotnie w nocy pt. „Czarna rozpacz" i z etykietką „tylko dla dorosłych". A propos – na zachodzie już dawno ukazała się na DVD wersja reżyserska tego niedocenianego klasyka. Czy w Polsce kiedykolwiek doczekamy się choćby zwykłego wydania? Hm, do tego chyba trzeba by mieć władzę oraz fantazję posła Gosiewskiego i puścić za producentem międzynarodowy list gończy.

Piotr Dobry

MANDRAGORA STAWIA NA ORIENT

Przyznaję, że trochę przysnęliśmy i jak dotąd „Ślizg" nie poświęcił uwagi komiksowemu desantowi z Azji, jaki na polski rynek przerzuciło wydawnictwo Mandragora. Jak zapewne powiedzieliby buddyjscy mędrcy: „Lepiej późno niż po diable"... czy jakoś tak. Oto więc nadrabiamy zaległości.

„Yongbi" (scen. i rys. Moon Jung Hoo) i „Chonchu" (scen. Kim Sung Jae, rys. Kim Byung Jin) to manhwy, czyli komiksy koreańskie. Kraj pochodzenia to jedyny między nimi łącznik, bo oba różnią się od siebie diametralnie. „Yongbi" jest lekką, humorystyczną opowiastką o łowcy nagród obdarzonym świetnym refleksem, wielkim ego i tęgą głową (ale tylko do picia alkoholu). Czyta się ją trochę jak... „Lucky Luke'a", bo i przygody zgoła westernowe, i główna para protagonistów to duet w składzie: samotny podróżnik i jego charakterny koń. „Chonchu" z kolei to już dynamiczna jatka, rozgrywająca się na styku quasi-historycznego eposu, horroru i fantasy. W telegraficznym skrócie: krew się leje, piękna kobieta mdleje, a tytułowy bohater – syn demona – stroi groźne miny. Rysunkowo oba tytuły plasują się gdzieś w środku tabeli komiksowej K-League (jeśli nie wiecie, o co chodzi, spytajcie kolegę fana futbolu).

Jako tytuły typowo rozrywkowe bronią się na pewno i mogą posłużyć za dobry aperitif przed dającą po łbie jak najmocniejsza ryżówka, znakomitą mangą „Samotny Wilk i Szczenię" (scen. Kazuo Koike, rys. Goseki Kojima). Ten japoński komiks to już dzieło niemal wybitne. Zanurzona w cieniu pagód saga o legendarnym ptatnym zabójcy i jego pozornie bezbronnym synku, w której jest miejsce zarówno na widowiskowe sceny walk, głęboką refleksję, jak i lekcję poglądową na temat życia w feudalnej Japonii. Kazuo Koike może nazywać się Kurosawą komiksu, ale pewnie to skromny człowiek, więc wystarczy, że jego dzieło skutecznie zachwalają recenzenci na całym świecie. Porównując do edukacyjnych szczebli, „Yongbi" i „Chonchu" lokują się w liceum, a „Samotny Wilk" to już szkolnictwo wyższe. Dwa pierwsze tytuły mogą być ciekawym rekonesansem w świat manhwy, ostatni wręcz trzeba poznać. W sprzedaży dostępne są już po dwa tomiki każdej z serii.

/Sebastian Rerak/

SIN EPISODES: EMERGENCE

RITUAL / EA

Chyba bardzo niewielu graczom mówi dziś coś tytuł SiN, a jeszcze mniej grało w tę – swego czasu całkiem zacną – strzelankę. Po wielu latach Ritual postanowił wrócić z tym tytułem na rynek (swego czasu anonsowano SiN 2, ale jakoś ta gra nigdy sie nie ukazała). Niestety, od razu trzeba powiedzieć kilka raczej gorzkich słów dotyczących kwestii nie do końca związanych z samą rozgrywką. Po pierwsze, jak sama nazwa wskazuje, SiN Episodes ma składać się z epizodów (dziewięciu), czyli aby ukończyć grę, trzeba będzie kupić dziewięć jej części. Po drugie: w Polsce pierwsza część kosztuje około 60 PLN, co daje w sumie – jeśli wszystkie epizody będą tyle kosztować – „zaledwie" 540 PLN! Po trzecie, grę trzeba zarejestrować przez Steam (znany z Half-Life'a 2), czyli nie masz netu, nie pograsz sobie. Po czwarte, za długo sobie nie pogramy, ponieważ to jest tylko część gry... Szkoda, bo wszystko mogłoby być piękne, gra działa na silniku HL 2, jest akcja, fajne bohaterki (zwłaszcza ta niedobra Elexis Sinclaire)... Ale co z tego? Jest tak jakoś niewyraźnie. **gad**

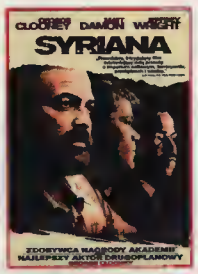

SYRIANA

REŻ. STEPHEN GAGHAN

WARNER

Pajęczyna wątków przez pierwszą godzinę „Syriany" zagęszcza się coraz bardziej w myśl zasady zawartej już w reklamowym sloganie: „Everything is connected". Nieuważny widz może się w tej siatce zaplątać na amen, więc lepiej każde wyjście do toalety poprzedzać wciśnięciem pauzy. Tu liczy się każda minuta. W rzeczywistości wykreowanej na ekranie – również. Obserwujemy szaleńczy wyścig o władzę, którą dla amerykańskich megakorporacji uosabiają nawet nie tyle pieniądze – gdyż one są tylko środkiem, co prawda niebotycznie potężnym, bo pozwalającym na kupienie nawet arabskiego szejka – co złoża ropy naftowej. W rozgrywkach prowadzonych na tych szczeblach wszyscy są utytłani ową ropą, a tylko niektórzy mniej odrażający i źli od innych. Jak np. agent CIA Bob Barnes w oskarowej interpretacji George'a Clooneya (w dodatkach mamy ciekawy wywiad z aktorem). Doskonałe kino polityczne, acz z pewnością nie dla tych, co szybko się zniechęcają. Za to ci, którzy dobrną do końca, będą chcieli jeszcze. **Piotr Dobry**

USAGI YOJIMBO. OJCOWIE I SYNOWIE

SCENARIUSZ I ILUSTRACJE: STAN SAKAI

EGMONT

komiks

Wędrówka Usagiego po Japonii trwa, a długouchemu roninowi towarzyszy mały Jotaro, szkolący się pod jego bokiem na samuraja. Tej parze bohaterów przychodzi udaremnić kolejny zamach na życie znanego już czytelnikom serii pana Noriyuki, a także ponownie spotkać się ze słynnym samotnym capem i jego małym synkiem. Stan Sakai po mistrzowsku buduje napięcie (jak zawsze zresztą), choć tym razem tężeje ono przez cały niemal tomik. Usagi i Jotaro mają sobie bowiem coś do wyznania. I może na tym zakończę pisanie o fabule „Ojców i synów", by nie psuć nikomu przyjemności z czytania tego świetnego komiksu. Dodam jeszcze tylko, że na osobne słowa uznania zasługuje epizod „Duma samuraja" – kolejny hołd Sakaiego dla odchodzącej do historii kasty wojowników. **/Sebastian Rerak/**

DREAMFALL

FUNCOM / CENEGA

Rzadko pojawiają się w recenzjach przygodówki, ale też nie ma ich za wiele i w większości są raczej przeciętnej jakości. Zdarzają się jednak wyjątki. A takim można nazwać produkt firmy Funcom zatytułowany „Dreamfall". Akcja gry toczy się około dziesięciu lat po wydarzeniach znanych z „The Longest Journey", do której Dreamfall bezpośrednio nawiązuje. Główną bohaterką jest Zoe nękana przez dziwne sny, w których mała dziewczynka mówi jej, by kogoś uratowała (jak się okaże, bohaterkę „The Longest Journey" właśnie, czyli April Ryan). Gra graficznie prezentuje się bardzo ładnie, jeśli zaś chodzi o fabułę i zagadki, to nawet fan deathmatcha powinien sobie z nimi poradzić. Nie w tym rzecz, że są banalne, bo nie są, ale po prostu warto spróbować sięgnąć po ten tytuł. I od czasu do czasu zrobić sobie przerwę od gier wymagających tylko refleksu. **gad**

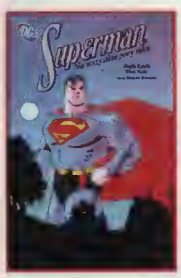

SUPERMAN. NA WSZYSTKIE PORY ROKU

SCENARIUSZ: JEPH LOEB, ILUSTRACJE: TIM SALE.

EGMONT

komiks

Superbohater też człowiek. Największe indywidualności komiksu przekonują, że pod elastycznymi trykotami biją prawdziwe serca. Teraz przyszła kolej, by ludzką twarz objawił Człowiek ze Stali (vel Człowiek z Loczkiem), Superman. Odbrązowienie popularnego nadczłowieka, jakiego podjęli się Loeb i Sale, dalekie jest od dramatyzmu czy typowo gwiaździsto-pasiastej pompy. „Na wszystkie pory roku" to bardzo dobra obyczajowa opowieść o dorastaniu i samorealizacji, nadająca Supermanowi psychologiczny profil, którego odmawiano mu przez lata. Przy okazji jest to album spod znaku cyfry 4, bo zawiera cztery opowieści na cztery pory roku, przedstawia bohatera z perspektywy czterech bliskich mu osób, a przy okazji składa hołd czwartej dekadzie minionego stulecia (stąd ten oldskulowy wizerunek Supka jako kanciastoszczękiego atlety). Wydawca wspomina o klimacie filmów Franka Capry, który unosi się nad tym komiksem i rzeczywiście porównanie jest całkiem do rzeczy, bo historia przesycona jest bardzo caprowską pogodą ducha. Słowem, optymistycznie, do przodu, up, up and away!!! **/Sebastian Rerak/**

recenzje muzyczne

BAKFLIP
KE KE KE...
BAKFLIP.ORG

Kolesie z Afrontu to dobrzy raperzy, a Marek Dulewicz jest dobrym muzykiem. Kropka. Teksty na płytę Bakflipu są świetnie napisane, zbuntowane jak trzeba, ale wokale dają im za mało ognia, żeby zapłonęły. A może to wina muzyki? Brakuje jej dzikości, brudu, przesterów, industrialnego posmaku. To tylko sympatyczny, trącący trochę myszką rock z mało ciekawie wykorzystaną elektroniką i czerstwymi, niepasującymi do reszty śpiewanymi refrenami (naprawdę więcej z nich można było rozwiązać tak jak w „My mamy rację"). Z drugiej strony – zamiast podróbki Rage Against The Machine mamy specyficzny rodzimy crossover, pełen krótkich, nie mających prawa znudzić słuchacza numerów, gdzie to co boli powiedziane jest wprost, gniewnie, a przy tym logicznie i niegłupio. A tytułowe „Ke ke ke..." jest jednym z murowanych kandydatów do kawałka roku. Więc, pomimo zastrzeżeń, polecam. **(flint)**

HARDKOROWE BRZMIENIE
MAMY TO CO CHCEMY
LOCO GROUP / FONOGRAFIKA

Warszawscy weterani wkraczają do akcji i czas dość bezlitośnie ich weryfikuje. Gdyby raperzy (zwłaszcza Jolf i Jarecki) mniej koncentrowali się na chrypieniu i darciu się, a bardziej na wyczuciu beatów i docieraniu styli. Gdyby Krit miał więcej plastycznych wersów w rodzaju „Ej, czego brak ci / wkraczam do akcji / to jest tak, jak na ciastkach u babci." Gdyby zarażliwa energia z czasów Metropolii, OMP i 3H nie zamieniła się w nadmierne ciśnienie. Gdyby więcej kawałków oparte było na konkretnych pomysłach i opowiadaniu historii, jak jest to w „Mówią" czy kozackim, najlepszym na płycie „Napadzie". Gdyby producent Trojak znalazł własny styl, a nie poszukiwał go na oślep z bardzo różnym, choć na ogół poprawnym skutkiem. Nie ma co gdybać. To zbyt pusty i zbyt agresywny album, brzmiący bardziej jak sondowanie rynku przed właściwą płytą. Skoro Tede daje HB genialną zwrotkę, skoro Pezet nagrywa im bardzo dobre linijki, to ja tym bardziej chłopaków nie skreślam. Macie wolny hajs, sprawdźcie, choć w takim repertuarze Bez Cenzury sprawdziło się o klasę lepiej. **(flint)**

V/A
PANDEMONIUM RAP 2006
EXOS MEDIA

Składanka nieznanej bliżej sceny zielonogórskiej pod auspicjami Grupy Operacyjnej? Już sama GO to dziwaczny twór. Andruss ma duże pojęcie o dźwięku i realizacji, ale zerowe o hip-hopie, przez co bezduszna elektronika spotyka się u niego ze źle ułożoną, słabą perkusją. Mieszko (niegdyś Foxx) to komicznie akcentujący jegomość, pewny, że w rapie chodzi o usilnie zrymowany banał. Ich „gust" non stop przebija przez dobór utworów, płyta odrzuca po pierwszym kontakcie choćby przez brak jednego dobrego podkładu (Kocur był blisko, tylko te bębny!). Raperom idzie równie słabo. Grafomański Drzewo miota się ze swoim melodyjnym flow, u Amona Lerek krzyżuje się z Łukaszem, a ReZO powinien mieć zakaz rymowania w języku innym niż rosyjski (słyszałem niestety cały mixtape „Naprzód"...). Na ich tle wybija się Inkorporacja, w której tekstach bywa sporo egzaltacji, ale potrafi też zrymować „Jay-Z i Nas" do „fejm i hajs", czy rzucić parę przykuwających uwagę wersów. Za nią pół eśki więcej. **(flint)**

V/A
POLSKI OGIEŃ
GERMAICAN / WARNER

Reklamowana z dużą pompą składanka polskiej sceny reggae i dancehall miała być wielkim wydarzeniem nie tylko na alternatywnej scenie. Mamy tu zbiór prawie wszystkich najważniejszych postaci zaczynając od Sidneya Polaka (we wspólnym utworze z legendarnym Lechem Janerką) przez Marikę aż po Pablopavo chociażby. Całość została wyprodukowana przez Pioneara (oprócz rzeczy od Mista Pity), tego od niemieckiego Seeeda na przykład, ale nie tylko, bo to już legenda za zachodnią granicą. Część riddimów jest już co wytrawniejszym słuchaczom znana. Premierowy „Money Bag" zaś występuje aż w 6 różnych konfiguracjach, choć umieszczenie go w pięciu kawałkach pod koniec albumu powoduje jeden efekt – znużenie. Całość, niestety, nie zachwyca. Wbija się w pamięć „Sen De La Chica" Jr. Stressa i Tony'ego Juniora B.I.G., „Bus 77" wspomnianego już Mista Pity i „Siła Ognia" Mariki. Z resztą już bywa różnie, czyli nierówno. Chyba jednak na taką składankę jest na tej scenie za późno. **(EST)**

newsy

Szmelo! Z powodu zamieszania wywołanego przeprowadzką redakcji do nowej, wypasionej siedziby z jacuzi, dziwkami, porozsypywanym wszędzie koksem i lądowiskiem dla naszych prywatnych helikopterów, nie przyszło mi do głowy nic mądrego, co mogłoby uświetnić wstęp do newsów. Dlatego tym razem nie będzie żadnej złotej myśli, głupiego dowcipu, pojazdu po Flintuchu ani niczego w tym stylu. Na pewno za to w treści newsów doszukacie się czterdziestu literówek, pomylonych zdjęć i fałszywych informacji. A jeśli nie, to znaczy, że dałem radę i jestem pięciodzielnym cyborgiem, a w związku z powyższym oczekuję na intratne oferty pracy. Jot.

Już niebawem, bo we wrześniu powinna ukazać się na rynku płyta **„Cuba Libre"**. Kompilacja wyjdzie nakładem Prosto. Jest ona zbiorem współczesnych kubańskich rytmów ulicy: od hip-hopu po reggaeton. W nagraniu projektu wzięli udział kubańscy muzycy występujący na co dzień na nielegalnych ulicznych koncertach i sound-systemach w Hawanie. Wydawnictwo to jest wynikiem kontaktów, jakie Sokół nawiązał na Kubie (doskonały przykład nawiązywania kontaktów dostrzec możecie na powyższej fotce). W najbliższym numerze będziemy mieć dla was ekskluzywną relację z pobytu chłopaków z WWO na „gorącej wyspie".

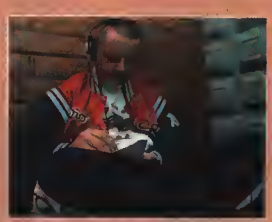

1 września to planowana data wydania nowego krążka **Borixona**. Szczegółów póki co brak, ale znamy przynajmniej tytuł – płyta będzie nazwana „Zacieram ręce dzieciak", a wyda ją najprawdopodobniej Carney. Póki co, możecie sobie pooglądać klip do numeru o tym samym tytule.

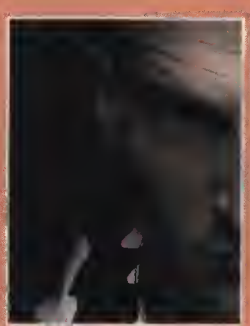

Już niebawem, bo na jesieni, ukaże się solowa płyta **Mercedresa**. Utrzymana będzie zdecydowanie w klimatach dancehallowych, ukaże się nakładem labela Embargo Nagrania. Więcej szczegółów na temat tego wydawnictwa z pewnością zamieścimy w nadchodzących numerach naszego magazynu.

Rozstrzygnięty został konkurs chłopaków z White House na wykonawcę, który pojawi się na trzeciej części **„Kodexu"** z podtytułem „Wyrok". Emce, których zakwalifikowano, to Grubson, Młodziak, Czupryna i Kamyk. No dobra, ja też ich nie znam, ale wierzę, że poziom wydawnictwa stać będzie na wysokim poziomie.

A jeśli już o konkursach mowa, to mam coś jeszcze. MTV Polska po raz drugi wręczy swoją nagrodę dla najlepszego polskiego teledysku. W zeszłym roku zwyciężyło „Rapowe Ziarno 2" Abradaba, a obecnie szansę na zwycięstwo mają m.in. **O.S.T.R.** (na zdjęciu; foto wydawcy) za „Więcej decybeli by zagłuszyć" oraz Sistars za „Inspirations". Właśnie trwa głosowanie, więc jest jeszcze szansa, by pomóc w zwycięstwie „naszym". No bo co? Ma wygrać Virgin?

Niezłym osiągnięciem popisał się **Supernatural**. Na koncercie Rock The Bells w Kalifornii raper ten pobił rekord w długości freestyle'u należący do tej pory do Kanadyjczyka D.O. Supernatural nawijał przez 9 godzin i 10 minut, czyli mniej więcej tyle, ile Całakowi zajmuje napisanie jednego akapitu tekstu.

Lada dzień w sklepach pojawi się nowy krążek **The Roots**, a od niedawna mamy jego przedsmak i nie mówię tu bynajmniej o krążącej po necie wersji advance płyty „Game Theory", wy złodzieje! Chodzi natomiast o mixtape „The Best Of The Roots" nagrany z pomocą J Perioda. Wydawnictwo zawiera około 50 remiksów, wolnych styli i niepublikownych wcześniej tracków, a gościnnie przewijają się tu Rakim, Jay-Z, Nas i Stevie Wonder. No i fajno.

Najpierw był „Trill" Buna B, niedawno wyszło „Pimpalation" Pimpa C (na zdjęciu), a teraz panowie z **UGK** szykują wspólny materiał. Nie ma jeszcze konkretów, ale Bun B zapowiedział, że produkcją zajmą się sami giganci beatmakingu, wymieniając m.in. Timbalanda, Mannie Fresha, Cool & Dre i Jazze Pha.

13 września to data ukazania się drugiego solowego albumu **Justina Timberlake'a**. Chłopak zaprosił na krążek m.in. Three 6 Mafię, T.I.'a, Snoop Dogga oraz Nelly Furtado, a wśród pro-

BASSISTERS ORCHESTRA
NUMER JEDEN
ASFALT RECORDS

Spotkanie takich osobowości jak Wojtek Mazolewski, Mikołaj Trzaska, Macio Moretti, Bunio, Fisz i Emade, mogło przynieść dwojaki efekt: totalnie niekomunikatywną degrengoladę albo świetny choć trudny do sklasyfikowania album. Na szczęście wyszło to drugie. Grupa osiągnęła konsensus, świetnie wyważyła proporcje. Żaden z muzyków nie dominuje, a co ważniejsze, przez cały czas trwania płyty słychać realny wpływ każdego z nich na brzmienie. Czternaście krótkich intensywnych form słowno-muzycznych, często o dużym ładunku humorystycznym (jedne z najlepszych tekstów Fisza). Jazzowe ciosy. Numer jeden. **Tymoteusz Kubik**

J DILLA
THE SHINING
BBE / SONIC

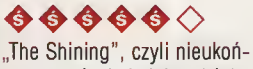

„The Shining", czyli nieukończone za życia kolejne dzieło Jaya Dee, jest najbliższym soulowi, najbardziej nawiązującym do jego pierwszych produkcji dla Slum Village projektem. Co prawda początek płyty i kawałki z Busta Rhymesem (który w zasadzie nie tyle rapuje, co drze japę) oraz Commonem – rewelacyjne „E=MC" – to przede wszystkim energia i szalona jazda, bliska wygrzewom z „Jayliba", ale później klimat przechodzi w inne rejony. Słyszymy piękne sample z funkowych i soulowych krążków, dużo ciepłych, uczuciowych tekstów i to leniwe, płynące po ziemi brzmienie, którym Dilla zaslynął lata temu. Fantastycznie wypadł Common. „E=MC" to hardkorowy ogień, moc i dynamika. „So Far To Go", w którym usłyszymy też świetnego D'Angelo, jest z kolei miłosnym szlagierem, trochę przypominającym „Come Close". Jak zwykle na poziomie Dwele, Black Thought i Madlib. Dilla po raz kolejny udowodnił też, że poza kapitalnymi, perfekcyjnie dopracowanymi, pełnymi smaczków podkładami, umie dać do pieca na mikrofonie. Zamykający album „Won't Do" jest tego najlepszym dowodem. 37 minut soulful rapu na rzadko spotykanym poziomie. Peace, Dilla. **Andrzej Cała / „Machina"**

DMX
YEAR OF THE DOG... AGAIN
SONY URBAN MUSIC

Królem rapowego Nowego Jorku już nie będzie, ale... Brakowało trochę DMX'a na scenie, tak jak brakuje nowych albumów Rakima czy Jaya-Z. Simmons powrócił, powrócił też na dobre Swizz Beatz w formie, która w pewnym momencie zapewniła mu miano jednego z najgorętszych producentów nu-schoolowej fali. Na tej płycie chemia pomiędzy tymi panami zasługuje na ocenę bardzo dobrą. Są kawałki bardzo mocne, przypominające hiciory z poprzednich albumów DMX'a – „Come Thru (Move)" jest tego najlepszym przykładem. Są numery refleksyjne, pouczające, dające sporo do myślenia. Za te fragmenty zdecydowanie wysoka ocena. Niestety, nie obeszło się też bez nudnych zamulaczy, zdecydowanie obniżających temperaturę albumu. Uwagi można mieć też do gości. O ile LOX czy Busta dali radę, to Amerie jest wepchnięta jakby na siłę. Reszta? Reszty nie trzeba. Śmiem zawyrokować, że przynajmniej na hip-hopowej scenie nie będzie to rok psa, ale DMX nie musi się wstydzić swojego powrotu. Żaden z jego fanów nie powinien być rozczarowany, to solidny album. **Andrzej Cała / „Machina"**

EXILE
DIRTY SCIENCE
SOUND IN COLOR

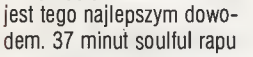

Wokół tej płyty powstało ostatnio sporo zamieszania. I słusznie, bo słucha się jej bardzo dobrze. Exile osiągnął brzmienie, które ciągle dla większości undergroundowców jest nieosiągalne. Udało mu się zaprosić świetnych gości (Slum Village, Dh No, Medaphoar czy Aloe Blacc), którzy na płycie nie zarapowali na „odwal się" tylko naprawdę na poziomie i nadali albumowi fajny klimat. Problem leży w tym, że my ten klimat już doskonale znamy, a inspiracja produkcjami Stones Throw Records jest zbyt czytelna, żeby można było ten album ocenić wyżej. Nawet najlepsza kopia najlepszych patentów zawsze pozostanie kopią i należy to piętnować. Podsumowując, można to ocenić tak: psychofani Stones Throw już pewnie to mają, ci, którzy lubią inne oblicze Kalifornii i czują sympatię do tamtego stylu produkcji i rymowania, powinni sprawdzić. Dla reszty lektura nadobowiązkowa, ale bardzo kusząca. **Med**

PHARRELL
IN MY MIND
EMI

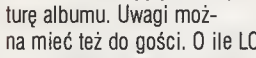

Jedna z najbardziej wyczekiwanych płyta roku przechodzi bez większego echa. Chyba każdy, kto czekał na tę solówkę Pharrella, trochę się zawiódł. Nie pomógł nawet trik z przekładaniem w nieskończoność daty premiery. Dd jednego z najbar-

dziej kreatywnych, zaskakujących, tworzących trendy producentów można wymagać czegoś więcej niż żerowania na swoich starych patentach czy układania wciąż takich samych bębnów. Albumowi zdecydowanie brakuje przebojowości. Poszczególnych kawałków nie ratują nawet featuringi. Nie oznacza to jednak, że płyta jest słaba i niewarta uwagi. To wciąż produkcja na najwyższym poziomie, ze świetnym wielkomiejskim brzmieniem, kilkoma dobrymi trakami i dwoma (popowymi) hitami, które już do tej pory spadły z list przebojów. **Tymoteusz Kubik**

JURASSIC 5
FEEDBACK
INTERSCOPE RECORDS

Raperów nie ma tu za co winić, bo przez cały krążek jadą równo, w swoim tradycyjnym, dobrym, choć mało uniwersalnym stylu, łącząc w wersach przyjemne z pożytecznym, a dominacja Chaliego 2ny wreszcie nie jest tak ewidentna. Z produkcją bywa natomiast różnie. Większość podkładów pochodzi od DJ'a Nu-Marka, który poza prezentującym klasyczne dla J5 brzmienie „Red Hot", nie zrobił niczego ciekawego. Singiel w konwencji „włóż kowbojki, przytul owcę" („Work It Out" z rockowym Dave Matthews Band) czy nachalne, ostentacyjnie oldschoolowe „In The House" to jednak nie to. Kontrowersje pojawiają się z zaproszonymi beatmakeremi. Salaama Reemi da się bronić, nazywając jego syntetyczne gówno („Radio") nawiązaniem do starego electro, poza tym pod koniec rehabilituje się kozackim „End Up Like This". Mdły syf Storcha („Brown Girl") jest już niewytłumaczalny. Najfajniejszą wibrację dają Bean One (wcześniej współpracował z Living Legends i Grayskul) w „Gotta Understand" i Exile w „Baby Please". Za ich sprawą fatalny początek idzie w niepamięć i płyta się rozkręca, by w efekcie stać się przyjemnym słuchadłem. I niczym więcej. **(flint)**

BRAILLE
BOX OF RHYMES
HIP HOP IS MUSIC

Dla mnie Braille zawsze był „tym najsłabszym z Lightheaded", ale nowym materiałem udowodnił, że bardzo się myliłem. Jego album to 15 rewelacyjnych kawałków, bez słabego momentu, słabej zwrotki czy słabego bitu. Mamy tutaj zarówno rewelacyjne bangery (choć trochę brakuje porządnych punchline'ów), bardzo dobre „życiówki", jest hołd dla oldschoolu, naprawdę nie ma się do czego przyczepić. Gdy dodamy do tego bity na najwyższym poziomie od takich osób jak Tony Stone, Ohmega Watts, Stro (z The Procussions) czy… Count Bass D (!), to okazuje się, że to jedna z najlepszych solowych płyt spośród albumów chłopaków z Lightheaded. Flow jest bardzo płynne i… giętkie. Naprawdę ciężko uwierzyć, że to ta sama osoba rapuje w „Sound System" i „Humility". Trueschoolowy album na najwyższym światowym poziomie, do tego ładnie wydany przez samego autora. Serdecznie polecam! **Med**

THA DOGG POUND
CALI IZ ACTIVE
KOCH

Odrodzenie g-funku? Niemalże. Powrót w wielkim stylu? Prawie tak. Kolejny klasyk, w którym palce maczali Kurupt i Daz? Raczej nie, ale zabrakło naprawdę niewiele. Dziwny z pozoru zabieg, jakim było przekazanie produkcji na tym albumie plejadzie mniej lub bardziej znanych bitmejkerów okazał się strzałem w… No, coś około ósemki. Battlecat i Soopafly w formie zdecydowanie mistrzowskiej. To właśnie oni dostarczyli na „Cali Iz Active" najbardziej klasyczne, g-funkowe petardy (nagranie tytułowe i „Throwin' Up Da C"), które w zasadzie muszą rozbujać każdą imprezę. Swizz Beatz poleciał w jakimś dziwnym kierunku, ale „Sittin' On 23'z" jak już wbije się do głowy, to długo z niej nie wyleci (co za bas!). No i można by tak jeszcze długo wymieniać, bo muzyka na albumie prezentuje się naprawdę wybornie. Rapersko też jest jak należy, bez wielkich fajerwerków, za to solidnie i równo. Kurupt imponuje płynnością, wyluzowaniem, Daz – energią. Warto dodać, że na albumie goszczą w zasadzie wszyscy związani kiedyś z Death Row i w ogóle g-funkową sceną (Lady Of Rage, RBX, Nate Dogg, Ice Cube, oczywiście też Snoop), więc owe odrodzenie, o którym wspomniałem na wstępie, ma swoje wytłumaczenie. W roku wielkich powrotów Tha Dogg Pound wypadł naprawdę udanie. Nie pozostaje nic innego jak odkurzyć niebieskie bandany i zapuścić w boom-boxie „Cali Iz Active". Wesssyde! **Andrzej Cała/ „Machina"**

RHYMEFEST
BLUE COLLAR
J-RECORDS

Jak już zapewne zauważyliście, ten rok to czas debiutów raperów z wietrznego miasta. Na pierwszy album Lupe Fiasco będziemy musieli jeszcze trochę poczekać, a już teraz do sklepów trafił krążek Rhymefesta, mc mocno związanego z Kanye Westem. Album jest niesamowitą muzyczną petardą, nie ma na nim właściwie ani jednego słabego bitu. Takie kawałki jak „Fever" na produkcji No I.D. czy „More", które wyszło spod rąk Cool & Dre to numery, których po prostu chce się słuchać. Duet z Miami zrobił również muzykę do „All Girls Cheat", szkoda tylko, że po raz kolejny ducentów nie mogło zabraknąć Timbo, oprócz którego mamy jeszcze choćby Ricka Rubina oraz will.i.am'a. Płyta nosić nazwana „FutureSex/LoveSounds".

Newsy nie byłyby newsami, gdyby nie było w nich czegoś o **Lil' Kim**, nieprawdaż? Ostatnio pisałem o jej wyjściu z więzienia, teraz za to warto wspomnieć, że zakończył się również miesięczny areszt domowy raperki, która już wzięła się do działania. Dopinane są szczegóły związane z drugą serią jej reality show „Lil' Kim: Countdown To Lockdown". Kimberly szuka również chętnych do podpisania z nią kontraktu na płytę.

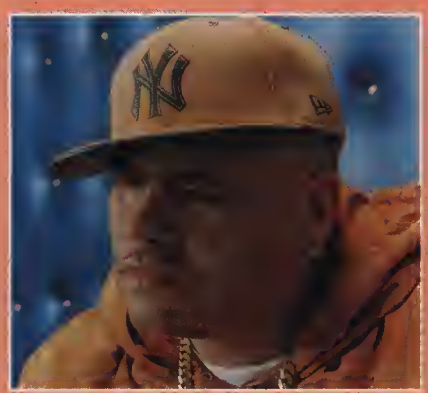

Jak ten czas leci – **Fat Joe** nagrywa już siódmą solówkę, „Me, Myself & I". Znajdą się na niej na pewno numery z The Game'em i Lil' Wayne'em, a wśród producentów warto wymienić choćby DJ'a Khaleda, Scotta Storcha i LV. Póki co jednak raper przełamał swój mało gangsterski strach przed latanie i wybrał się na niewielką trasę koncertową po Europie. Jak zapowiedział, teraz (czyli kiedy już nie moczy się na myśl przed wejściem do samolotu) będzie Stary Kontynent odwiedzał zdecydowanie częściej. Brawo, Jose!

Niewiele gorszy jest na tym polu (w sensie wydawania płyt, bo nic nie wiadomo o jakiejkolwiek jego fobii związanej z latanie) **Xzibit**. Niebawem, bo już we wrześniu, ujrzy światło dzienne jego szósty album, zatytułowany „Full Circle". Raper wyda go własnym nakładem w należącym do niego labelu Open Bar Entertainment. Pierwszy singielek z krążka to „Concentrate". A jak już jesteśmy przy Xzibicie, to warto przy okazji napomknąć, że coraz żwawiej rozwija się jego kariera filmowa. Teraz raper szykuje się do roli w filmie „Giridion Gang" u boku samego… „The Rocka". To będzie coś.

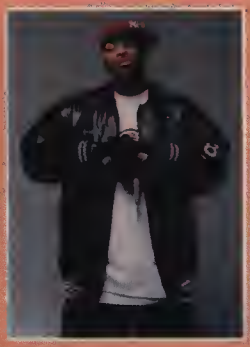

Wszyscy już wiemy, że **Method Man** wypuszcza za parę dni nowy krążek. Ja jednak chciałbym o czym innym, jeśli można. DJ'ka radiowa Wendy Williams w jednej ze swej audycji ogłosiła bowiem, że żona rapera choruje na raka, czym wzbudziła złość członka Wu-Tang Clanu, który sprawy rodzinne zawsze trzymał w sekrecie przed dziennikarzami. Mało tego – Williams zainsynuowała ponadto, że Method miał romans z lekarką, która bierze udział w leczeniu partnerki artysty. Ponoć naczelny „Faktu" zaprosił już Williams na rozmowę w sprawie pracy.

Czyżby **Jay-Z** jednak miał powrócić do rap-gry? Zdaje się, że tak. Najpierw parę puścił Timbaland, zdradzając, że pracuje z brooklyńskim emce nad bliżej nieokreślonym projektem. Sam Jay-Z przyznał potem z kolei, że widzi potrzebę pojawiania się „albumów wielkich artystów" – wymieniając Eminema, Dr. Dre i Fifty'ego – w celu podtrzymywania całego hip-hopowego przemysłu. „Mój album też jest potrzebny", dodał. Na dokładkę pojawiły się plotki, że również i The Neptunes produkują kawałki dla Jaya. Kiedy to sobie zmyślnie ułożyć w głowie, rozwiązanie łamigłówki może być tylko jedno, ale nie zdradzę jakie.

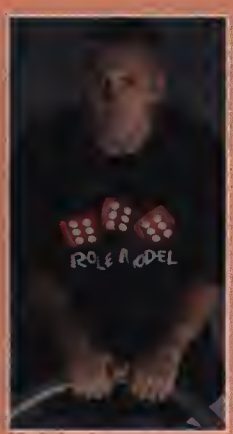

Pewien facet poskarżył się, że został pobity bez powodu przez **Eminema** w toalecie jednego z klubów na 8 Mile Road w Detroit. Nie zrobił ponoć nic, co mogłoby usprawiedliwić zachowanie rapera, ale zdążył wylądować kilka strzałów i zrobiło mu się przykro. Ostatecznie sprawa nie została skierowana do sądu, a ani kierownictwo klubu, ani też otoczenie Eminema nie wystosowało żadnego oświadczenia po rzekomym zajściu, więc cholera wie, po co sprzedaję wam tego newsa, bo może być on po prostu lipą.

Kool G Rap ma zamiar jeszcze w tym roku wypuścić nowy album, który ma nosić nazwę „Uncontrolled Substance" (takie „małe" zapożyczenie od Inspectah Decka z Wu-Tangu, który płytę o identycznym tytule wydał jeszcze w 1999 roku...). Krążek ukaże się nakładem niewielkiego labela Back Route Records, mimo tego, że przez pewien czas krążyły plotki, jakoby raper miał wstąpić w szeregi G-Unit.

wykorzystali tę samą pętlę perkusyjną, którą znamy chociażby z „Hate It Or Love It." Mark Ronson jak zwykle bawi się samplami z klasyków muzyki rozrywkowej (ale robi to znakomicie), a Just Blaze dalej jest w świetniej formie. Czego chcieć więcej? Może trochę lepszych linijek, bo Rhymefest nie ma ich zbyt wielu. Oczywiście czasem zaskoczy nas jakimś ciekawym porównaniem, ale zdarzają się też takie kwiatki, jak „hot like hot sauce". Jest za to zdecydowanie lepszym tekściarzem, a takie numery jak „Bullet" są tylko tego potwierdzeniem. Warto też sprawdzić „Sister", idealnie pokazujące, że w hip-hopie kobiety nie muszą być traktowane przedmiotowo. Tak czy inaczej, album jest wart uwagi głównie ze względu na warstwę muzyczną. **dill-o**

LETOYA
LETOYA
CAPITOL / EMI

Pewnie nie wszyscy z was pamiętają czasy, kiedy LeToya Luckett była jednym z filarów Destiny's Child, było to bowiem dobre siedem lat temu. Po kilkuletnim odpoczynku urozmaicanym jedynie sporadycznymi singlami i gościnnymi występami, wciąż młodziutka wokalistka z Houston wydała swoje debiutanckie solo. Ciara musi się mieć na baczności, LeToya rzuciła jej rękawicę w walce o tytuł księżniczki r&b z Południa. Na „LeToya" mamy piętnaście kawałków, z których przynajmniej połowa ma szansę stać się klubowymi wymiataczami. Tyczy się to szczególnie numerów nagranych z gwiazdami dirty south (Bun B, Jazze Pha, Paul Wall, Slim Thug, Mike Jones) – żaden z nich nie ustępuje bangerom znanym z „Goodies". Znajdziemy na płycie też kilka przyjemnych przytulańców z hiciorem „Torn" na czele, a żeby narobić wam dodatkowego smaku, dodam, że za muzykę na krążku odpowiadają m.in. Just Blaze, Jermaine Dupri i Scott Storch. To wszystko zaowocowało sensacją letniego sezonu, jeśli chodzi o r&b. LeToya swoim debiutem zmiotła z ziemi wszystko, co Destiny's Child nagrały od jej odejścia z zespołu i to chyba najlepsza rekomendacja. Warto! **Andrzej Cała / „Machina"**

NELLY FURTADO
LOOSE
GEFFEN RECORDS

Kto poznał poprzednie krążki Nelly Furtado, będzie zdziwiony przemianą wokalistki. Co straciła? Przede wszystkim duszę. Odejście w stronę ciężkich produkcji Timbalanda (i jego prawej ręki, czyli Danja) spowodowało, że „Loose" brzmi zadziwiająco zimno i nieprzystępnie, czyli tak jak będzie brzmieć każdy projekt, w którym ewidentnie brakuje chemii. Przebojowość – jasne, mamy jej tu aż w nadmiarze, to trudno negować, wszak Timbo jest mistrzem w wyprowadzaniu podopiecznych na szczyty list przebojów. Jeśli jednak tylko w bodaj czterech numerach (z „Say It Right" na czele) wokalistka zdaje się czuć naprawdę dobrze, to coś musi być nie tak. Krążek sprawia do tego wrażenie nie do końca przemyślanego pod względem kompozycyjnym. Paradoksalnie, całość jest łatwo przyswajalna i gdyby nie tragiczny numer z Juanesem, można by jej słuchać bez przeskakiwania kawałków. Mimo tego jednak – rozczarowanie. **GRB**

CHRISTINA AGUILERA
BACK TO BASICS
RCA / SONY BMG

Wdech, wydech, przerwa, dwa głębokie wdechy, oddycham spokojnie, już dobrze. Patrzę jeszcze raz na szkic tej recenzji i pomimo, że wciąż nie do końca dowierzam w to, że wystawiam nowemu albumowi pani Krysi piątkę, jestem co do tego w stu procentach przekonany. Pieprzyć szufladki, uprzedzenia, plotki i wszystko, co związane z wizerunkiem. Zapomnieć o dziecięcym popie i „Genie In a Bottle". Docenić ogromny kunszt wokalny, niesamowitą technikę i możliwości głosowe. Skupić się na wszystkich smaczkach muzycznych rozkładających się równomiernie na dwóch płytach, z których składa się „Back To Basics". Zrozumieć i uszanować dobór producentów (m.in. DJ Premier, Mark Ronson, Linda Perry), którzy stworzyli z Christiną porywający dwugodzinny muzyczny spektakl. Począwszy od klasycznego hip-hopu, przez funk, r&b, aż do musicalowego-swingującego jazzu. A teraz obudzić się i uwierzyć, że to nie jakiś głupi sen, tylko jeden z najlepszych albumów ostatnich miesięcy. Ewentualnie śnić o nocy z Krysią, najlepiej słuchając jej nowej płyty. Alter-pop majstersztyk. **Andrzej Cała / „Machina"**

CHRISTINA MILIAN
SO AMAZIN'
ISLAND DEF JAM

Krysi Milian nie można odmówić bycia nieprzeciętnie ładną dziewczyną, ale na temat jej talentu można by już troszkę podyskutować. Ot, jedna z wielu wokalistek śpiewających „ładnie" i czysto, z tą tylko różnicą, że jej akurat się udało. Bo czy jej głos pozostaje w pamięci? Jasne, to nie zdjęcie z wkładki... Na domiar wszystkiego teksty wyśpiewywane przez Milian noszą w sobie jakoś dziwnie mało oryginalności, choć pewnie trzynastoletnim Amerykankom słuchającym Jessiki Simpson mogą się podobać (w stylu „You's a hot boy, I can be your hot girl"). Od strony muzycznej „So Amazin'" to dzieło duetu Cool & Dre, który potrafi raz na jakiś czas przyje-

bać konkretnym bangerem, ale akurat nie na tym krążku. Całość jest oparta na chłodno brzmiących dźwiękach (równiutko poukładanej, a jakże) perkusji w połączeniu z mało ambitnymi melodyjkami. Nawet po kilkukrotnym przesłuchaniu zawartości płyty, poza singlowym „Say I" w głowie zostają może ze dwa tracki. Reszta to taki koszmarek, który od biedy może sobie brzęczeć gdzieś w tle, ale zdecydowanie nie w słuchawkach mojego discmana. **GRB**

VAN HUNT
ON THE JUNGLE FLOOR
CAPITOL / EMI

Młodemu wokaliście z Dayton, uznawanemu jednogłośnie za jedną z największych nadziei na scenie nowego soulu, coś się musiało pomieszać w głowie. Po tym, jak na świetnym, naprawdę świeżym i udanym debiutanckim albumie „Van Hunt" z 2004 r. zaprezentował światu swój talent, teraz powrócił krążkiem, wobec którego określenie świeży i oryginalny ma się nijak. Van Hunt na tej płycie nie tylko śpiewa i jest autorem tekstów. Wraz z Billem Bottrellem odpowiada też za warstwę muzyczną tego materiału. W zasadzie tylko do warstwy tekstowej nie można się przyczepić. Cała reszta brzmi tak, jakby Van Hunt za dnia chciał być Prince'em, nocą Lennym Kravitzem, a w międzyczasie bił jeszcze pokłony Maxwellowi. Od neo-soulu ze szczyptą r&b, jaki uświadczyliśmy na jego debiucie, odbił w stronę soul-funk-rocka, w którym miast przyjemnego rhodesa, w tle mamy archaiczne gitary, a bujające, kołyszące perkusje zastąpiło walenie w talerze bez ładu, składu i smaku. Ocenę zawyża prosty fakt. Van Hunt to na tyle utalentowany koleś, że nawet kserując i ginąc w przepaści braku indywidualności i własnego stylu, zrobił to z pewną klasą. **Andrzej Cała / „Machina"**

AMP FIDDLER
AFRO STRUT
PIAS / ISOUND

W dwa lata po fantastycznym albumie „Waltz Of a Ghetto Fly" Amp Fiddler powraca z wydawnictwem równie ciekawym i porywającym. Tym razem bardziej na funk-swingową nutę niż w klasycznie soulowym stylu, kładąc większy nacisk na kołysanie i bujanie kompozycji niż ich wysmakowanie i czilaut. Na początku album brzmi jak soundtrack do jazzowego musicalu z lat trzydziestych, by pod koniec radować nasze uszy broken-beatowymi i future-funkowymi wycieczkami w daleką przyszłość. Gdzieś w środku słyszymy piękną balladę „Heaven" w duecie ze Stephanie McKay i to jedno z niewielu nagrań, przy którym zamiast bujać tylkiem chce się przytulać i ściskać bliską osobę. Gdy dodamy do tego świetne teksty i jak zawsze zniewalający głos Fiddlera, wiemy już, że dla wszystkich fanów dobrych czarnych brzmień jest to pozycja obowiązkowa. **Andrzej Cała/ „Machina"**

VIKTER DUPLAIX
BOLD & BEAUTIFUL
BBE

Jedna z najważniejszych postaci future-soulowej sceny z Filadelfii, wokalista, multi-instrumentalista i didżej współpracujący m.in. z Jazzanovą, King Brittem czy Eryką Badu, nagrał pierwszy album dla londyńskiej oficyny BBE. Korzystając z zapewne nieograniczonego zaufania wydawców, znacznie przekombinował. „Bold & Beautiful" to najgorsza, najnudniejsza produkcja w jego dorobku. Oczywiście – wszystko na tym krążku brzmi świetnie, jest dopieszczone do granic możliwości (przy pracy nad albumem Duplaixa wspomogli James Poyser i Larry Gold), ale wszystko to już wcześniej słyszeliśmy. Świetne momenty („The Way That I Feel", „For Life" czy „I See The") kontrastują z kawałkami co najwyżej średnimi, nużącymi i na dłuższą metę męczącymi. Szkoda. Szczególnie, że dużo dobrego wniosły do brzmienia płyty śpiewające panie – Ms. Saigon i Esthero, ale ich wkład może pozostać niezauważony. Do poprawki, Vikter. **Andrzej Cała / „Machina"**

THE BOUNCING SOULS
THE GOLD RECORD
EPITAPH / SONIC

Duma East Coastu doczekała się siódmej już płyty. Kto zdążył pokochać „beznadziejnych romantyków" z Bouncing Souls za ich melodyjny punk rock podszyty rock'n'rollem, ma prawo zachwycić się „The Gold Record". Załoga z New Jersey zadbała o nowy arsenał przebojowych piosenek z refrenami idealnymi do koncertowego sing-along z publiką (moi faworyci to „The Gold Song" i „Lean On Sheena") oraz kilka urozmaiceń, takich jak trąbka i irlandzki akordeon wykorzystane w „The Pizza Song". Bouncing Souls to jeden z tych zespołów, od których nie wymaga się zmian w stylu, wręcz przeciwnie – oczekuje się, że „zmęczony" wokal Grega Attonito pozostanie tak samo charakterystyczny, a pozytywna energia i optymistyczne fluidy emanujące z ich muzyki nie ulegną rozrzedzeniu. Gdyby piosenki z „The Gold Record" trafiły na fale największych rozgłośni radiowych, to pewnie przyczyniłyby się do punkowej eksplozji porównywalnej z tą, jaka jest teraz udziałem modnych grup neo-rockowych. Chociaż lepiej chyba, aby tak się nie stało. Do Bouncing Souls nie pasuje status gwiazd, bo to taka formacja z sąsiedztwa, której nie sposób nie lubić za szczerość i prostolinijność. **/Sebastian Rerak/**

Rapowe ścieżki dźwiękowe do gier komputerowych nie zawsze należą do najbardziej udanych projektów. Jest jednak pewien chlubny wyjątek. Już w ubiegłym roku soundtrack towarzyszący grze „NBA 2k6" był konkretnym materiałem, a szykuje się przyzwoita powtórka. Numery do edycji 2k7 wyprodukuje **Dan The Automator**, a na mikrofonie niezła plejada: ATCQ, Ghostface, Rhymefest, Slim Thug, Hieroglyphics, Chali 2na, Mos Def, Lupe Fiasco i jesze kupa innych topowych emcees. Brawa dla firmy 2k Sports za świetną robotę. W grę co prawda pewnie nie zagram, ale z płytą z przyjemnością się zapoznam.

Nowy krążek **The Clipse** „Hell Hath No Fury" planowo ma ukazać się 31 października i jeszcze pewnie zdążę o nim napisać, tymczasem warto wspomnieć o małej kłótni jak powstał wokół bitu do kawałka „Wamp Wamp (What It Do)". Początkowo The Neptunes podkłepali go Foxy Brown, po czym – kiedy wyszły na jaw problemy raperki ze słuchem – podkład trafił w ręce Clipse'ów. Jednak po szczęśliwym zakończeniu problemów zdrowotnych Foxy Jay-Z (szef Def Jamu, w którego szeregach jest raperka) upomniał się o kawałek. Clipse zapowiedzieli, że nie ma bata, nie oddadzą i już, a sprawę uważają za zamkniętą.

A teraz news dla naszego fotoedytora, chociaż wcale to a wcale na niego nie zasługuje. Otóż nową płytę wydaje **Slizzla**. Krążek „The Overstanding" ukazać się ma na początku października, wyda go Damon Dash Music Group, a na jednym z tracków pojawi się gościnnie sam pan Busta Rhymes. Szykuje się konkretna dawka dancehallu.

Hi-Tek ogłosił listę gości, jakich będzie można usłyszeć na mającej się ukazać w październiku jego drugiej płycie producenckiej. I uwaga – na „Hi-Teknology 2" (krążek wydany zostanie przez Babygrande Records) będą m.in. Busta Rhymes (na zdjęciu), Common, Slim Thug, Nas, Snoop Dogg, Raekwon, Dogg Pound, Bun B, Q-Tip, Mos Def, Talib Kweli i The Game. Slabo?

Non Phixion przestają istnieć. Ill Bill, Sabac Red i DJ Eclipse postanowili skupić się na solowych karierach po tym, jak ujawnili swe pretensje do Goretexa, który rzekomo jest „nieodpowiedzialny i nie wykazuje żadnego zainteresowania koncertami". Jak dobitnie wyraził się Ill Bill, „bez jednego z członków nazywanie się dotychczasową nazwą byłoby gównem", stąd taka a nie inna decyzja. W przyszłym roku możemy spodziewać się solówek Billa i Sabaca.

Jeśli przypadkiem w drugiej dekadzie przebywać będziecie w RPA i spadnie wam na głowę jakieś świństwo, jest duża szansa, że będzie to **2Pac** we własnej osobie. No, może niekoniecznie osobie, bo będą to jego prochy, ale zawsze. Plan rozsypania pozostałości rapera nad Soweto obmyślila jego matka, która wybiera się do Afryki w dziesiątą rocznicę śmierci syna. Ma się tam m.in. spotkać z Nelsonem Mandelą i zacieśnić związki pomiędzy prowadzonymi przez nich dobroczynnymi organizacjami.

przygotował Grabiszczy

ADAM WEST
LONGSHOT SONGS FOR BROKE PLAYERS 2001-2004
PEOPLE LIKE YOU / JIMMY JAZZ

Osiem płyt i blisko trzydzieści EP-ek to dotychczasowy dorobek płytowy wyjątkowo płodnej waszyngtońskiej grupy Adam West. Jej fonograficzne zdobycze uzupełnia jeszcze niezliczona liczba nagrań zamieszczonych na singlach i kompilacjach. Część z nich zebrana została na tym właśnie krążku – swoistym archiwum utworów niewydanych dotąd na regularnych płytach. Adam West gra tu m.in. covery Kiss, Misfits i The Stooges, co daje dobre pojęcie o fascynacjach samych muzyków. Do tego zestawu należałoby dodać jeszcze MC5, AC/DC, Black Sabbath i garażowe zespoły prepunkowe z lat 60., a potem solidnie wstrząsnąć. Z takiej mikstury powstanie potężnie brzmiący, wściekły, motoryczny rock'n'roll, naładowany psychodelią, garażowym nieokrzesaniem i punkową olewką. W zaprezentowanej tu dawce (24 kawałki) może on niekontrolowane prostowanie się zwojów mózgowych, ale taki już jego ordynarny powab. „You can't stop rock'n'roll", pokrzykuje (skądinąd naprawdę nieźle) wokalista grupy, Jake Starr. Wierzę mu na słowo, ale tym razem nie do końca czuję się przekonany. **/Sebastian Rerak/**

BODY COUNT
MURDER 4 HIRE
ESCAPI MUSIC / MYSTIC

Ta płyta to dla mnie spore zaskoczenie, bo zdążyłem już uznać Body Count za zamknięty rozdział. Po nagraniu „Violent Demise: Last Days", zespół kojarzony jako rockowe wcielenie Ice'a T zamilkł na dziewięć lat. Podziwiam odwagę cywilną, którą wykazali się muzycy grupy, powracając właśnie teraz i podpisując się pod albumem tak silnie uderzającym w fałszywe mity Ameryki. Body Count ponownie przybrał wojenne barwy i z uliczno-hardcore'owym zacięciem nadaje swój mocny, antysystemowy przekaz, który zwolenników Busha juniora przyprawić może o zawał serca. Najlepsze na płycie są te utwory, w których „niepokonani gangsterzy" (patrz tytuł jednego z kawałków) grają bardziej transowo i niepokojąco („In My Heads", „Dirty Bombs"). Mistrzem ceremonii jest tu oczywiście Ice T., który na zmianę rapuje, melodeklamuje, a nawet wyśpiewuje (co brzmi jak wokalne próby Dartha Vadera) swoje mroczne, godzące w amerykańską rację stanu teksty. Body Count to obecnie chyba najbardziej wywrotowa grupa muzyczna w USA, a ten krążek to prawdziwy dynamit. Słuchajcie go więc, zanim Dick Cheney zabroni jego sprzedaży. **/Sebastian Rerak/**

TERRORGRUPPE
RUST IN PIECES
DESTINY

To dopiero „zemsta zza grobu"! Kilka miesięcy temu Terrorgruppe podjęło decyzję o rozwiązaniu działalności, kładąc kres dwunastoletniej operze mydlanej, jaką była historia tego punkowego comba z Berlina. Zespół-synonim niemieckiej jakości we współczesnym panczurstwie przeszedł na przedwczesną emeryturę, ale nie przeszkodziło mu to powiększyć swej dyskografii o jeszcze jedną pozycję. Na „Rust In Pieces" znalazły się w większości utwory znane już z płyty „Fundamental", tyle że ze zmienionymi, anglojęzycznymi tekstami. Co by nie mówić o przyciężkim pruskim poczuciu humoru Terrorgruppe, był to zespół z własnym stylem. Grał melodyjnego i kolorycznego punk rocka z naleciałościami ska i reggae, a bliżej mu było do amerykańskiej szkoły niż przaśnego deutsch punka. Pewnie dlatego charyzmatyczny wokalista Archi Alert i jego rozrywkowa kompania ujęli za serca jankeską publikę, regularnie koncertując i wydając płyty za Oceanem. Teraz też całkiem przyjemnie słucha się tych rzeźkich punkowych sztajerów, takich jak „Hey Tough Guy" dedykowany znienawidzonemu przyszłemu teściowi. „U can call me gay / I'll fuck your daughter anyway". Urocze, nieprawdaż? **/Sebastian Rerak/**

JIM NOIR
TOWER OF LOVE
MY DAD RECORDINGS / WARNER

Po trzech niezależnie wydanych epkach („Eanie Meany", „My Patch" i „A Quiet Man") Jim Noir stał się artystą pożądanym. Jak wielu undergroundowych twórców publiczność masową zdobył dzięki użyczeniu swojego utworu (tytułowy z pierwszego wyżej wymienionego wydawnictwa) firmie Adidas na czas tegorocznego mundialu. Zamieszanie zatem zrobił i przyszedł czas na pełny album. Przez krytyków już nazwany klasykiem indie popu XXI wieku, ale tak dobrze aż nie jest. Oczywiście jest świetny „My Patch" czy poetycki „Turbulent Weather", które zapadają w pamięć na bardzo długo, ale jako całość ten krążek nie rzuca na kolana. Wiele świetnych aranżacji i tekstów daje wielkie nadzieje na przyszłość, bo Jim to dopiero 24-latek. Przypominają się dekady dla tak granej muzyki doskonałe, czyli lata 50. i 60. czy nawet 70., ale ten album nie jest ani przez moment archaiczny, co najwyżej retro. Do tego dochodzi cala elektronika z samplerami na czele. Płyta trwa 45 minut – czyżby znowu krok w stronę piłkarskich kibiców? **(EST)**

2006

write4gold

WWW.CLEARMINDED.ORG

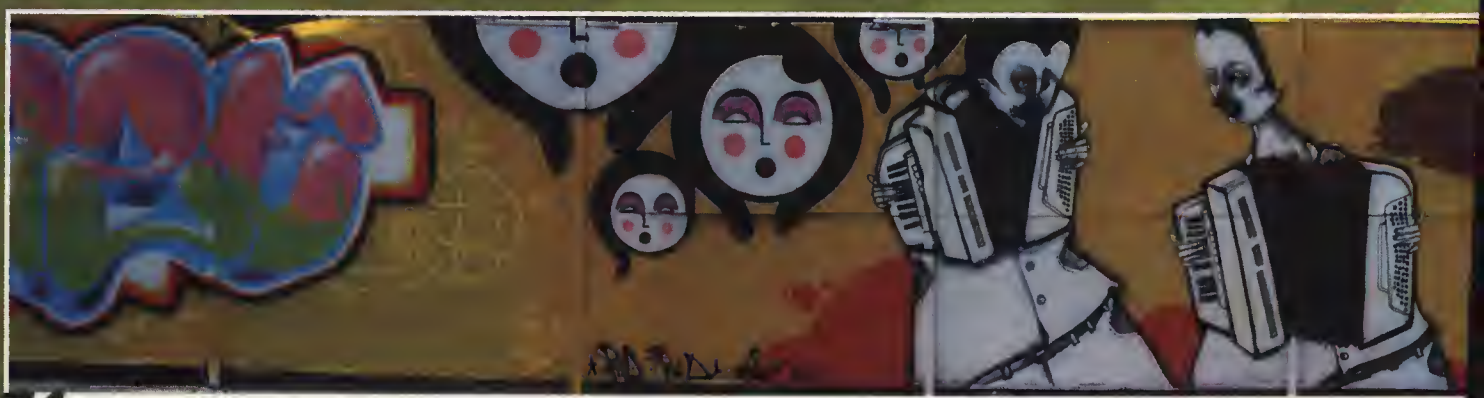

RELIGION
ART IS

STYL NAD STYLE

Po raz drugi w Niechorzu odbyła się impreza Styl nad Style. Trzeci weekend lipca, konkretny upał i pacyfikacja małej nadmorskiej miejscowości przez writerów i fanów rapu. Impreza mocno się rozwija - do jej programu dołączyły warsztaty graffiti, DJ-ingu i rapu, które trwały przez trzy dni. Jednak główną atrakcją pozostały nadal zawody Style Combat i sobotni jam na betonowej opasce falochronu pod latarnią morską.
Do polskich eliminacji Style Combat zgłosiło sie 28 zawodników. Po całodniowej rywalizacji w finale wystąpili: CHLOR, ZERO, MIZE i KISME. W rundzie finałowej MANSON (jeden z jurorów), jako propozycję do malowania stylu rzucił słowo „Pussy" i finaliści zaczęli działać. Oto końcowa klasyfikacja: 1. KISME, 2. MIZE, 3. ZERO, 4. CHLOR. Dwóch pierwszych pojedzie reprezentować nasz kraj na finale w Hanowerze.

Ostatni dzień – już około południa na ścianie ciężko było o miejsce. Ale nic w tym dziwnego nie ma - w takiej scenerii nie maluje się często. Na całej długości falochronu, w górnej i dolnej jej części, przez całą sobotę powstawały konkretne prace. Słońce, morze, browar, kobiety w stanie niemal naturalnym i mocny rap serwowany przez Twistera. Przeluz.

50 metrów wyżej, koło latarni, organizatorzy zbudowali scenę, na której odbyły się wieczorne koncerty. Od godziny 18.00 za mikrofon pochwycili Sobota i Seba, a chwilę później CZK i Projektanci. Reprezentacja Zachodniego Pomorza bez kompleksów pokazała, że polski rap ma się dobrze. W drugiej części koncertu na scenę wyszedł Mes i Ostry, a na koniec Tede. Mimo wakacyjnej pory chłopaki mieli sporo mocy, którą dzielili się z 3 tysięczną widownią (dane organizatora) pod sceną.

W niedzielę niektórzy kończyli prace, a później chillowali z browarami na plaży. W świetle braku imprez writerskich, już po dwóch edycjach Styl nad Style staje się mocnym punktem na imprezowej mapie Polski. Ci którzy tam byli wiedzą dlaczego. Dzieje się niezbyt dużo, miejmy więc nadzieję, że w przyszłym roku El Paso i Gmina Rewal znów przygotują taką letnią akcję.

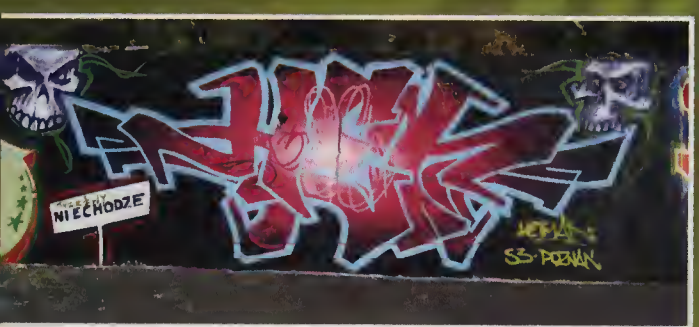

WIELKIE JOŁ

PREZENTUJE

ESENDE TEDE MYLFFON

CD W SKLEPACH

LEGALNE MP3 NA WWW.WIELKIEJOL.COM

radiostacja
Czumehity dancowebity
MTV MUSIC TELEVISION
ŚLIZG
HIP-HOP.pl
CKM
PLNY TEXTYLIA
NEW ERA
cgm.pl
RAPGRA.COM

WWW.TOPLOGO.PL

toplogo

WYŚLIJ SMS 7316

SUPER TRUETON KONJO

nr melodii

Stary człowiek i morze... PHASL.651126

hit

PHASL.261893

PHASL.256585

TRUE TONY SMS 7316

Wiadomość dla Ciebie	PHASL.650026
Po imprezie	PHASL.650514
Syrena policyjna	PHASL.650339
Zegar z kukułką	PHASL.650269

True Tone: SMS 7316 dostępne na telefon obsługujący dźwięki True Tone. Aby pobrać dzwonek wyślij SMSa o treści: PHASL.numer_obiektu. Koszt SMS'a: 3,00 - 3,66 PLN z Vat. 0700-380-705 (1,69 -2,06 PLN/min z VAT)

SUPER DZWONKI MONO 7216 POLI 7516 REAL SOUND 7316

POLECAMY	MONO	POLI	REAL SOUND
Ragga - Rap	PHASL.206771	PHASL.601933	
Konfrontacje	PHASL.211815	PHASL.601375	
Zeszyt rymów	PHASL.206235	PHASL.601451	
Wielkie Joł	PHASL.206240	PHASL.605455	PHASL.651580
Jedna z dróg	PHASL.211814	PHASL.605703	
Spóźniona Kolacja	PHASL.211506	PHASL.605453	
To tylko my	PHASL.211315	PHASL.605291	
Halo kochanie	PHASL.211070	PHASL.605119	PHASL.651317

SUPER HITY	MONO	POLI	REAL SOUND
Smak zwycięstwa	PHASL.212270	PHASL.606081	PHASL.651705
Tam i z powrotem	PHASL.206219	PHASL.604859	
Ideału potęga	PHASL.206178	PHASL.601498	
Hello czy ty to czujesz	PHASL.206207	PHASL.601374	PHASL.651437
To dla słuchaczy	PHASL.206220	PHASL.601456	PHASL.651448
Jak zapomnieć		PHASL.601346	PHASL.651429
Nokaut techniczny	PHASL.206773	PHASL.601935	
When I`m Gone	PHASL.212662	PHASL.606373	PHASL.651318

Dzwonek monofoniczny: SMS 7216 dostępne na telefony: Nokia PHASL.numer_obiektu, Siemens PHASL.numer_obiektu, Motorola PHASL.numer_obiektu, dzwonek monofoniczny EMS PHASL.numer_obiektu. Koszt SMS'a: 2,00 - 2,44 PLN z VAT. 8700-281-750 (1,05 -1,28 PLN/min z VAT)

Dzwonek polifoniczny: SMS 7516 dostępne na telefon obsługujący dzwonki polifoniczne, Aby pobrać dzwonek wyślij SMSa o treści: PHASL.numer_obiektu (np. PHASL.605896) Koszt SMS'a: 5,00 - 6,10 PLN z VAT. 0708-508-508 (koszt: 3,00 - 3,66 PLN/min z VAT)

Real Sound: SMS 7316 dostępne na telefon obsługujący dźwięki Real Sound. Aby pobrać dzwonek wyślij SMSa o treści: PHASL.numer_obiektu. Koszt SMS'a: 3,00 - 3,66 PLN z Vat. 0700-380-705 (1,69 -2,06 PLN/min z VAT)

HITY TRUE TONE SMS 7316

POLECAMY	NR. MELODII	TOP HITY	NR. MELODII
Telefon gamoniu!	PHASL.650972	Nie chcem aie muszem	PHASL.650977
Ogłuchłeś czy co?	PHASL.650957	Nie masz litości....?!	PHASL.650960
Nie pal głupa!	PHASL.650967	Do iti Matołku Do iti	PHASL.650954
Nie masz wyjścia...!	PHASL.650951	Aaaaa tam cicho być i	PHASL.650966
Jaja sobie robisz?!?	PHASL.650959	Dam Ci radę koleżko...!	PHASL.650953

True Tone: SMS 7316 dostępne na telefon obsł... PHASL.numer_obiektu. Koszt SMS'a: 3,00 - 3,66 PLN z...

KOLOROWE TAPETY SMS 7516

hit

PHASL.257247

PHASL.257002

Kolorowe Tapetki: SMS 7516 Tapety dostępne na telefon z kolorowym wyświetlaczem. Aby pobrać tapetkę wyślij SMSa o treści: PHASL.numer_obiektu (np. PHASL.257076). KOSZT SMS'a: 5,00 - 6,10 PLN z Vat. 0708-508-50 (koszt: 3,00 - 3,66 PLN/min z VAT)

PHONESAT SP. Z O.O. Informacje o promocjach: SMS o treści ZGODA na numer 3232. Chcesz zrezygnować z otrzymywania ofert: SMS o treści WYPISZ na numer 3232. Reklamacje: 0708-188-508 lub biuro@phonesat.pl

Christina Aguilera

W świetle amerykańskiego prawa nie mogła jeszcze chodzić do klubów i pić alkoholu, kiedy była już multimilionerką. Gdy złote dziecko popu Britney Spears wszystkim wmawiała, że ma duże to i owo, bo pija dużo mleka, i że chce być dziewicą aż do ślubu, Aguilera otwarcie mówiła o swojej seksualności i kobiecości. To wszystko zresztą już zamierzchła historia. Najbardziej utalentowana popowa wokalistka powróciła właśnie nowym, dwupłytowym albumem

tekst Andrzej Cała / „Machina"

Christina przyszła na świat w grudniu 1980 r. na Staten Island. Pochodzi z mieszanej ekwadorsko-irlandzkiej rodziny. Oryginalna uroda plus kapitalny głos i sceniczne maniery, z którymi się urodziła, sprawiły, że w zasadzie od kiedy tylko zaczęła chodzić o własnych siłach, wiedziała już, czym w życiu będzie się zajmować. Setki zwycięstw w konkursach dla dzieci, angaż do słynnego klubu Myszki Miki (w tym samym czasie występowali tam Britney i Justin Timberlake) i w końcu w wieku czternastu lat wyjazd do Japonii, gdzie Aguilera nagrała z tamtejszym gwiazdorem Keizo Nakanishim hitowy duet „All I Wanna Do". Do Stanów powróciła w wieku osiemnastu lat i co tu dużo pisać – zamiotła dokumentnie. Dziesiątki milionów sprzedanych płyt, trzy nagrody Grammy i cztery single, które dotarły do szczytu listy „Billboardu". Można dodać spektakularną trasę „Stripped / Justified" z 2002 r. u boku Justina Timberlake'a, podczas której każde z nich zarobiło ok. 40 milionów dolarów i mamy już zupełnie jasny obraz.

Aguilera nigdy nie dała się do końca wbić w jakieś szufladki. Na początku mówiono, że jest to tylko gwiazdka dziecięcego popu, później – skandalizująca nastolatka, w końcu coraz głośniej i częściej zwracano uwagę na jej najważniejsze atuty, charyzmę i głos. To pierwsze jest niezaprzeczalne – mogła skandalizować, pokazywać się w coraz bardziej skąpych strojach, u boku coraz to innych facetów, nigdy jednak nie postawiono jej na łamach prasy poważnych zarzutów o zagrywki pod publiczkę. Christina na każdy atak miała ripostę, na każdą próbę przejechania się po niej odpowiadała z klasą bądź dyskretnie milczała nie podsycając emocji. Co zaś się tyczy głosu – jeśli kogoś do wspólnego nagrania zaprasza Herbie Hancock, o czymś to chyba świadczy, prawda?! Ogromna siła, doskonałe wyszkolenie techniczne, dzięki któremu mogła śpiewać zarówno piękne ballady, jak i dynamiczne hiciory.

Z poważną krytyką spotykała się często, ale przede wszystkim w purytańskiej Ameryce. Nie każdemu pasowało, że dziewczynka uroczo śpiewająca „Genie In a Bottle" raptem trzy lata później nagrywa z Redmanem singiel „Dirrty", do którego klip to takie trochę soft-porno dla mas. Nie każdy dziennikarz mógł i chciał się pogodzić z tym, że urocza blond Krysia nie zamierza tracić czasu na ballady dla licealistek i chce pokazać swój artystyczny talent. Trochę trwało zanim zrozumiano, że nie jest to gwiazdka sezonu, ale w pełni ukształtowana kobieta, która dokładnie wie, czego chce, i jaką muzyczną ścieżką powinna podążać.

Wiele osób było bardzo zdziwionych, gdy zapowiadając nowy album Aguilera wspomniała o bardzo dużym udziale w pracy nad nim muzyków hip-hopowych – samego DJ'a Premiera i Marka Ronsona. Cóż, zdziwiło to tylko tych, którzy Christinę znali z klipów i bardziej pocili się oglądając jej wygibasy niż zwracali uwagę na to, kto i jak z nią współpracował wcześniej. A byli to m.in. Rockwilder, Scott Storch, Missy Elliott, Timbaland, Redman czy Nelly. Jakby nie patrzeć – same osobowości hip-hopu XXI wieku. Teraz przyszła pora na kolejny krok. Czy udany? O tym przeczytacie w recenzji.

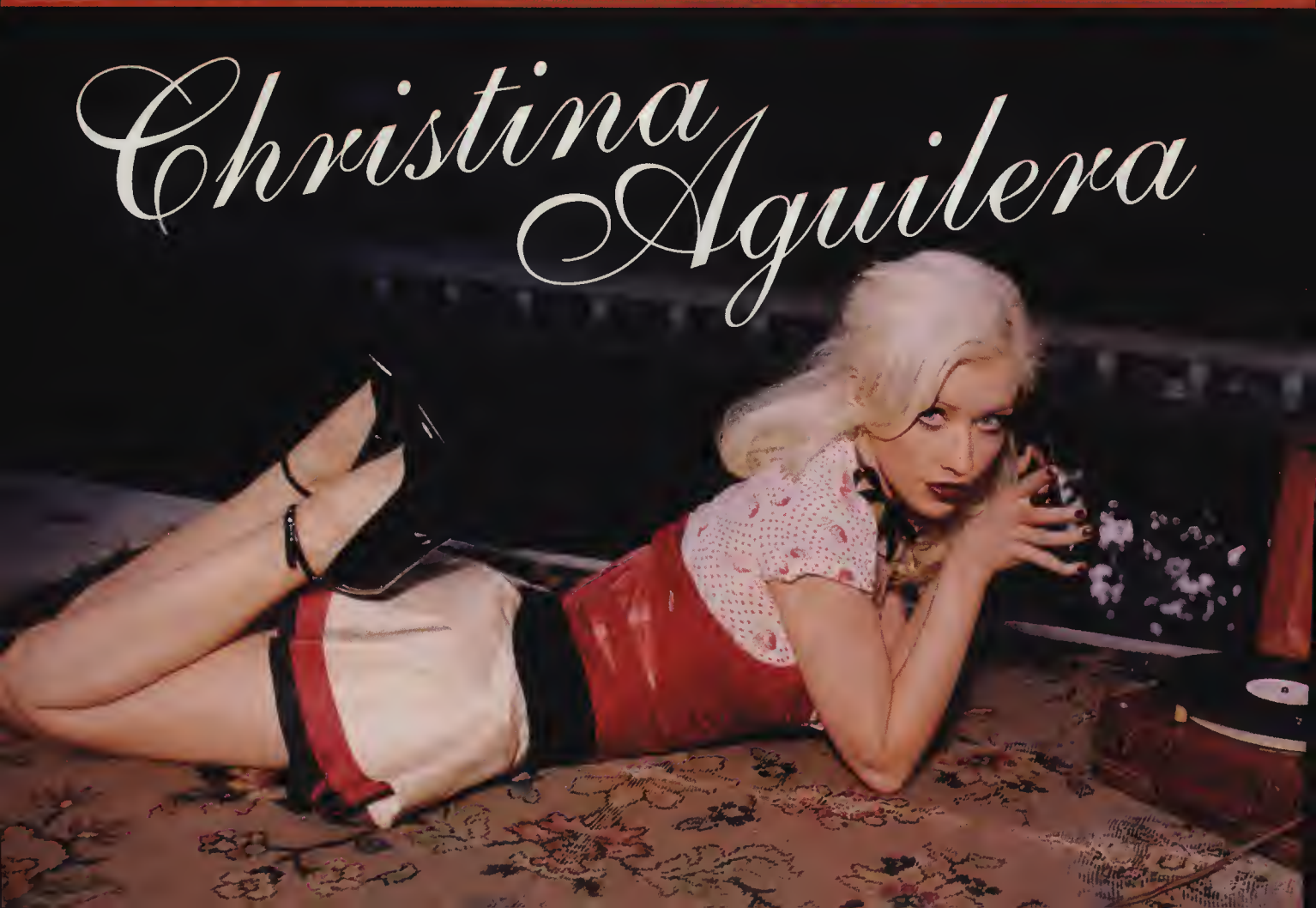

Dawno w szołbiznesie nie było osoby, która wywoływałaby tak skrajne odczucia i na tak szeroką skalę jak ona. Przyjrzyjmy się głównym „punktom zapalnym" rodzącym narosłe wokół Paris Hilton kontrowersje

tekst Krzysiek Grabowski (Grabiszczy)

ODZIEDZICZONY HAJS

Każdy by tak chciał. Kiedy masz siedem lat, twój dziadek wygrywa proces, w którym jemu oraz innym spadkobiercom – w tym i tobie – przyznane zostają prawa do wielkiej fortuny po hotelowym potentacie (który był, swoją drogą, starym sknerą i swojej rodzinie nie zapisał w testamencie nic). Dojrzewasz zatem w bogactwie i z błogą świadomością, że do końca życia nie musisz robić niczego, na co nie będziesz mieć ochoty.

I tu pojawia się problem. Niektórzy pytają, po co do cholery wobec tego Paris pcha się na świecznik, skandalizuje, sprzedaje swoją twarz i chce być obecna we wszystkich możliwych mediach, zamiast siedzieć cicho i wieść przykładny żywot dziedziczki. Drudzy z kolei zauważają, że 25-letnia dziś Hilton oprócz pieniędzy w spadku po pradziadku otrzymała też żyłkę biznesową. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że z samych reklam i przedsięwzięć w stylu płatnego uczestnictwa w imprezach czy rólek filmowych Paris otrzymała w samym tylko 2005 roku prawie 7 milionów dolarów? Z pewnością nie decydowała o tym tylko i wyłącznie jej uroda (również mocno dyskutowana).

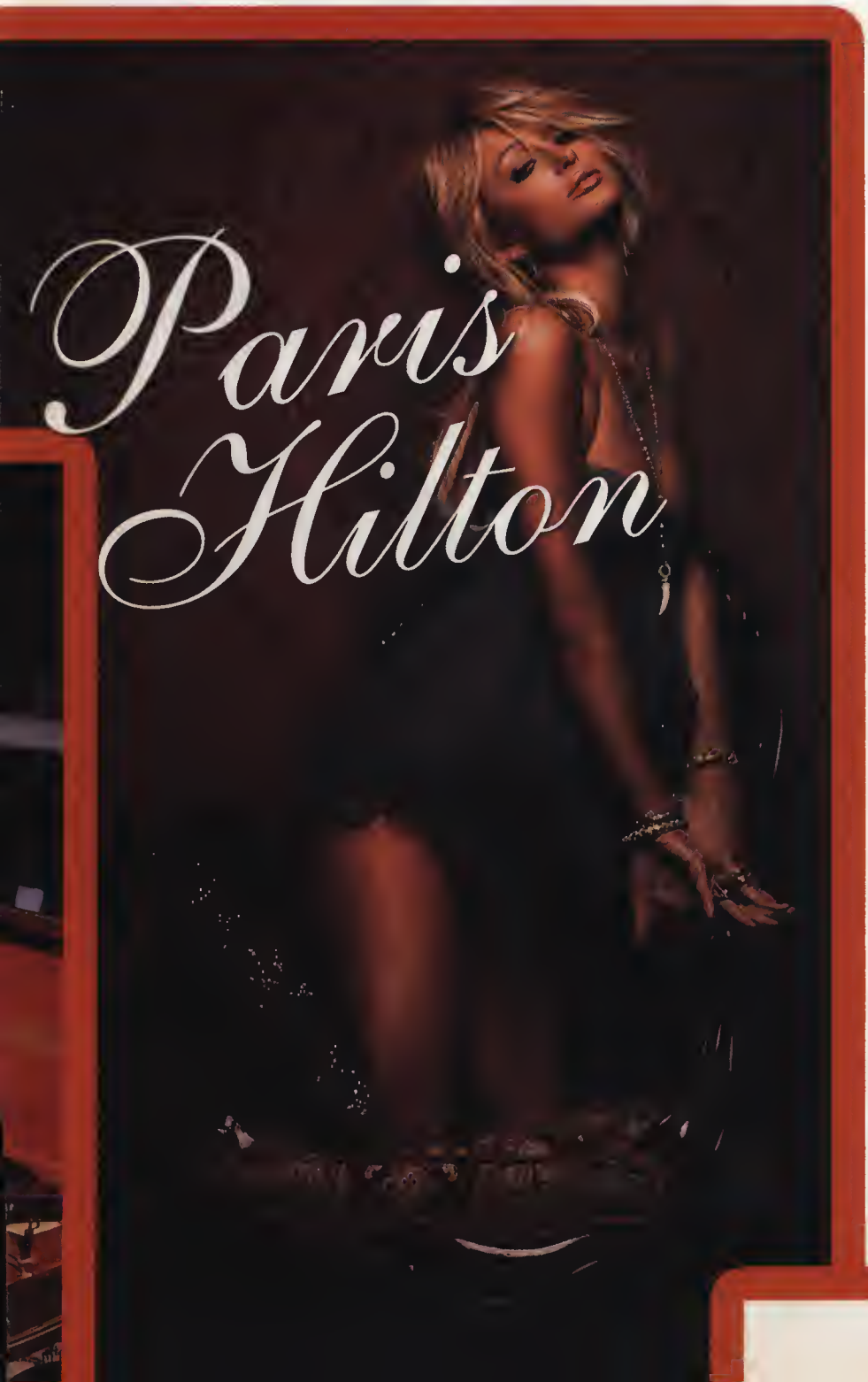

AMATORSKIE PORNO

Na taką pozycję dziewczyna musiała sobie zapracować. W tym konkretnym przypadku praca polegała na pozwoleniu sfilmowania w 2004 roku wspólnych łóżkowych igraszek ówczesnemu facetowi Paris, Rickowi Salomonowi. Chłopak obrotny, więc nie dość, że dopuścił do „kontrolowanego przecieku" tego gorącego materiału do sieci, ale dodatkowo wydał bez zgody Hilton DVD, na którym oprócz słynnych już scen pojawia się jego „odautorski" komentarz. Reputacja reputacją, ale dzięki „One Night In Paris" zrobiło się o niej głośno, a jej konto – po rozprawie sądowej z Salomonem i ugodzie – wzbogaciło się o 400 tysięcy dolarów.

Przed tym przełomowym wydarzeniem Paris znana była głównie – oprócz statusu dziedziczki i regularnego pojawiania się w prasie na zdjęciach w „imprezowych" rubrykach – jako gwiazda reality show „The Simple Life" (obecnie śmiga już jego czwarta seria), gdzie wraz z przyjaciółką Nicole Richie zamieszkały na wsi i zapewniały rozrywkę ludziom przed telewizorami, próbując np. wydoić krowę...

ŻYCIE TOWARZYSKIE

Nie, nie będę tu wyliczał domniemanych lub rzeczywistych partnerów pani Hilton, wszak ona sama mówi, że kochała się tylko z dwoma mężczyznami w życiu – w co wszyscy wierzymy. Nie będę wymieniał wszystkich czy nawet tylko najsłynniejszych imprez, które Paris zaszczyciła swoją obecnością, bo pewnie gówno to was obchodzi. Nie będę też wyważał otwartych drzwi przytaczając szeregi anegdotek, plotek, bo od tego macie różne „pudelki" czy „glamoury". Chociaż jedna rzecz musi zostać wspomniana i to właśnie dla niej stworzyłem ten akapit. Otóż, by złagodzić swój wizerunek rozpustnicy, Paris ogłosiła ostatnio, że zamierza przedsięwziąć seksualną abstynencję i nie uprawiać seksu przez okrągły rok. I bądź tu człowieku jej facetem...

MUZYCZNE POCZĄTKI

Od niedawna na pannę Hilton możemy spojrzeć pod nowym kątem – jako na potencjalną gwiazdę muzyki rozrywkowej. Krążek „Paris" powstawał ponoć powolutku już od ponad dwóch lat, ale rozpędu sprawy nabrały na początku 2006, kiedy to ogłoszono, że Hilton współpracuje z Three Six Mafią, a album będzie miał zdecydowanie „miejskie" brzmienie. Ostatecznie – kiedy znamy już tracklistę płyty – dowiedzieliśmy się, że dla raperów z Mafii zabrakło na niej miejsca, ale i tak gościnnie na jednym z numerów pojawiają się Jadakiss i Fat Joe. Mało tego – lwia część produkcji pochodzi od samego Scotta Storcha, a jeden z kawałków zrobił dla Paris inny znany hip-hopowy beatmaker, Jonathan „J. R." Rotem.

Czego się spodziewać po materiale? Na pewno nie będzie cudów, o czym przekonaliśmy się słuchając pierwszego singla, czyli „Stars Are Blind". Letni, lekkostrawny, nieco „reggujący" w brzmieniu numer zaśpiewany nienajgorszym – o dziwo – głosem. Oczywiście, niejeden zauważy, że sprawny realizator z najgorszego beztalencia uczynić może super-wokalistkę, a przy dobrej promocji można sprzedać najgorszą kupę. Ja jednak jestem jakoś dziwnie pewien, że co by się nie mówiło, Paris Hilton i tak wyjdzie z zamieszania wokół płyty obronną ręką.

tu kupisz Ślizg

Jeśli chcesz zamieścić na tej stronie logo swojego sklepu, skontaktuj się z nami pod numerem 022 635 84 10 wew. 131 lub na mail monika@slizg.com.pl

HIPHOPSHOP.PL
Lublin
ul. Krakowskie Przedmieście 41
Lubartów
ul. Lubelska 45
BUTY CZAPKI PLECAKI
BLUZY SPODNIE T-SHIRTS KOSZULE KURTKI
TORBY PASKI SMYCZE
SKLEP ON-LINE WWW.HIPHOPSHOP.PL
NOWY SKLEP W MIEŚCIE

Rap Center
www.rapcenter.pl
- CIUCHY
- CD i DVD
- Vinyle (r'n'b, hip-hop, funk)
- Muza - USA, Francja, Niemcy, Polska
- Biżuteria hip-hopowa
Wszystko co niedostępne w Polsce!!!

SYSTEM SKATE SNOW DISTRIBUTION
DYSTRYBUCJA I SPRZEDAŻ HURTOWA AMERYKAŃSKICH PRODUKTÓW:
DESKOROLKI, BUTY, ODZIEŻ,SNOWBOARDY, AKCESORIA
firm: C1RCA, FALLEN, ZERO, ELEMENT, WORLD BLIND, SANTA CRUZ, REAL, SPITFIRE, GIRL i inne
TEL/FAX: (42) 637 6885 WWW.SYSTEMSKATE.PL

HIP HOPsklep
GDANSK ul. Wajdeloty10 ul. Rajska12GDYNIA ul. Swietojanska112
ELBLAG ul. Hetmanska 11/14 WARSZAWA metro ratusz box4 i box12
WARSZAWA Rondo jazdy polskiej box19 KATOWICE ul. Stawowa 3 i 7
KRAKOW ul. Slawkowska2D CHRZANOW ul. 29 listopada 8

Cans.pl 24h
e-mail:sklep@cans.pl
tel: +48 0602 888 646
tel: +48 0694 451 456

www.skateshop.lublin.pl
HS
Lublin, ul. Narutowicza 13 tel. (081) 53 220 16

MUSIC PLANET
NAJWIĘKSZY SKLEP MUZYCZNY
CD - DVD - VIDEO
1 718 383 2051
694 Manhattan Ave. Brooklyn NY 11222

MONUMENT SKATE SHOP
www.monument.pl
Lublin Krakowskie Przedmieście 30, Krakowskie Przedmiescie 17
Krakowskie Przedmieście 41
Katowice Stawowa 4
Częstochowa al. Najświętszej Marii Panny 37

www.shop.massdnm.com
MASSDNM SHOP

BLANT
skate & hip-hop center
SZCZYTNO
ul. 1-go Maja 15a

ANAGRAM 13
REAL STREET CLOTHING
9-300 Ełk ul. W.Polskiego 13, tel./fax (0)87 6215387, www.anagram.elk.p

skateshop SKATECITY
Opole, ul. Ozimska 14-16
DH RZEMIEŚLNIK IIp.

TRIBAL
WWW.TRIBALGEAR.PL
Sklep firmowy
Włocławek, ul Wronia 4
dystrybucja - 508-248-575

konkret HIPHOPSHOP
Otwock;ul.Karczewska
minihazerek;pawilon 19
KONKRETSHOP.PRV.PL

KAMUFLAGE
HIP HOP SKATE SHOP
BLUECITY - Warszwa, al. Jerozolimskie 179
WOLAPARK - Warszawa, ul. Górczewska 124
GALERIA MOKOTÓW - Warszawa, Wołoska 12
www.kamuflage.pl

SKATE SHOP GRAM
KIELCE UL. DUŻA 5
w sklepie sportowym na I piętrze
tel. 041 344 37 62

MONASTIC
ul. Kościelna 34, Zduńska Wola 98-220

MENTOR SKATESHOP
ul. Panny Marii 13
87-100 Toruń
tel.: 56 621 10 12

NEW ERA

HIGH SIERRA SPORT COMPANY
ADVENTURE PACKS
Warszawa: al. KEN 36 lok. 105a (Galeria Ursynów) tel. (22) 859 04 04
Olsztyn: ul. Wańkowicza 2a tel. (89) 542 07 34
FUNWORX
www.funworx.pl

NOWY SKLEP INTERNETOWY
frontside
SKATESNOWBMX
www.frontside.pl
ROCES HYPER valo KRYPTONICS AMOK Sky
TRANS FORCE

FLOW
HIPHOP SHOP
WWW.FLOW.PL
ŁÓDŹ TRAUGUTTA 4

warszawa modlińska 89
498-35-90
ESTYMA
hiphop-skateshop

BONGO HIP-HOP SKLEP
ul. Kościuszki 17; 88-100 Inowrocław
tel. (52) 357 59 36

SKATESHOP SIXTYNINE
OPOLE UL. KRAKOWSKA 38
Z TĄ ULOTKĄ ZNIŻKA 10% !!!
WWW.69.COM.PL
UL. OZIMSKA 25 GALERIA KASKADA
HARLEM SKATESHOP

CITY GROOVE
EXCLUSIVE CITY SHOP
Al. NMP 53 Częstochowa

warszawa modlińska 89
498-35-90
ESTYMA
hiphop-skateshop

WWW.HIPHOP LAFANQUE.COM SKATE
HAWELAŃSKA 4 GORZÓW WLKP.

filiatshop.pl
STREETWEAR DISTRO
WEŁNIANY RYNEK 2A
CM PARK 11
GORZÓW WLKP

PRENUMERATA

Prenumeratę „Ślizgu" możecie zamówić na dowolny okres, wpłacając na konto odpowiednią kwotę 6,90 x liczba egzemplarzy. Dane potrzebne do przelewu (adres wydawnictwa i numer konta) znajdziecie w stopce redakcyjnej na stronie 6.
Nie zapomnijcie na przelewie podać swoich danych (jeszcze raz przypominamy o dokładnym adresie!!!) i numeru, od którego chcielibyście rozpocząć prenumeratę.

Prenumeratę zagraniczną można zamówić w Ruchu. Szczegóły znajdziecie pod tym adresem internetowym:
http://www.ruch.noria.pl/s/sklep.swp

W redakcji możecie również zamówić archiwalne numery „Ślizgu", w tym „Ślizg Limited Edition" z płytą DVD „Adio Rock". W tym celu skontaktujcie się z redakcją pod numerem telefonu

022 635 84 10, wew. 131.

AFRO JAX JOHN CLEESE

Zarówno Afro Jax, lider Afro Kolektywu, jak i John Cleese, ex lider Monty Pythona, słyną z kontrowersyjnego poczucia humoru. O ile ten pierwszy chciał zostać „chudym brytyjskim pedałem", ale w efekcie miał jedynie „paznokcie obgryzione jak drzewa w Korei Północnej", ten drugi za sprawą Pythonów właśnie i „Hotelu Zacisze" odmienił światowe poczucie humoru

rozmawiał Marcin Flint
foto Cess (Jax)

Pańska żona... Czy się puszcza?
Nie mam żony, a jak będę miał, to będę dbał, żeby niekoniecznie to robiła. Ale akurat cytujesz skecz bez Cleese'a, za to z Idle'em i Jonesem.

Test na znajomość Monty Pythona zaliczony. Jak myślisz, co jest takiego w Ich poczuciu humoru, że po tylu latach wciąż uchodzi za kultowe? Absurd? Brak jakichkolwiek tabu?
Tabu rzeczywiście nie było – Cleese był podobno pierwszym człowiekiem, który na antenie BBC powiedział „shit". Ten humor jest żywy, bo jest uniwersalny, pozbawiony odniesień do ówczesnej sytuacji społeczno-gospodarczo-politycznej. Jak ma się niby do niej odnosić taniec z policzkowaniem rybami? Posiada jakość, do której wielu epigonów próbuje się zbliżać. Ale bez skutku, a czasem nawet ze skutkiem odwrotnym.

Wśród Pythonów jest wiele indywidualności. Dlaczego akurat Cleese? Bo jest najwyższy?
Dokładnie. Wzrost to jedyne, co mamy wspólnego. Gość ma vis comica. To jest facet, który – zwłaszcza kiedyś, kiedy był jeszcze takim ulizanym, pieprzonym Angolem z kamienną twarzą – mógł nic nie mówić, nawet się nie ruszać. Wystarczyło, że wyszedł, parę razy zmrużył oczy i już poprawiał ludziom nastrój. Choćby na zasadzie „dobrze, że ja tak nie wyglądam". Miał coś w sobie i ma to nadal. Jego późniejsza kariera była bardziej widowiskowa niż reszty grupy. Powiem ci, że dla mnie Cleese to mniej Monty Python, a bardziej „Fawlty Towers". Serial wszechczasów, nie tylko w kategoriach komediowych, ale w ogóle.

„Fawlty Towers", czyli „Hotel Zacisze". Myśląc nad tym serialem zastanawiałem się, jak zdefiniować brytyjskie poczucie humoru. Z jednej strony coś takiego, z drugiej Jaś Fasola i Benny Hill. Gdzie jest wspólny mianownik?
Brak. Benny Hill to jest humor z Wielkiej Brytanii, a nie brytyjski w powszechnym rozumieniu. Ten drugi można poznać po reakcji odbiorcy – nie wywołuje on reakcji skrajnych w stylu gwałtowny rechot, szczanie po nogach czy spadanie z fotela. Chociaż przy „Fawlty Towers" parę razy spadłem. Ale generalnie raczej się uśmiechasz, trochę chichoczesz, mówisz: „Cholera, w życiu bym na coś takiego nie wpadł". Jest mniej bezpośredni.

Ciekawe, że Cleese dostał nominację do Oskara za scenariusz do „Rybki zwanej Wandą", która serwuje humor dobry, choć prosty.
Bardziej mainstreamowy. Ten film bardziej bazuje na zdolnościach aktorskich ludzi w nim występujących niż wysublimowanym scenariuszu, tudzież dialogach. Oprócz Cleese'a gra tam przecież jeszcze np. Kevin Kline, który wybitnie potrafi wydobyć komizm z postaci. Moim ulubionym powiedzonkiem do dziś pozostaje „I'm disappointed!", trzeba to podać z niepowtarzalnym kline'owskim sznytem oczywiście. Inny klasyk to: „Bardzo pana... bardzo pana... bardzo pana pierdolę". No dobra, w oderwaniu od filmu to nie brzmi. Obejrzyjcie sobie. I tak oglądaliście.

Mainstreamowy to jest dopiero ostatni póki co etap jego kariery. Świetnie się odnalazł: rola „Q" w Bondzie, występ w filmie o Harrym Potterze, autorstwo scenariusza do „Superman: True Brit", komiksu rozważającego los superbohatera w brytyjskich realiach.
Chciałbym ten komiks przeczytać, to musi być temat samograj. A Cleese odnalazł się, bo jest dobrym aktorem, najlepszym z Pythonów. I, jak się okazało, niezłym scenarzystą. Mało przejmuje się prozaicznymi problemami. Weź jego w sumie parodystyczne poradniki typu „Jak żyć w rodzinie i przetrwać". Nikomu nie polecam układania sobie czegokolwiek na ich podstawie, ale portret psychologiczny autora można sobie narysować. Ma zdrowy dystans i może dlatego radzi sobie w żarłocznym, rekiniastym środowisku filmowym. W talk show Michaela Parkinsona trochę go stracił i zaczął szczerze mówić o całym swoim życiu. W pewnym momencie padło pytanie: „Słuchaj, nie obraź się, ale byłeś maminsynkiem, co?", na co Cleese znieruchomiał i odpowiedział „Tak". Parkinson ciągnął: „Chciałbym w takim razie zapytać, kiedy straciłeś dziewictwo?". Cleese nakrył marynarką głowę i spod niej dało się usłyszeć: „Kiedy miałem 25 lat". Może mylę Cleese'a komika z Cleese'em człowiekiem, ale rozbraja mnie na obydwu tych polach.

Dystansu musi mieć naprawdę dużo, wystawił na licytację fragment swojego jelita grubego.
(śmiech) Bardzo podoba mi się w nim to, że zdefiniował dobry smak jako coś głęboko bezmyślnego. A przy tym granic dobrego smaku w moim pojęciu nie przekracza, w przeciwieństwie do na przykład innego mojego ulubieńca Richarda Pryora, który poszedł parę razy o jeden most za daleko. To, co robi John, jest cały czas wyrafinowane.

Myślę, że gdybyś zapytał Polaków, czy koleś współodpowiedzialny za kawałek „Sperma jest święta" bądź scenę nucenia na krzyżu utworu „Zawsze patrz na jasną stronę życia" nie przekracza granic dobrego smaku, mieliby inne zdanie.
Dla mnie przekraczanie granic dobrego smaku, to odwołanie się do najniższych instynktów odbiorcy. Tego Pythoni nigdy nie robili.

Wyniosłeś coś z Ich twórczości? Rzecz jasna, poza tym jak bronić się przed napastnikiem uzbrojonym w świeży owoc?
Jeżeli szukać przełożenia na to, co ja robię, to kompletnie nic. Może dzięki nim nie pociąłem się będąc nastolatkiem, bo zamiast pogrążać się w dołach, po raz dwudziesty piąty oglądałem sobie odcinki „Latającego cyrku" i poprawiało mi to humor. Wówczas pewnie nie tylko na zasadzie, że śmieszne, ale też, że ja to rozumiem, a filistrzy nic nie kumają. Ważne, że bardzo dobrze mi to robiło.

COLLECTION AUTUMN 2008

©2006 B3. All rights reserved. Ad: Sewer

B3

CLOTHING CO.

B3BEFREE.COM

B3 s.c. ul. Świtezianki 16 91-496 Łódź TEL.: +48 42 658 08 00, FAX: +48 42 659 07 85 INF. HANDL. 0 - 502 150 727

ERRORCTHZ.COM

INFO: 042 6373740, 0603199388
FAX: 042 6371972